

Marek Koszur

TVSiódemka

internetowy miesięcznik
niesformatowany

03/2025 (003) Marzec 2025

Szczecin i Żmija (& Mars)

ISBN:978-83-974443-2-4

Gość Specjalny

TVSiódemki:

Andrzej Seweryn

Część pierwsza
rozmowy m.in.
o polskich wersjach
językowych spektakli
z The National Theatre
w Londynie

Nie lubią mnie...

A za co mieliby lubić?
No, proszę podać
jeden powód?

Jaja sobie Panowie z nas robicie?

Za durniów nas macie?

Niemcy - cz. 1

Jacy są? Tacy sami jak my.
I tylko trochę inni.
Tak samo jak my.

Dobijanie dziedzictwa

Unikatowe, oryginalne,
ostatnie pamiątki
dawnej świetności miasta -
giną bezpowrotnie!

Dmijcie wichry

Polak? Największy na
świecie dyletant i ignorant.

Wernisaż?

Nie/Lubię!

Dorastanie w umiłowaniu
sztuki. Kandydatki na
lokalne ministry kultury
i sztuki.

Historia z gruzów, w gruzy zamieniona

Dokumentalny zakalec
na 80 lecie Szczecina

Lear. Andrzej Seweryn. fot. Karolina Józwiak



Król Lear

z Sir Ianem McKellenem w roli głównej,
w transmisji z The National Theatre w Londynie.
Poziom opracowania polskiej wersji językowej stawia
nas w rzędzie nieuków i ignorantów.

*NTL 2018 King Lear - Ian McKellen (King Lear) and Anita-Joy Uwajeh (Cordelia)
at Duke of Yorks Theatre. Photo by Johan Persson*

Szanowny Panie,

O! Napoleon! – to byłoby dobre porównanie. Szczególnie trzeci. Przedstawiał się jako obrońca demokracji, ale pod płaszczykiem stabilizacji politycznej stworzył... drugie cesarstwo! Wie pan, jemu się udało... A Panu? Co się Panu udało? Ale tak od serca, szczerze? Coś, o czym za 150-200 lat, felietonista taki jak ja napisze: o, tamtemu to się udało, bo...?

Ten Napoleon, to on przebudował Paryż według koncepcji barona Haussmanna. Pan chce przebudowywać Wały Chrobrego wbrew koncepcji ich projektanta? W Paryżu poszerzono wtedy ulice, wybudowano szerokie bulwary, mosty, kanalizację, nowoczesne budynki, parki i place. A pan chce ścieśnić, docisnąć... Cesarzowi szło o nie tylko upiększenie miasta, ale także ułatwienie transportu, poprawę higieny i zmniejszenie ryzyka rewolucji (łatwiej było kontrolować tłumy na szerokich ulicach). TVSiódemka wtedy się chyba jeszcze nie ukazywała. To znaczyłoby tyle, że w Paryżu, za cesarza nie było jeszcze tak źle, jak teraz jest u nas...

Cesarz to nie stopień czy funkcja ale tytuł. Podobnie było w Ludowym Wojsku Polskim. Co innego pieniądze na etaty, a co innego – dostępne szarże. I dlatego trafiały się nominacje na stopień podoficerski, ale opłacany z etatu generalskiego. Taka dygresja tylko...

Ile cesarz zbudował teatrów? Nie wiem... A pan?



Police. Leśno Górne, 1 stycznia 2024. Skutki zimowej nawałnicy. Czy podobne powstaną podczas wydzielania 300 działek na obszarze 460 hektarów, które Starostwo Polickie „podarowało” Azotom? Wszyscy na ten temat milczą. Jeden odsyła do drugiego. Na maila - nikt nie odpowiada. O co chodzi?

Nie lubią mnie...!?

A za co mieliby lubić? I kto? Rowerzyści? A i to nie wszyscy. Może gitarzyści?

Jeden skrzywił się właśnie. Ponoć ta sesja nagraniowa w antykwarycznym studiu w Stobnie wypadła owszem, prawie jak claptowne Unplugged dla MTV, ale przecież nie będziemy Ericowi robić konkurencji!

A inne aktywności, te na rzecz rozwoju regionu, takie jak inwestycje infrastrukturalne, programy społeczne czy inicjatywy proekologiczne?

No, teraz mamy hit! 300 działek w Policach, 460 hektarów. Takiej sali balowej nawet na Marsie nie mają.

Od półtora miesiąca próbujemy dowiedzieć się, na czym pole-

ga pomysł tej Ziemi Obiecanej, którą pan tak reklamuje. Według pańskiej rzeczniczki – **tylko** reklamuje i wspiera. Kogokolwiek nie pytamy o szczegóły tej przyszłej (polickiej) Kany Galilejskiej, ten milczy, inny nie odpowiada, rzeczniczka Starostwa Polickiego odsyła nas do Azotów, bo to one **uwaga!** przejęły w tym zakresie pełną reprezentację Starostwa wobec mediów. Czyli nas, TVSiódemki - bo żadne media szczecińskie sprawą się nie zajmują. Odrząbiły kolejny, wielki i uśmiechnięty sukces! Taką mamy prasę.

Sprawa nadzwyczajna. Czy taki stan jest zgodny z prawem? To tak, jakby Rząd Gwadelupy oddał dyrekcji mola w Zakopanem, prawo informowania opinii publicznej o pogłowiu żubrów na Kamczatce. Można? A czemu nie? Proszę tylko o podstawę prawną.



Korespondencja z Policami

Wkurzył się pan? A nie lepiej się pośmiać? No tak, rzeczywiście, bo każdemu, kto zapyta – jakiż to powód mamy do śmiechu, trzeba byłoby w odpowiedzi zacytować Gogola, który w „Rewizorze” pyta: **„Z czego się śmiejecie? Z siebie samych się śmiejecie!”**

Z takiego rządzenia regionem to już śmiać się nie da. Jak Pan komentuje tę sytuację? Oto **Starostwo Policke oddaje firmie komercyjnej wszelkie uprawnienia w całym zakresie informowania opinii publicznej w związku z planami budowy biznesowego Disneylandu w Policach**. Może warto złożyć wniosek do NIK? Może... w Policach powstała jakaś Republika Azotowa? Taki gospodarczy Park Biznesowej Rozrywki?

A tak przy okazji... Wie pan, jaką powierzchnię zajmuje Wald Disney World Resort w Los Angeles? Prawie 12 tysięcy hektarów. Więc ten nasz, policki, to akurat tyle, ile trzeba na parę biznesowych zjeżdżalni i huśtałek.

Pytanie miesiąca (na poważnie): Kto ocenia animatorów polityki regionalnej, szczególnie w jej aspekcie gospodarczym?

Prasa hucznie odnotowuje zapowiedzi różnych państwa działań. Jeszcze palcem nikt nie kiwnął, a media szaleją – będzie wspaniale, wyjątkowo, niepowtarzalnie, nadzwyczajnie... Ale ta prasa opisuje fakty tylko do momentu otwarcia, przecięcia, uruchomienia... I do tematu później nie wraca. Jeszcze wysłoby coś nie tak i wtedy te wcześniejsze zachwyty trzeba byłoby odkręcać... Kiedyś – sytuacja nie do pomyślenia. Dziś żaden pismak nie będzie się babrał w śledzenie, sprawdzanie, weryfikowanie, analizowanie, dochodzenie czy odpytywanie.

Co się w Szczecinie udało?

Ale tak z podskokiem, z iskrami i zadyszką, na pohybel reszcie świata?

Proszę o jeden przykład. Jeden. Czy my, szczecinianie, przez osiemdziesiąt lat zrobiliśmy coś takiego, co prawnukom z dumą pokazywać będziemy?

Kto wymieni? Dokonania epokowe. Przykłady dumy i uporu. Pomijam lata odbudowy, a raczej odgruzowywania miasta.

Co stworzyliśmy na miarę mijającego właśnie osiemdziesięciolecia Szczecina?

Pytanie stawiam z całą powagą i wykluczam odpowiedzi pokazujące np. gmach Filharmonii. Nie nasza to robota – i wielokrotnie to podkreślałem – nie dla nas. Nie dla Szczecina.

Dziś chętnie wróciłbym do wystawy konkursowych projektów, która była eksponowana w holu dawnej Filharmonii. Ciekawe, jak zgłoszone wówczas inne projekty zaistniałyby w naszej świadomości dziś, po latach, gdy mamy już za sobą przygodę z tą podświetlaną -

przepraszam - stodołą? No co ja zrobię, że z tym zacnym budynkiem gospodarczym kojarzy mi się to nasze cudo?

Ostatnio przemknęła mi przed uchem dyskusja o tym, jak fundamentalną i kulturotwórczą rolę we wprowadzaniu wioski Szczecin do grona światowych metropolii odegrała szczecińska operetka. Większej bzdury w odniesieniu do życia kulturalnego miasta nie słyszałem. Operetka była logicznym, normalnym, improwizowanym, jak wszystko wtedy w Szczecinie, przedsięwzięciem. Bywałem w niej, ciągle widzę te aksamitne tkaniny, widownię, lampki podświetlające schody, co dla operowego fana jakim ja wtedy byłem – stanowiło atrakcję największą.

Obecnej władzy można smalec za balsam sprzedawać.

Nowy teatr – zasłoną dymną jedynie...

Więc – przy okazji osiemdziesięciolecia Szczecina - pan Olgierd Geblewicz – ktoś inny miałby tyle fantazji – wymyślił nam **nowy teatr**. Rzecznik opisał jako Kwartał Kultury. Bo teatr to tylko pretekst do czegoś więcej. Wystarczy spojrzeć na założenia techniczne. Czekam na odpowiedź w tej sprawie z Teatru Współczesnego. **Kierownictwo rzeczywiście chce mieć taki teatralny thermomix?**

Dobrze więc... Kontynuujemy temat: Teatr Współczesny, a sprawa autorytetu pomysłodawcy.

W ostatnich pięciu latach Polska zajęta była pracami przy pięciu teatrach nowych lub rewitalizowanych. TR Warszawa, Teatr Muzyczny w Poznaniu, Teatr Polski w Szczecinie, Teatr Żelazny w Katowicach i Teatr Bydgoski IV Śluza.

Również pięć teatrów budowano/odnawiano w Niemczech. We Francji – tylko cztery. **Wysuwamy się więc na światowych liderów w budowie teatrów**. Tyle tylko, że chyba każdy spektakl z tamtych scen byłby wydarzeniem w Szczecinie, natomiast nie wiem, czy z którymkolwiek z naszych zaproszono by nas na występy do tamtych teatrów? Ale my wolimy niszowe festiwale i przeglądy!

U nas obowiązują inne kryteria oceny znaczenia instytucji kultury. Kierowniczka Przełomów podobnie jak – podobno! - cudownie ustępujący ze swojej funkcji, dyrektor najbardziej blaszanego sanktuarium nauki – budują sukces swoich placówek statystyką ilości gości, którzy te obiekty odwiedzili. Kiedyś przywożono do teatrów wojsko. Czemu nie wrócić do sprawdzonych tradycji? A, brak wojska.

Mam lepszy pomysł - bilety podwójnego użytku. Ci, którzy przeszli przez Centrum - wracają do wejścia i biegusiem pokonują trasę jeszcze raz. Liczniki kręcą się jak szalone, a statystyki wykażą nie pół miliona, a milion gości! I to będzie zgodne z prawdą!

Wracając do nowego Teatru Współczesnego... Zastanawiałem się, kto może włożyć kij w szprychy naszemu Hermesowi, na rympał mknącego otwieranymi przez siebie rowerowymi ścieżkami, niestety, nie kultury? Oczywiście! Tylko Konserwator Zabytków. Mamy ich dwóch: miejski i wojewódzki. Pewnie koledzy, może nawet znajomi, a już bez wątpliwości – znawcy przedmiotu, o którym – jak widać, mierne pojęcie ma nasz bohater. Tym miejscem jest zaplecze kompleksu Wałów Chrobrego.

Nasz Cape Canaveral kultury! Szczeciński Bajkonur!

O kompleksie tym napisałem półtora roku temu, że jest architektonicznym pomnikiem w skali europejskiej. Tekst pod tytułem „Ile Stettina jest w Szczecinie” nigdy się w lokalnej prasie nie ukazał. Dlaczego? Bo kierownik gazety stwierdził, że mamy lepsze osiągnięcia: Morskie Centrum Nauki i Filharmonię.

Dziś powtórzę – ośmielony listem, jaki otrzymałem w tych dniach od pana Michała Dębowskiego, Miejskiego Konserwatora Zabytków przy Urzędzie Miasta: całe Hakenterasse są **naszym architektonicznym skarbem**.

Wyrównajmy szanse

Z jednej strony marszałek, a z drugiej... no, powiedzmy – zwykły fachowiec.

Kilka słów o recenzencie pomysłu umieszczenia Kwartału w miejscu wskazanym przez pomysłodawcę. Pan Michał Dębowski pełni funkcję Miejskiego Konserwatora Zabytków w Szczecinie od września 2018 roku.

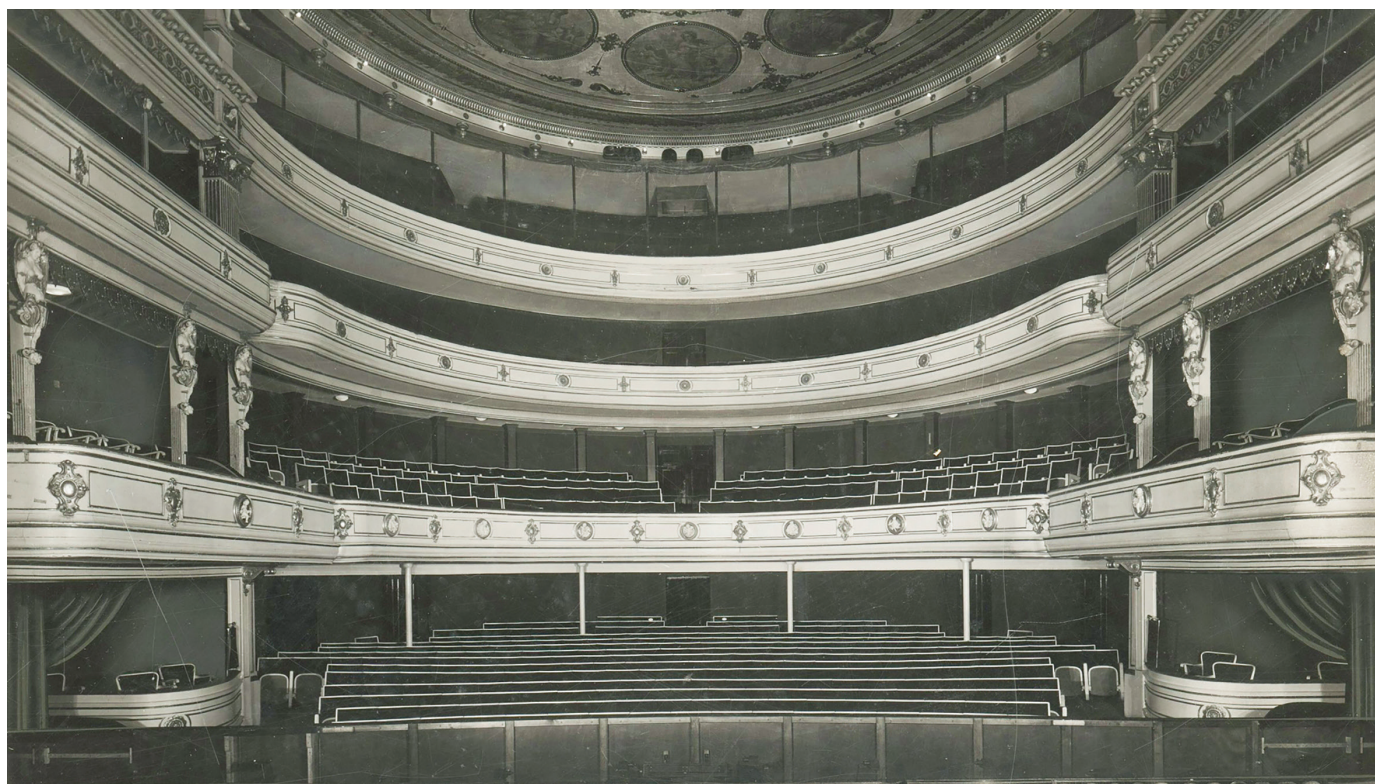
- Wychowanie: historia sztuki na Uniwersytecie Jagiellońskim
- Akademia Dziedzictwa w Krakowie - gdzie pogłębiał wiedzę

z zakresu ochrony i zarządzania dziedzictwem kulturowym.

- Stypendium na Università degli Studi di Udine – co pozwoliło mu na poszerzenie horyzontów w dziedzinie nie tylko włoskiej sztuki.
- Wojewódzki Urząd Ochrony Zabytków w Szczecinie (2010–2018): tam kierował Wydziałem Zabytków Nieruchomych, gdzie zajmował się nadzorem nad ochroną zabytków nieruchomych w regionie.

Osiągnięcia:

- W kościele parafialnym w Żabowie koło Pyrzyc zidentyfikował nieznany wcześniej obraz autorstwa czeskiego malarza barokowego Petra Brandla. Dzieło przeszło konserwację i zostało zaprezentowane na wystawie w Galerii Narodowej w Pradze.
- Pod jego nadzorem przeprowadzono kompleksową renowację zabytkowej Willi Lentza w Szczecinie.
- Jest znany z aktywnej komunikacji z mieszkańcami poprzez



To ciekawe... Podejmujemy śmiało i nowe wyzwania. A brak nam odwagi, by uznać rację tych, którzy wizję tego miasta tworzyli i realizowali.

Odbudujmy wreszcie te najbardziej reprezentacyjne miejsca według ich natywnego kształtu.

Na fotografii z Internetu - gmach przedwojennego Teatru Miejskiego i jego widownia, oglądana ze sceny.

media społecznościowe, co przyczynia się do zwiększenia świadomości i zaangażowania społeczności w ochronę zabytków.

Jest miłośnikiem muzyki dawnej i współorganizuje wydarzenia artystyczne z Fundacją Akademia Muzyki Dawnej oraz Fundacją Zamek Rozтока. Akceptuje nowy gmach Filharmonii.

W liście skierowanym do naszej redakcji pan Michał Dębowski uzupełnił swoją publikację z konta facebookowego. Wybrałem najważniejsze jej fragmenty, akcentując niektóre stwierdzenia.

Szanowny Panie!

Przyznam, że dawno nie czytałem tak trafnej, tak panoramicznej i tak niestety gorzkiej diagnozy kondycji szczecińskiej kultury. Jestem pod wrażeniem pańskiej przenikliwości, choć przyznam, że obraz jaki Pan odmalowuje nie napawa nadmiernym optymizmem.

Jak Pan zauważył, Miejski Konserwator Zabytków nie odpowiada za repertuar teatralny ani tym bardziej za całokształt wizji rozwoju kultury w mieście. Jednak z racji sprawowanej funkcji, ale też moich zainteresowań, staram się być czynnym uczestnikiem, a czasem nawet twórcą (choć to pewnie zbyt wygórowane mniemanie) kultury w mieście. Rzeczywiście na sercu leżą mi sprawy ładu przestrzennego i ochrony historycznej architektury i założeń urbanistycznych Szczecina i rzeczywiście w tym zakresie posiadam pewne kompetencje, z których staram się korzystać najlepiej jak tylko potrafię.

W sprawie pomysłu „Kwartalu kultury”, bo nic więcej prócz pomysłu Pana Marszałka i swoistego **szantażu finansowego**, w tym temacie się nie pojawiło, moją rolę jest zderzenie politycznego woluntaryzmu z tzw. Realpolitik, poprzez **uzmysłowienie decydem, na jakie obiektywne, oparte na faktach uwarunkowania ten pomysł natrafia i jakie konsekwencje może nieść dla unikatowego w skali Europy założenia urbanistyczno-architektonicznego, jakim są Wały Chrobrego. Osobiście ubolewam nad tym, że władze miasta właściwie skapitulowały w tym temacie i nawet nie próbują odpowiedzieć na pytanie jakiego teatru (a dopiero w dalszej kolejności, gdzie?) potrzebujemy, po co Szczecinowi w ogóle jest Teatr, jakie powinien pełnić misję, jakie stawiać pytania itd.**

Na temat samej proponowanej lokalizacji wypowiadałem się już przy różnych okazjach, w tym na specjalnie zwołanej w tej sprawie Komisji Kultury Rady Miasta.

- Rolą architektury tworzonej na potrzeby kultury jest definiowanie odpowiednich ram, nadawanie formy adekwatnej dla rozumienia i wyrażenia idei stojących u podstaw artystycznej kreacji. Tak rozumiana architektura ma szansę stać się nie tylko pocztówkowym *landmarkiem*, ale też współtworzyć i wzmacniać wartości służące budowaniu kulturowego potencjału miasta czy instytucji.
- Nie ma chyba osoby w mieście, która uznałaby, że po 70 latach prowizorki i niemocy kwestia tymczasowej siedziby Teatru Współczesnego nie wymaga trwałego rozwiązania. **"Zbita z dykty scena" zajmuje najbardziej wartościowe przestrzenie muzealnego gmachu**, przesłaniając centralną salę kopułową.
- Jako członek Rady Muzeum Narodowego w Szczecinie czuję się w obowiązku, by wyrazić swoje obawy o przyszłość muzeum (...) i (...) wysiłku kilku pokoleń polskich muzealników, próbujących tłumaczyć i interpretować przez pryzmat polskiej racji stanu niełatwe dziedzictwo Szczecina i Pomorza. Tymczasem **o przyszłości muzeum próbuje mówić się bez udziału samego muzeum, a nawet wbrew opinii środowiska muzealników i historyków sztuki**. Świadczą o tym zarówno ostatnie decyzje kadrowe, jak i publicznie wyrażane przez organizatora muzeum oczekiwania, co do **przyszłości kolekcji Gryfitów, stanowiącej bodaj najcenniejsze pod względem historycznym i artystycznym zbiory muzeum**. W retorykę tę wpisuje się niestety nieomal triumfalnie ogłoszona "decyzja" o utworzeniu na Wałach Chrobrego "kwartalu kultury", który miałby w sobie łączyć zarówno funkcje muzeum jak i teatru, a w założeniu pomysłodawców być jedynym remedium na wszystkie problemy zarówno jednej jak i drugiej instytucji.

- Dodam, że do tej pory **perspektywa konserwatorska w ogóle nie była brana pod uwagę** przy analizowaniu sprawy lokalizacji siedziby Teatru Współczesnego. Dobrze się stało, że dzisiaj po raz pierwszy mogły wybrzmieć uwarunkowania konserwatorskie dotyczące proponowanej lokalizacji na tyłach istniejącego gmachu muzealnego. **Istnienie tych uwarunkowań w żadnym razie nie może być traktowane jako przeszkoda do przeskoczenia lub ominięcia, ale jest faktem obiektywnym, wynikającym z ochrony prawnej terenu wskazanego do zainwestowania**. Ochrona ta wynika z wpisu do rejestru zabytków samego gmachu muzeum wraz z terenem nieruchomości, na jakiej jest usytuowany, zespołu tarasów widokowych Wałów Chrobrego wraz z układem ulic, małą architekturą, murami oporowymi i schodami, starodrzewem wkomponowanym oraz fragmentu Parku im. Stefana Żeromskiego (ob. Plac Praw Kobiet).
- Tym samym **obowiązujące przepisy prawa obligują konserwatora zabytków do oceny planowanych działań inwestycyjnych pod kątem ich wpływu na zabytek, jakim jest nie tylko sam gmach Muzeum Narodowego, ale też szerszy kontekst urbanistyczny Wałów Chrobrego**.
- Teren na zapleczu muzeum na Wałach Chrobrego **od ponad stu lat jest przewidziany pod rozbudowę funkcji muzealnych**. Mało tego! Rozbudowa ta została w zasadzie zaprojektowana przez Wilhelma Meyera-Schwartau wraz całym założeniem monumentalnych tarasów nadodrzańskich i główną częścią gmachu dawnego Muzeum Miejskiego od strony rzeki. Jednak ze względu na wysokie koszty rozbudowy, jak i dalszą perspektywę rozwoju kolekcji muzealnej, została ona odłożona w czasie.
- Przedwojenni urbaniści i architekci, inspirowani ideą nadburmistrza Hermanna Hakena, w sposób trwały zdefiniowali przestrzeń nadodrzańskiej skarpy Dolnego Wiku, pozostawiając po sobie **unikatowy na skalę Europy zespół architektoniczno-urbanistyczny**. Zarówno skala jak i symetryczna kompozycja zespołu definiowały cechy gmachu muzealnego. Nadając mu ostateczny kształt, Meyer-Schwartau zakładał, że cechami budynków, które staną po obu stronach muzeum „powinna być zwartość, spokój i pewne podporządkowanie Muzeum”.
- Budynek muzeum miał zyskać drugą fasadę, zwróconą w stronę parku i miasta, natomiast pozostałe gmachy tworzące zespół architektoniczny Wałów Chrobrego skierowane były reprezentacyjnymi fasadami na wschód, ku Odrze, tworząc, jak to określił prof. Rafał Makala „fasadę miasta”.
- **Mamy więc do czynienia z przestrzenią ściśle zdefiniowaną historycznie**.

Pełny tekst wystąpienia pana Konserwatora Miejskiego na Jego koncie facebookowym.

Chciałbym zapytać pana Olgierda Geblewicza – dlaczego pan nam to robi? Dlaczego rzuca pan w przestrzeń pomysły, zbiera na nie środki, podrywa przedsiębiorców, którzy z milionami w zębach biegają, by pomysł pana realizować? Jaki pan ma cel, aby swoimi fantazjami burzyć nasz szczeciński spokój? Ma Pan niezwykle wprost możliwości, aby zadbać o własny rozwój, douczenie się i zdobywanie wiedzy poprzez podpytanie podległych panu specjalistów, **co sądzą o pańskich ideach?** A potem dziwi się pan, że ludzie, szukają słów i sformułowań, unikając określić mocnych i jedynie trafnych, mówiąc łagodnie, że strzelił pan kulą w plot.

Czyż nie pora na inne wyzwania?

Może warto rozejrzeć się za choćby karierą muzyka, na rowerowych rajdach, przemierzając uroki naszego regionu, na przykład w okolicach Polic, gdzie ma powstać... no właśnie, od tej kwestii rozpocząłem ten felieton... O, wiem – eldorado!

(Rządzenie, jak widać, nie jest już pana najmocniejszą stroną.)



Jaja sobie Panowie z nas robicie?

O, przepraszam, złamałem zasadę działania tzw. efektu prymowania (priming effect). Usłyszysz pierwszy wyraz, a mózg podpowiada ciąg dalszy: uderz w stół – i każdy dopowie: nożyce się odezwą. A ja zawałałbym: ręka cię zabiła! Niestety... Tak właśnie jesteśmy formatowani przez reklamę i polityków – reagujemy odruchowo i automatycznie. Za ich plecami czai się cała armia propagandystów. Kiedyś: oficerów politycznych.

Powstało wiele teorii na temat funkcjonalności naszego mózgu, stopnia jego wytresowania w skłonności do domykania niekompletnych wzorów. Najważniejsza z nich to teoria Gestalt. Albo zjawisko zamykania gestaltycznego.

Dobrym przykładem będzie tu – kalka rzeczywistej frazy, wypowiedzianej często przez pewną panią premier, wykorzystana w skeczu kabaretu Neonówka: „Teleexpress bez cenzury”. Gość programu na każde pytanie moderatorki odpowiada: „mamy dobry Sejm, wybitnych fachowców, gospodarka idzie do przodu, a ludziom żyje się coraz lepiej”. Neonówka znalazła doraźny sposób na takie chamskie zachowania. Sposób – tak, chamski. W myśl równie starej zasady: gwałt niech się gwałtem odciska.

I znów – starszym ku przypomnieniu, a młodym ku przestrodze – w okresie PRL takim politycznym refrenem było sformułowanie: „Aby Polska rosła w siłę, a ludziom żyło się dostatniej”. Białej gorączki dostawaliśmy w mediach, gdy te bez pokrycia, nadęte hasła były wywoływane przez propagandystów. Szczególnie w czasie pochodów pierwszomajowych.

A dziś? W najpiękniejszym z systemów – w demokracji? Jest jeszcze piękniej! Oto fragment "zwiastowania", mowy-trawy ziemskiego wcielenia samego Archaniola Zachodniopomorskiego...

„... z naszej wspólnej troski o zachowanie dziedzictwa kulturowego oraz dbałość zarówno o stan techniczny i estetykę obiektów, które mają znaczenie dla mieszkańców naszego regionu”.

Zmieniły się tylko twarze i słowa

Przesłanie takich wystąpień jest niezmiennie od tysięcy lat. Ich celem – robienie z nas idiotów. Nie udało się ludzkości wynaleźć perpetuum mobile, ale w sferze propagandy fenomenalnie działa jeden mechanizm: **mówić ludziom to, co chcą usłyszeć, co wcale nie musi być prawdą**. I druga zasada: **mówić prosto, najlepiej ciągle to samo, to, co ludzie już dobrze rozumieją i wiele razy słyszeli**.

Nasi polityczni reprezentanci operują więc stereotypami, taplają się w komunałach, formatkach i formułkach. To jest norma. Pisma

piszą w stylu powiatowego fryzjera, językiem komiwojażera i obnosiciela dobrej nowiny. Ludzie od razu poczuć więź sympatii z takim „swojakiem”. Dobrze mówi, nasz człowiek. A poza tym – ta postawa, wygląd, szyk... Czy to nie w „Martwych duszach” Mikołaja Gogola spotykamy uwagi na temat kałamarzy oraz złożonych pagonów, co było równoznaczne z pozycją w hierarchii urzędniczej posiadacza tychże akcesoriów? No i wszędzie tam najważniejsze było odpowiednie zredagowane pismo. O! To największa sztuka! Styl i kaligrafia!

- Ach! – Zaraz otworzył rulonik, przebiegł wzrokiem i zadziwił się czystością i pięknnością charakteru pisma. – Ślicznie napisane – rzekł – nie trzeba nawet przepisywać. W dodatku jeszcze obwódka naokoło! Któż to zrobił tak zręcznie obwódkę?
- No, niech już pan lepiej nie pyta – rzekł Maniłow.
- Pan?
- Żona.
- Ach, mój Boże! Doprawdy, wstyd mi, że narobiłem tyle subiekcji.
- Dla Pawła Iwanowicza niczym są wszelkie subiekcje.

Docenić człowieka. Dobrodzieja i urzędnika. On bez woni wazeliny wprost mdleje.

Rulonik

Leży przede mną taki właśnie „rulonik”. Pismo Autora w całej naszej guberni najważniejszego. Pisane do jego partnera, który – ktoś z nas, zwykłych ludzi potrafi docenić? – też się natrudzić musiał, by napisać list godny tak pięknej odpowiedzi... Niestety, o obwódce i potencjalnie jej Autorce – nic nie wiem. Ale też mogło być zupełnie inaczej...

...umoczył pióro w kałamarzu z jakimś zapleśniałym płynem i mnóstwem much na dnie i zaczął pisać stawiając litery podobne do nut muzycznych, co chwila powstrzymując drżącą ręką, która skakała po całym papierze, lepiąc skąpo wiersz do wiersza i nie bez żalu myśląc o tym, że zostanie jeszcze dużo białego miejsca.

Białe miejsce... Gorsze od zarazy.

Sadził więc jeden z drugim durne zdania od lewa do prawa, banały i komunały, dyrdymały i kocopały, odwołania i porównania – dla powagi pisma! Pismo musiało przecież ważyć!

Sięgam na moją półkę pierwszych wydań polskich dramatów i obrazów scenicznych. Oto fragment z Józefa Szujskiego – „Długosz i Kallimach”, Lwów, 1880.

Kazimierz:

*Polityk! Mnie na sucho mowa się nie klei,
Musi mnie coś zapalić, wtedy słowa płyną.
Drżałem, kiedyś się starał przyodziać łąciną
Boleść, którą uczuwać w tej z Rzymem rozterce,
I boję się, czy nadto nie uniosło serce...
Popatrz, Mistrz mnie pochwalił i dodał z uśmiechem
Słów kilka, które już mi wydały się grzechem...
Wzruszoną mam do głębi... skołataną duszę
Dlatego Długoszowi pokażę... o muszę...*

Olbrecht (przeglądając mowę Kazimierza):

Musisz? Nie widzisz racji...

Ależ wyśmienicie!

Wspaniale! Co za ogień! Co za zapal! Życie!

Jaki język! Wybornie! Ależ dumna sztuka

Niech cię nie znam! (...)

No! no! mój Kazimierzu i ciętyś, i hoży!

Tak właśnie dyskutowali synowie króla Kazimierza Jagiellończyka... Tam o rzecz z papieskim Rzymem szło, a my, na szczecińskim podwórku, o czym dyskutować możemy? **O kwadracie kultury, w kółko prostokąta owalu za Wałami Chrobrego wpisanym.** Tam ci on, nasz Urzędnik - teatr (na przylepkę) widzi, dodany do UWAGA: Przestrzeni Edukacyjnej – czyli...??? (**badanie sprawy - w toku**).

My w redakcji TVSiódemki - wiemy, ale nie powiemy, bo szanujemy tajemnice osób trzecich, choć w tym wypadku – pierwszych. **Ta przestrzeń edukacyjna ma powierzchnię i rozmiar jak cały teatr z trzech scen złożony. I dobrze! Straciliśmy stocznnię, no to pora na wielkoprzemysłowy teatr! Szczecin jest przyzwyczajony do rzeczy wielkich. Szczególnie „teatralnych”! Na miarę wodzów! A co? Ktoś myślał – pardon – że na miarę widzów!?**

Jaja sobie panowie robicie?

Za durniów i głupców nas macie? Czego deficyt obaw w sobie tymi pismami wypełniacie?

Już widzę moment tworzenia... Widzę też to ujęcie na stronie internetowej Nadawcy, jego biurka pustego, z utensyliami władzy, rozmazanymi nieco ozdobić, a w tle – szczecińska Pała Herkulesa, podobna do Maczugi z okolic Pieskowej Skały. U nas na fundamentach „Dany” wzniesionej. Tam – przez naturę stworzonej. Swoją drogą, ciekawe... z którego miejsca fotkę tę wykonano? Zmontowano?

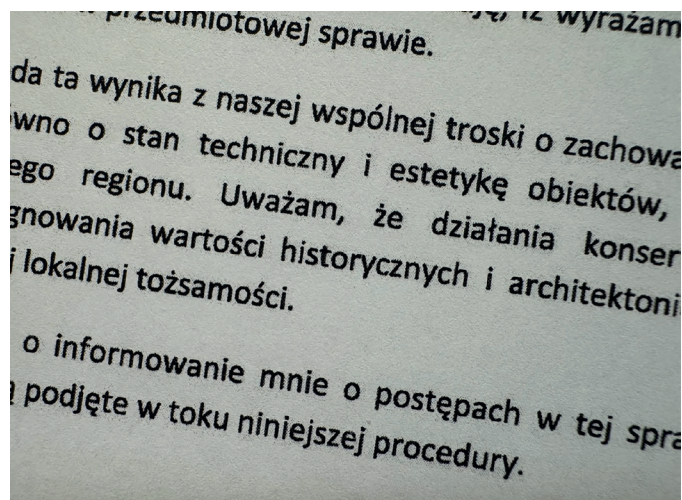
Kwarta! Kultury...? Bez geodety takiej figury wykreślić się nie dało. Zakładam, że mogło być tak: fachowiec wbił szkolny cyrkiel w fotel ze szczecińskich najpierwszy. I zakreślił koło... Kwadratowe, oczywiście.

- Nie tak szeroko, bliżej, wężziej, bym wszystko miał w zasięgu, niemalże pod ręką! – zawoła wizjoner ze wspomnianego fotela.

Na prawobrzeże miałby pan Majster jeździć? Pchać się przez to zatłoczone z miasta wylewisko? A co to, on szarak jakiś, że pospół z tą ludzką ciżbą przez godzinę lub dwie z pracy do domu miałby wracać? Albo na prawobrzeżną kulturę się kierować? Albo jeszcze gorzej – znów z domu do miasta do teatru jechać? Nie! Tutaj mu drugi nowy teatr postawimy i muzeum, trochę na mauzoleum przerobimy. I nie będzie nam tu Świnoujście oczu naszych swoim tunelem mamiło. Sami sobie, od fotela cyrklem przebitego, podziemne przejście do Przestrzeni Edukacyjnej Teatru wybudujemy. Już tylko patrzeć jak przemysłowiec jaki na biznesowym balu rzuci hasło: panowie, po kaflu na podziemny trotuar dla Słońca naszego. Jeden sobie w naszym mieście najdroższą ulicę na świecie wymodelował, to drugi miałby być gorszy od kolegi, w hierarchi mniej ważnego?

Basta!

Oto list, który w mieście tyle emocji wzbudził. Ogłaszamy World Premiere urzędniczej grafomanii! Czytaj ciemniaku z matolem i podziwiał wielkość i mądrość przywódców swoich. Píše tedy drugi do pierwszego:



...wyrażam zgodę na podjęcie przez Pana stosownych działań w przedmiotowej sprawie.

Zgoda ta wynika z naszej wspólnej troski o zachowanie dziedzictwa kulturowego oraz dbałość zarówno o stan techniczny i estetykę obiektów, które mają znaczenie dla mieszkańców naszego regionu. Uważam, że działania konserwatorskie są niezbędne dla ochrony, pielęgnowania wartości historycznych i architektonicznych, które stanowią integralną część naszej lokalnej tożsamości.

Proszę o informowanie mnie o postępach w tej sprawie oraz o wszelkich decyzjach, które zostaną podjęte w toku niniejszej procedury.

Z poważaniem.

Spadnij mi wreszcie łzo, łajzo jedyna, bo mi tylko swem wzruszeniem obraz laptopa mącisz, a wciornościom upustu nie dajesz.

Są ludzie, którzy pływają pośród pustostówia lepiej niż korek i ratunkowe koło. A i bez tego - utrzymują się na politycznej powierzchni. Są niezatapialni. Jedyni, w stosunku do których nie działa siła ciężkości. Ta, aby zaistniała, musi napotkać ciało cokolwiek ważące. Niewypelnionego – nawet nie poruszy.

Tu jednak mamy przypadek szczególny.

Przytoczona odpowiedź na pismo, którego Nadawca prosi Odbiorcę, by ten pozwolił temuż Nadawcy zajmować się sprawą przez Odbiorcę wymyśloną, bez analizy i przemyślenia miastu ogłoszoną, że Odbiorca... nie, zaraz, Nadawca... Moment, nie tak szybko, bo już nie wiem, który z nich tak tu miesza z tym Teatrem Współczesnym?

To stara metoda – wrzucić ludowi bzdurę, pomysł niby wielki, a niczym nie umotywowany, by wywołać wrzawę, poruszenie, w centrum którego jest - On.

I siedzę później ja(w ubiegłym tygodniu), naprzeciw jednego z najbardziej przebojowych biznesmenów regionu, i słucham nauki...

- Chodzi o medialną wrzawę! – mówi człowiek niejedną kielnią formowany. - O tę pomnikową minę: widzicie, chciałem dobrze, walczyłem o sprawę ważną dla mieszkańców regionu. Teatr chciałem jeszcze jeden wybudować... **Ale mi nie pozwolili.** O swoich wizjonerskich, pokątnych celach słowem nie piśnie. I na przykład całą winę zrzuci na konserwatora zabytków. Ale i tak najważniejsza jest ta obecność w mediach.

Więc o... niedopieszcz tu idzie?

Myśl taka, nie powiem, od dawna się do mojej świadomości dobijała. Niedowierzałem. Jak packą muchę, tak ja myślę tę gasiłem. Ale skoro nawet biznes o tym mówi? Zapytałem doktora.

- Sieroca choroba przedstawiciela administracji państwowej. W skrócie: syndrom odrzucenia. Poczucie niedoszacowania – puszcza do mnie oko sądowy ekspert, pedagog i bywalec salonów, doktor od spraw głowy. – Nic bardziej nudnego i stresującego jak pełnienie funkcji, która właściwie z niczym się nie wiąże. Trzeba podpisać, podzielić, zdefiniować, zrównoważyć. Ale od przygotowania i wymyślenia wszystkiego - ma się kilkuset urzędników! Jak w skupie owoców leśnych. Rączki w lesie się napracowały, a pan

wagowy koszyk na wadze kładzie i mówi – jest OK. Gorsza sprawa jest wtedy, gdy indywidualne pomysły naszego wodza nie zyskują aplauzu. A przecież – myśli sobie – są tak doskonałe, tak świetne.

Taki stan neurotyczny podpowiada różne rozwiązania. To mechanizm podobny do sytuacji strażaka podpalacza, który wznieca ogień, bije na alarm, sam z sikawką staje w pierwszym, awangardowym szeregu, a potem grzmi – „I znów winnego nie znaleźli!”.

Kallimach

Czy zawsze tak będzie?

Słuchajcie na tym wielkim bezbrzeżnym obszarze

Zachodu, co się słońcem gasnącem spromienia.

Wielkie dzieją się rzeczy. Świat szybko się zmienia.

Wiecie, że po tem morzu w szybkim biegną pędzie

Myśli ludzkie, nie w rzadkiej już pisma postaci

Ale z kutech w metalu ułożone głosów

Potężne, roznoszące z polaci w polaci

Świata wieszczbę zepsucia lub wieszczbę niebiosów.

Święte i świeckie rzeczy dzieła tego cudem

Rozejdą się szeroko, wszędzie między ludem

Jak między świata tego zastępy mocarzy...

Post scriptum

Żalotne.

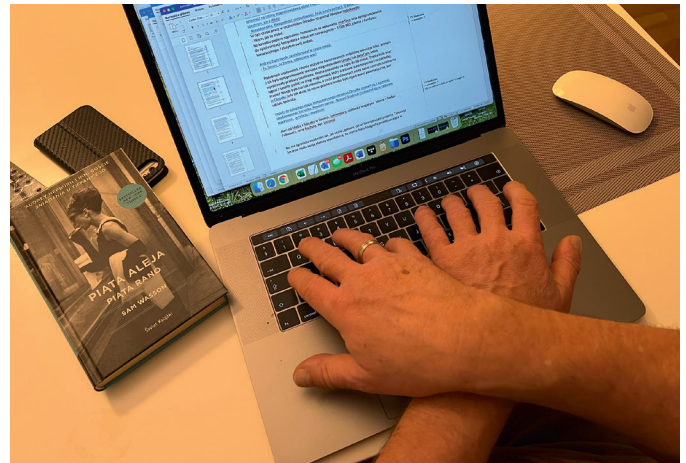
Ten felieton powstał z irytacji i bezsilności.

Bez wiary, w jakąkolwiek jego skuteczność.

Mógłbym brnąć w ten absurd dalej. Na przykład – wysłać ten tekst do biura prasowego Autora. Wpraszałem się do nich, proponowałem pani rzecznik Gabrieli Wiatr spotkanie, chciałem poznać tę kawalerię i ułanów słowa, jakimi mnie raczą, a które niebawem Państwu zaprezentuję. Prośby nie wywołały żadnego skutku.

Pięć razy prosiłem o wpisanie adresu redakcji na listę odbiorców informatora samorządowego. Wreszcie – dostałem jednego dnia, w odstępie minut – dwa komunikaty prasowe. Incydent? Czy może już prenumerata? Na razie – znów cisza.

W czasie mojej dziennikarskiej inicjacji, kontakt osobisty z informatorem był absolutnie fundamentalny. Koledzy powtarzali – musisz być wszędzie tam, skąd czerpiesz informacje, widzieć, rozmawiać z tymi ludźmi. Więcej od nich się dowiesz nie z wypowiedzianych słów, a ich reakcji i zachowania. Dziś pewnie te stare zasady już nie działają.



Czy mam zatem dalej posilkować się wizją, jaką oferuje mi jeden z moich ulubionych pisarzy? Tak ci tam – w tych ważnych biurach - rzeczywiście jest?

Twarze ich były pełne i okrągłe, niektórzy mieli brodawki, ten i ów był nawet dziobaty, włosów na głowie nie czesali ani w czub, ani w pukle, ani na sposób „niech mnie diabli wezmą”, jak mówią Francuzi; włosy mieli albo krótko podstrzyżone, albo przyzlane, a rysy twarzy bardziej zaokrąglone i mocne. Byli to najszanowniejsi urzędnicy w mieście. Niestety! tłuści lepiej umieją na tym świecie dbać o swoje sprawy niż chudzi. Chudzi są raczej urzędnikami do specjalnych poruczeń albo tylko figurują na liście i wałęsają się tu i tam: ich egzystencja jest jakoś nazbyt lekka, eteryczna i zupełnie niepewna. Tłuści zaś nigdy nie zajmują nieokreślonych miejsc, zawsze tylko określone i jeżeli już gdzie zasiadają, to pewnie i mocno, tak że raczej miejsce zatrzęszczy i ugnie się pod nimi, niż oni spadną. Zewnętrznego poloru nie lubią; ich fraki nie są tak dobrze skrojone jak chudych, za to w szkatułkach błogosławieństwo boże.

Gdzie szukać ratunku? Kogo wzywać na pomoc, by racjonalny wymiar kierowania regionem przywrócić?

Kanceliści są tacy bez sumienia! Dawniej można to było załatwić półrublem miedzią i workiem mąki, a teraz posyłaj całą podwodę kaszy i jeszcze czerwony papierek musisz dodać – taka to chciwość grosza! Nie rozumiem, dlaczego duchowieństwo nie zwróci na to uwagi, przemówiłby który do serca zbawczym słowem. Przecie słowem bożym można skruszyć nie wiem kogo, przecie, co tu gadać, słowu bożemu nikt się nie oprze.

Tylko przy urnie. Takie reguły gry wybraliśmy. Najlepsze z najgorszych. Demokratyczne. Ale dla kogo?

Ale, ale...

Co z tytułem tego felietonu?

Omiał zapominałem. Oto projekt regulaminu i ankiety zarazem: do naszego Szczecińskiego Gabinetu Figur Niefortunnych przyjmować będziemy postacie wielkich lokalnych przywódców, którzy wykazują się następującymi deficytami emocjonalnymi:

Brak empatii – ludzie traktowani jak narzędzia.

Narcyzm – obsesyjne przekonanie o własnej wielkości.

Paranoja – ciągłe podejrzenia i represje.

Nieumiejętność relacji osobistych – chłód emocjonalny.

Autorytaryzm – niezdolność do oddania kontroli.

Destrukcyjna ambicja – obsesyjne dążenie do chwały.

Kumostwo – zatrudnianie i awansowanie tylko bliskich, uzależnionych pracowników

Omnibusizm – każdy, ale żaden, nie mądrzejszy ode mnie

Fachizm – tylko ja się na wszystkim znam, reszta wykonuje moje polecenia

Zgłoszenia prosimy kierować pod wszystkie nasze adresy kontaktowe.

Porannik codzienny – tak w poprzednim numerze zatytułowałem zupełnie nową, nieznaną chyba felietonistycie i dziennikarstwu formę sumowania myśli.... Zazwyczaj, rano, przy pierwszym łyku wody lub kawy – planujemy dzień. Ale też spoglądamy na wszystkie minione. I wtedy rodzą się myśli „bez adresata” ...

Wśród moich bliskich, pewną ich udręką, były „karteluski”. - Oooooo! Nie wyrzucaj, bo tam coś ważnego mogłem zapisać... I upychałem te moje fiszkowe „raporty” - gdzie się dało, by po latach odnajdywać je ku zadumie, radości, stresowi, ale zawsze z wielkim sentymentem. Dziś treści „karteluszek” łączę w całość ze współczesnością, oglądaną przez szybę, zmatowioną Czasem.



Niemcy – część pierwsza

Niemcy - to tak, jakbym właściwie wszystko już powiedział.

Niemcy w Szczecinie, to jednak zupełnie co innego niż Niemcy w Przemyślu lub w Kielcach? Ale już zupełnie inaczej słowo to wybrzmi w Gdańsku lub Wrocławiu. A w Niemczech?

W dzieciństwie, najgorszą pozycją na boisku była bramka. Każdy chciał grać w ataku. Nikt też wtedy nie godził się, aby być... Niemcem. Udawanie wojny, obok gry w piłkę nożną było najczęstszą zabawą pośród gruzów, wokół bunkrów, lejów po wybuchu bomb albo cmentarzyka.... poniemieckiego, oczywiście. Niemiec zawsze ginął z naszych rąk.

Matka

(1962 lub 1963)

Widzę Ją jak... siedzi. To znaczy – przysiadła. Dopiero niedawno uświadomiłem sobie, że chyba nigdy nie widziałem, aby moja Matka usiadła wygodnie na jednym z dwóch foteli, tych z zielonym obiciem. Nie miała wtedy dość pieniędzy, aby kupić komplet. Cztery. Do tego - trójkątny stolik. Kawowy, jak mówiło się na taki mebel. I jeszcze... zielonkawy dywanik. Wzorzysty. Jajecznicza na szczypiorku. Gdzie on się podział?

Tę sylwetkę Matki, wspartej na prawym łokciu o oparcie fotela, gotową do natychmiastowego zerwania się na równe nogi - skojarzyłem z ... Niemcami.

Gdy wybuchła wojna, Matka miała dwanaście lat. W tornistrze, obok książek i zeszytu chowała dwie kolorowe kredki. Ale nie rysunki lecz kaligrafia bardzo Ją zajmowała. Całe życie kreśliła litery kształne, idealnie pochylone, zamaszyste, ozdobne, z ogonkami, daszkami, z chusteczką na „l” lub łapką pod „q”.

Jej Ojciec był wziętym zarządcą rolnym. Prowadził duże majątki i gospodarstwa obszarne, był ceniony przez jaśnie państwa, ale po wybuchu wojny, bez własnej ziemi, z kilkunastoosobową rodziną szukał miejsca, by wszystkie dzieci mieć przy sobie.

Któregoś dnia, na podwórzu zajęchała bryczka. Wysiadł z niej postawny mężczyzna, junkier, który scalił wiele gospodarstw w okolicach Miławy. Przyjechał z żoną, która bacznie lustrowała całą rodzinę, bo Niemiec kazał im ustawić się w szeregu. Niemka wskazała na Jachynę, jak zawsze później rodzeństwo zwracało się do mojej Matki, Joanny.

- Du!

Niemiec obszedł dziewczynkę dookoła, skórzanymi rękawicami uderzył obszerne bryczesy.

- Jutro przyślesz to dziecko do dworu. O szóstej rano.

Nie wiem, czy Dziadek protestował. Wiem, że babcia Franciszka

przytuliła swoje siódme dziecko. Nie sędzę, by płakała. Jak pamiętam – była kobietą o wyjątkowo dumnym wyrazie twarzy.

O świcie, Dziadek odprowadził moją Matkę do dworu. Pewnie była pięknie ubrana, uczesana, może nawet miała białe kolanówki. Z taką czerwoną nitką związaną na kokardkę. W takie później nas stroiła...

Dziś, na to wspomnienie, czuję rozpalone do czerwoności kamienie, do których nawet zbliżyć się nie sposób.

W domu junkra, przez cały dzień ta dziewczynka stała w progu pokoju żony obszarnika i czekała na jej skinienie. Została służką, której zadaniem było coś podać lub przynieść. Całe dni, całusiennie dni – milczała i obserwowała tę Niemkę. Nie pamiętam, by kiedykolwiek wymieniła jej imię lub nazwisko.

- Codziennie, dwanaście kilometrów, rano biegłam do dworu i wieczorem wracałam. Lato czy zima. Całą wojnę... Nikt mnie o nic nie pytał, z nikim nie rozmawiałam, nikogo nie interesowałam. Raz, może dwa razy wykonałam jakieś polecenie niezgodnie z życzeniem tamtej kobiety...

Nigdy nie dokończyła tego zdania. Nie powiedziała nic więcej o latach, które dziecko powinno było spędzić w szkole, wśród rówieśników lub w domu, pośród rodzeństwa, uczestniczyć w życiu rodziny, rysując kredkami lub doskonaląc kaligrafię.



Ojciec i Matka, lata 40. XX w.

Pięć lat stała w progu, gotowa do natychmiastowego wykonania polecenia. Jak mogłaby później usiąść wygodnie, w fotelu z zielonym obiciem, przy trójkątnym kawowym stoliku...?

Nowy kanclerz

(luty 2025)

Kątem oka widzę, jak przemawia. Wysoki, szczupły, o pociągłej twarzy, energicznie gestykuluje. Nie słucham, co mówi. Ale mówi to, co chcą słyszeć jego zwolennicy. Kamera pokazuje tłum wiwatujący, uśmiechnięty i zadowolony. Mają nowego przywódcę.

Niemcy muszą mieć wodza. Niemcy, na co dzień skoncentrowani, wyzbyci fantazji, nonszalanci, lekkości ducha – zapracowani, punktualni, solidni. Tacy Niemcy muszą czuć silną rękę. Kiedy patrzę na swoją pięść, miarkuję, czy jest już dość wyrazista?

Lekki śnieg, zaledwie pół stopnia mrozu. Wtorek. Od siódmej rano dwóch robotników siedzi na dachu. Kończą montowanie nowego zadaszenia w owczarni sąsiada. Uświadamiam sobie, że zawsze przyjeżdżali w poniedziałek. Ich auto parkowało wtedy zaraz za zakrętem. Śmieciarka, która zawsze o 9:15 opróżnia pojemniki, do mojego musiała wtedy podejść na dwa zakusy.

Szkolny autobus zabrał dziś jedno dziecko. Dziesięć lat temu przy rondzie stała pokaźna grupka uczniów. Sąsiad, ten od strony pół, już o dwóch kulach, z trudem wszedł do pickupa. Wróci do domu dokładnie o 16:15. O 11:30 przyjedzie ambulans pocztowy, a kwadrans później opiekunka do innego sąsiada. Będzie u niego dokładnie 29 minut.

Wczoraj zatrzymałem się przed pierwszym we wsi domku. Chciałem zrobić zdjęcie jednemu plakatowi wyborczemu. Hasło partii AfD, jedyny taki baner w promieniu, hm... dużym promieniu, mierzonym kilometrami.

Z pobliskiego podwórza wolno wysunął się ford. Na tylnej ścianie ma ciągle naklejkę DDR. Wiem, że jeszcze dwaj inni sąsiedzi mają podobne naklejki. Kierowca wysiadł, żeby zamknąć bramę.

- Dzień dobry...
- Plakat nie zniknął, a już po wyborach – zażartowałem.
- Niech wisi, na lepsze czasy.

Znamy się z widzenia. Kiedyś poczciarz zostawił u niego paczkę do mnie adresowaną. Pomylił się o dziesięć numerów.

- Jak będzie?
- Lepiej...
- Finansowo?
- Nie, po prostu - uczciwie
- ?
- Ktoś się o nas upomniał wreszcie.
- Ale wybory przegraliście.
- Ale Niemcy wygrały – pokiwał głową. – Nie chodzi o partię, a o człowieka.
- Mówisz o nowym kanclerzu?
- Dokładnie.
- Ale on...
- ... widać, że jest mocny.
- A co będzie ze mną?

Z domu wyszła kobieta. Teraz skojarzyłem oboje sąsiadów. Przed laty poznałem ją w lokalu komisji wyborczej. Gdy spóźniony, pewnie pół sekundy po 18:00, wpadłem do lokalu wyborczego, przywitała mnie po nazwisku. A przecież nie znaliśmy się...

- Ma pan nową kosiarkę... Głośna... – zagadnęła druga.

Byłem skonfundowany. I wiedziałem, wiedziałem, że wypomni mi ten incydent sprzed , o , ładnych już kilku lat. Było to jakoś, tak, około 2010 roku... „*Trawę kosimy we wtorki i czwartki, nie później niż do siedemnastej*”. Taka obowiązuje tu zasada. A ja, wtedy, przez dwa tygodnie byłem w podróży. Wiosenne zielsko wyrosło przed domem ponad miarę. Sąsiad skosił je, zostawiając w skrzynce pocztowej informację, potwierdzoną podpisem burmistrza, że następnym razem będę poproszony o wpłatę do wioskowej kasy 30 EUR, za nieprzestrzeganie regulaminu wspólnoty wiejskiej. Akurat wtedy zbliżała się rocznica ustanowienia wioski! Wszystko musiało wyglądać odświeżenie. Także mój dom.

- Ale kanclerz nie jest z AfD – wracam do przerwanej wątku rozmowy. Może czegoś nie zrozumiałem? Oni mówią tak niedbale, czyli – po swojemu.

- Ale mówi jak Niemiec...
- Nie rozumiem...
- Konkretnie.

Rozmowa się nie klei. Deszcz siąpi. Życzymy sobie miłego dnia. Każdy jedzie w swoją stronę. Nazajróż rozmawiam z dekarzem.

- Cudzoziemcy? A tak, protestujemy, bo dotychczasowe rządy bardziej nimi niż nami się zajmowały.

- Ale, że co, mieliby wasi rządzący nie pomagać imigrantom? Ci przybyście wspierają was w pracy... Za was pracują... Wyręczają was... - powiedziałem już niemal szeptem, widząc, że mój rozmówca robi się czerwony na twarzy.

- A widziałeś tutaj kogoś w pracy?

Milknę. W południe jestem w miasteczku. Mimo niemal zerowej temperatury, środkiem chodnika idzie nastolatka w stroju jakby to był późny czerwiec. Po jej obu bokach maszerują ciemnonoccy chłopcy, okutani w kurtki puchowe, srebrzyste i błyszczące jak strój kosmonauty. Na pewno bliźniacy - pomyślałem. Śliczni młodzieńcy, jak z barokowych malowideł. Ale o wyraźnie orientalnych rysach twarzy.

Skrećam do stolarza. Rozmawiamy o naprawieniu schodów.

- Dopiero jak syn kuzyna przejdzie. Sam nie dam rady. Ja już na emeryturze jestem. Nie wchodzę na drabinę. Nie mam siły...

- Ale ciągle siedzisz w warsztacie, Wolfgang... - tu każdy błyskawicznie przechodzi na ty. - Ucznia mógłbyś sobie wziąć? Taki duży warsztat...

- Ostatni odszedł dziesięć lat temu. Nikt nie chce pracować.

- Cudzoziemcy?

- A gdzie oni są? Pojawiają się i znikają. Jak woda w piasek. Wy jesteście, Polacy. Ale każdy z was ma już tutaj swój biznes. Zobacz, tam mieszka dwóch taksówkarzy ze Szczecina. Tu dwie nauczycielki. Tam cały dom należy do doktora. Adwokat, też Polak, już na emeryturze. Ten tłumacz ma jeszcze reklamę swojego biura, ale podobno wyjechał. A siedział tu więcej jak 35 lat!

- AfD przepędzi resztę.

- Bzdura.

- Tak mówią.

- Tam! – odrzuca głowę w bok. - Nie tu.

- Tak mówisz tylko...

Siadamy na stercie desek, które nie wiadomo od kiedy i nie wiadomo po co leżą tuż przy wejściu do stolarni.

- Złość jest, to prawda. Bo poprzednie rządy nie radziły sobie z waszą... agresją. Były bardzo nieudolne. Tam – znów rzuca głową, – robiłem ogrodzenie u ludzi, których widzę często w tej polskiej stadninie koni. Pracowaliśmy przy kilkunastu starych domach, wykupionych przez Polaków. W naszej drużynie piłkarskiej gra kilku chłopaków ze Szczecina. Jak była pandemia – nie trenowaliśmy. A wasz rząd chce od nas tylko jednego – miliardowych reparacji wojennych. A ci nasi politycy nie potrafią powiedzieć: to nie my wam to zrobiliśmy. Winni nie żyją od dwóch, trzech pokoleń. To jak długo jeszcze będziecie nas, Niemców, urodzonych po wojnie oskarżali? Ja się urodziłem w 1949. Moja żona w 1952. Całe życie pracowaliśmy. Moje dzieci, zaraz będą miały wnuki. To te moje prawnuki też będziecie ścigać i żądać pieniędzy? One nic wspólnego z nazizmem nie mają. Czy słyszałeś kiedyś, aby komukolwiek z Polaków krzywdę się gdzieś tutaj od Niemca przydarzyła, dlatego, że jest Polakiem? Zbito którego, okradziono, dom spalono? Verfluchten! Kto komu kradł samochody? Było zło. Nasz naród popełnił błąd, zapłacił za ten błąd. To, że po wojnie rządy nie umiały rozwiązać pewnych problemów, nie może obciążać nas, a was – uprawniać – do ciągłego podtrzymywania tego nastroju rozliczeń. **Ja nie mam poglądów politycznych. Ja mam swoje racje.** I ich będę pilnował, bez względu na partyjne kolory kanclerza. Nie chcemy tu żadnych komunistów ani radykałów. Chcemy dożyć swoich dni. Nie czujemy się winni za grzechy naszych dziadów czy nawet ojców.

- Proste i logiczne...

- i sprawiedliwe. A co chciałeś powiedzieć?

- Czy mi przyniesiesz ten kawałek deski na ostatni stopień schodów?

- Przywiozę ci po 16.00

- Ile mam szykować?

- Daj spokój, jeszcze ci jestem winny za tę bramę, którą mi dałeś. Widziałeś? Już zamontowałem. Na wiosnę pomaluję.

Brama rzeczywiście solidna, stoi. Wielka, czterech chłopów musiała ją na przyczepę wrzucić. Stoi z tyłu domu, nie od frontu. Tu, drzwi do stolarni są cały czas otwarte.



Dietmar Kammel

Urodziny

(Bremerhaven, sierpień 1984)

W samo południe Dietmar odebrał mnie z Columbus Center, gdzie umówiliśmy się z rzecznikiem prasowym miasta.

- Mamy godzinę, żeby dojechać na terminal kontenerowy. Więc...
- ...więc?
- Jeśli nie masz nic przeciw, zatrzymam się na kilka minut przed domem mojej Matki.
- Nie ma sprawy...
- Dziś sa Jej urodziny...
- O, to może na terminal pojedziemy jutro?
- Nie, plan jest plan, ale...
- ...ale?
- ...nie będziesz mi miał za złe, że nie zaproszę cię do mieszkania matki?

Zanim zdołałem cokolwiek odpowiedzieć, Dietmar sięgnął na tylne siedzenie, podał mi teczkę pełną jakichś materiałów.

- Przejrzysz, a ja tylko złożę życzenia Matce. Ona nie zgodziła się, abys ją odwiedził... – spojrzał mi prosto w oczy.

Wrócił rzeczywiście po kilku minutach.

Dietmar urodził się w Stettinie. Kiedy pierwszy raz spotkaliśmy się bodaj przed rokiem (1983), oprowadził mnie po swoim Śródmieściu. Jagiellońska, Piastów, Niedziałkowskiego, Pocztowa... Zaglądał w podwórka i bramy, gdzie bawił się z rówieśnikami. Weszliśmy do budynku szkoły, dziś także pełnej uczniów. Stał dłuższą chwilę na środku wielkiego korytarza. Wsłuchiwał się w szmery, głosy, jakieś dźwięki.

- Wie damals...

Rozpłakał się.

- Matka bardzo, bardzo przeżyła wygnanie ze Stettina. Tu się urodziła, tu miała bardzo liczną rodzinę. Była nauczycielką. Ojciec - urzędnikiem. Mieliśmy piękne mieszkanie. Ja miałem swój pokój. Ona inaczej rozumie to, co się stało. Nie ma mi za złe, że działam w Towarzystwie Przyjaźni Polsko-Niemieckiej, ale nie chce oglądać zdjęć z dzisiejszego Szczecina. Nie pozwoliła mi opowiedzieć, że byłem w naszym dawnym mieszkaniu, że nic się tam nie zmieniło, jest tylko jeszcze wiele śladów kul na tynkach domów. No i wszędzie jest o wiele więcej zieleni niż przed 1947 rokiem.

- Chciałbyś tu wrócić?



Columbus Center w Bremerhaven



2007, Międzynarodowe Targi Turystyczne w Berlinie. Aktorzy teatru w Szwedzt w improwizowanym spektaklu „Bis bald in Polen”.

- Żartujesz? Miałbym zostawić mój dom? Moją pracę? Zaraz awansuję. Mam laboratorium fotograficzne. Przyjaciół, znajomych. Nonsens. Tu jest moje miejsce.

- A Heimweh?

Wjeżdżaliśmy już na teren największego w Europie terminala kontenerowego. Czekał tam na nas ktoś z dyrekcji. Po południu zaprzyjaźniony z Erwinem, moim kolejnym znajomym z Bremerhaven – uciekinier z Czechosłowacji, reprezentant tamtego kraju w reprezentacyjnej drużynie hokejowej, obiecał, że zabierze mnie na wycieczkę swoją awionetką nad właśnie terenami portowymi.

- Look! – zawołał w pewnej chwili, pokazując palcem sylwetkę drobnicowca wychodzącego z kanału portowego w stronę otwartego morza. – Angriff!

Gwałtownie obniżył nos samolotu, wchodząc niemalże w lot pikujący. I jak dziecko zaczął wydawać okrzyki i wrzaski, przypominające odgłosy pokładowej broni maszynowej. – Tam, tam, tam, dum, dum, dum. To narzędziowiec! Dum, dum...

W powietrzu, przy ryku silnika cesny nie zrozumiałem tego słowa. Dopiero na lotnisku zapytałem, co powiedział...?

- Narzędziowiec, nie widziałeś bandery? Sierp i młot! W sobotę, dokładnie za dwa miesiące - żenię się. Przyjedź, zapraszam. Nie będę się czuł tak samotnie, sam jeden wśród tylu Niemców.

Regaty

(Szczecin – Berlin, 2007, *The Tall Ships' Races*)

- Impreza całodniowa. Kilkanaście tysięcy gości. Z całego świata. Nam najbardziej zależy na agentach i właścicielach biur turystycznych... Jeśli ich przekonamy do zlotu żaglowców, oni przekonają swoich klientów. I autokarami przywiozą ich do Szczecina.

- Proste – odpowiedział mojemu szkolnemu koledze, wtedy szefowi ZROT, Januszowi Stankowi. – Tylko Niemcy mogą skutecznie zareklamować Szczecin.

Ugryzłem się w język, ale, w gruncie rzeczy, spodobało mi się to sformułowanie. Kierowałem wówczas Biurem Prasowym ds. Organizacji Regat przy Urzędzie Miasta. Doskonale znałem klimat i specyfikę takich zlotów żaglowców. Dla telewizyjnego Magazynu MORZE przygotowałem wiele relacji z tych regat, a także targów

czy kontynentalnych wystaw żeglarskich, morskich, turystycznych. Każdego roku brałem udział w europejskich targach muzycznych, telewizyjnych, nawet perfumeryjnych i typowo okrętowych.

- Niemcy! Oni jako piraci, zmobilizują całą Europę, na wyprawę do Szczecina po skarby, którymi są najpiękniejsze żaglowce świata!

Warcisław Kunc, szefujący Operze, miał dobre relacje z Teatrem w Szwedzt. Pojechaliśmy tam chyba już nazajutrz.

- Jeśli zabraknie moich aktorów, poprosimy Stralsund o wsparcie. Czekam na scenariusz.

Jakoś tak głupio, miałem wrażenie, wypadła ta wizyta w gabinecie dyrektora teatru w Szwedzt. Nie pamiętam nawet czy dopiliśmy kawę? Czas, liczył się czas!

Scenariusz, teksty, role, próby... Niemalże w locie. Inwencja i sztuka improwizacji braci aktorskiej, ich pełne zrozumienie roli, jaką mieli do spełnienia zaskakiwało mnie na każdym kroku. Próby miałyśmy nie więcej niż trzy. Czytana, sytuacyjna i właśnie doskonalące pomysły na improwizację.

- Wiesz. Oni tutaj pracują jak w fabryce. Czy się to komu podoba czy nie, rano przychodzą do pracy. Uczestniczą w próbach albo nie. Wieczorem grają. Rutyna, rutyna, rutyna. A tu nagle – Berlin, Szczecin, regaty, piraci, wrzawa, show i dodatkowe honoraria! -

Popularny wówczas w Polsce Steffan Möller miał tu swoje kolejne pięć minut. Pięć minut to znaczy dokładnie to samo co fünf Minuten.

Impreza wypadła fantastycznie. Niemieccy aktorzy, na finał, porwali mnie i nowym, pirackim zwyczajem postawili litrowy kufel piwa. Nie miałem wyjścia. Musiałem wypić.

Niedługo później podjęliśmy współpracę w innej sferze, ale w tym samym, świetnym nastroju.

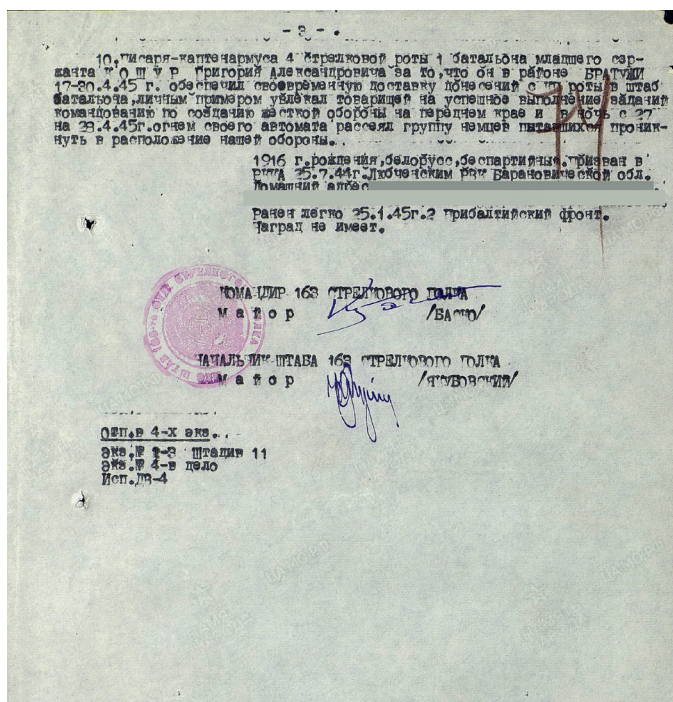
Medal

(Frankenwald, Steinwiesen, 2012, 600 metrów nad poziom morza, na tarasie apartamentu, który wynajmowałem u pani B., popularnej w owym czasie aktorki, znanej z wielu telewizyjnych seriali), nieprawdopodobnie magiczny wieczór na skraju góry, ostro opadającej w dół,

Ting... O, mail...

Ale nie ten, na który czekałem. Ten jest z... Sankt Petersburga?

No proszę, jakieś duże załączniki...



Dla pisarza kompanijnego 4 kompanii strzeleckiej 1 batalionu, młodszemu sierżantowi Koszurowi Griegoriewowi Aleksandrowiczowi za to, że w rejonie wioski Bratuz (znanej z działań wojennych 1812 roku - podkr. M.K.) zapewnił terminowe dostarczanie meldunków z kompanii do dowództwa batalionu, osobistym przykładem nakłaniał swoich towarzyszy do pomyślnego wypełniania zadań stawianych przez dowództwo, aby stworzyć twardą obronę na linii frontu, a w nocy z 27 na 28 kwietnia 1945 roku, ogniem swojego rozpuścił grupę Niemców, którzy le na teren naszej obrony.

- Marek! - czytam półgłosem wiadomość od dalekiego krewnego. - archiwum znalazłem kilka interesujących ciebie dokumentów. Jest dużo więcej, ale uzyskanie zgody na ich skopiowanie może być dno. Zobacz załącznik zatytułowany: medal.

Medal? Jedno tylko skojarzenie w głowie mi się roilo. W szufladzie Ojca był rzeczywiście medal. Brzydki, zwykły, może nawet bez baretki? Ale z wyraźnym napisem - za odwagę.

Wcielony do Armii Czerwonej po przeprowadzeniu Niemców okupujących Nowogródek, Ojciec trafił do ugrupowania frontowego. Zanim pojechał na front w Finlandii, walczył – no właśnie, nigdy o te sprawy nie dopytałem... Bo też Ojciec niczego nie unikał bardziej, jak opowieści o wojnie.

- Nu, gieroj! – Śmiałyśmy się, gdy medal lądował na stole wśród starych zdjęć i dokumentów. - Powiedz, za co?

Nigdy nie powiedział. Tylko dwie historie z tamtych lat mi przekazał. Pierwsza to ta, gdy w Wilnie, w czasie strajku uczniów zamknięto ich z pracownikami szkoły w piwnicy. Pojechaliśmy tam, jeśli pamiętam, w 1986, może 1987 roku. Było piękne lato. Ojciec przykleknął przy piwnicznym oknie. Popłakał się. Okrucieństwo Litwinów było bezprzykładne. Nie wierzył, że wyjdzie cało z tego więzienia. I drugi moment – gdy odzianych w biele, ustawiono ich, kilkuset młodych ludzi na peronie stacji kolejowej. Z budynku wyszedł oficer polityczny Armii Czerwonej. Przemówił.

- Dla вас возврата нет!

Kilka razy powtarzał te słowa: dla was nie ma drogi powrotnej. To, jak akcentował, jak artykułował te słowa, zawsze wzbudzało we mnie dziwne uczucie.

- Byliśmy mięsem armatnim. Byliśmy Polakami, pod okupacją niemiecką, potem czerwono-armijną, znów niemiecką. Takim jak my nie można było ufać - mówili komisarze. Postanowiono - zostaniemy mięsem armatnim. Będzie się nas wysyłało z okopów do ataku, by rozpoznać rozmieszczenie karabinów maszynowych wroga.

Grzech najcięższy, jaki każdy z synów popełnia, rezygnując z zadania Ojcom miliona pytań, by dowiedzieć się o ich życiu jak najwięcej, stał się także moim udziałem. Ale wtedy, w ten piękny wieczór, w sercu Frankenwaldu, sześć lat po odejściu Ojca, dostałem od... Niego, bo kimże innym, jak nie dalekim krewniakom miałby się wyreczyć – odpowiedź na pytanie: Tato, za co dostałeś ten medal?

W nocy z 27 na 28 kwietnia 1944 roku Ojciec pełnił służbę wartowniczą. Była ciemna noc. Żołnierze spali. Ojciec, **uzbrojony tylko w automat** – czytam w mailu krewniaka - **udaremnił dywersyjną akcję wroga, ratując życie wielu współtowarzyszy z pola walki.**

Dołączył skan oryginalnego rozkazu.

Czytałem i rozglądałem się za najmniejszą mysia norą, w którą powinienem był się teraz schować ze wstydu i braku szacunku dla Ojca.

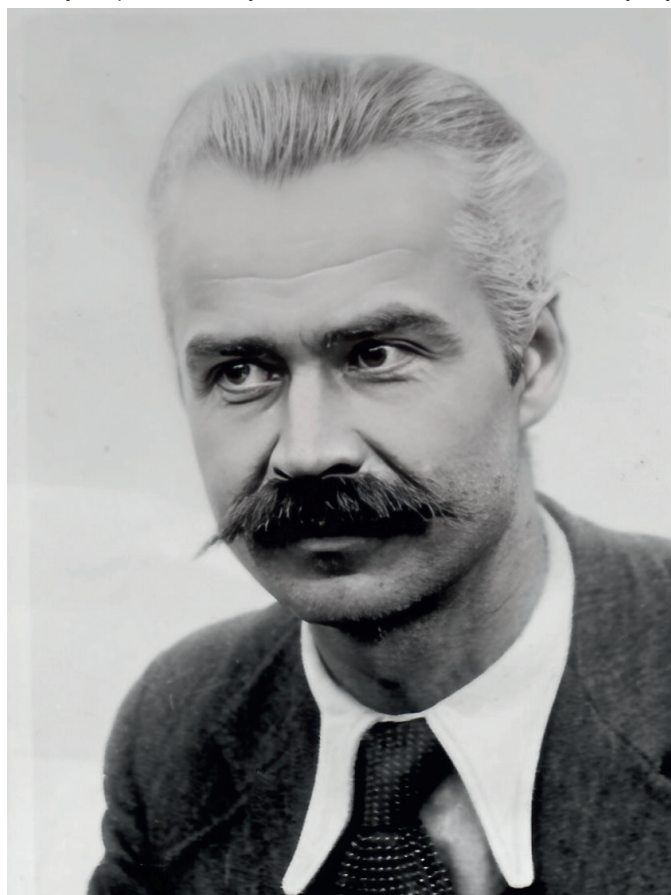
A tyle rozmawialiśmy, tyle razy pytałem: strzelałeś, zabiłeś Niemca, do ciebie strzelali?

„...ratując życie wielu współtowarzyszy z pola walki”.

Druaga historia? To ta z Finlandii, gdy szrapnel rozerwał mu szyję a On trafił do polowego szpitala. Tam, zorientowano się, że za języki obce. I znów mianowano pisarzem już większej formacji.

– Oni nie nie rozumieli. To byli prości, prymitywni ludzie. Tylko nagan i kula w łeb. To była cała ich mądrość. Tak wymuszali wykonywanie swoich rozkazów. A rozkazy trzeba było pisać albo przepisywać. Jeden z drugim brał ode mnie świeżo zapisaną kartkę do ręki, patrzył i – analfabeta – kiwał głową. Więc kilka wyroków śmierci udało się zamienić na skierowanie żołnierza nie do więzienia, ale... na leczenie. Albo zamiast przegrupować oddział na linię pewnej śmierci, trzeba było przekazać rozkaz zmieniający parametry rozlokowania. A jak przyszedł żołnierz, że tam, gdzieś, jego dziesięcioro dzieci... To trzeba było książeczkę wojskową rozkleić nad parą, wymienić karty na czyste i napisać rozkaz wyjazdu na tyły.

Niemcy? Unikał. Ale miał kolegę, dobrego znajomego, który z Podjuch przesiedlił się do Eisenhüttenstadt. Odwiedzaliśmy się.



Jerzy Koszur



Lothar Bagemihl (z prawej)

Ale Ojciec zazwyczaj siedział w domu z tym swoim znajomym. Całe dnie grali w szachy.

- Gdyby nie oni, Niemcy... – powtarzał - nie osiwiłbym w jednej chwili... Ile razy nie spojrzę na swoje odbicie w lustrze – wraca tamten wojenny koszmar.

Dopiero po latach skojarzyłem, że Ojciec nigdy nie golił się przed lustrem. Ileż było awantur – masz ciepłą wodę w kranie, nie musisz nosić jej z kuchni w tym obitym kubku... Tyle lat po wojnie, a on goli się, jak wtedy, w lesie, w lepiance....

- Jak szrapnel przeciął kark na całej szerokości, padłem twarzą w śnieg i straciłem przytomność. Po jakimś czasie unoszę głowę i widzę wokół siebie, jak okiem sięgnąć – tylko biel. Zabili – pomyślałem. Zabili! Jestem w niebie? Ja nie chcę. Ja chcę żyć! Zerwałem się na równe nogi i nagle poczułem ciepło spływające po plecach. Sięgnąłem ręką i zobaczyłem – krew. Ja żyję! Żyję! Osiwiałem w ciągu sekundy. Jak znalazłem się w szpitalu polowym – nie wiem. Nie wiem, nie rozumiem, dlaczego oni nam wszystkim to zrobili.

- Kto?

- Niemcy i sowici.

Lothar Bagemihl

(Szczecin i zagubiona w lesie między Hamburgiem i Bremą mała osada leśna i wiejska, z domkiem, jak z bajki, 1986-1988

Lothara poznałem chyba na jakiejś konferencji lub sympozjum dziennikarskim. A może w jego macierzystej redakcji w Radio Bremen?

- Urodziłem się w Stettinie, w 1928 roku - powiedział, ściskając mi dłoń.

Zakolegowaliśmy się. Był w wieku mojej Matki. Elegancja, elo-

kwencja, dystynkcja, doskonały francuski, przepiękna żona. Teraz na emeryturze – był doradcą rzecznika prasowego Niemieckich Kolei Państwowych.

- Wszędzie podróżuję za symboliczną opłatę. Wreszcie – podziwiam mój kraj!

Cudny domek, w niemniej urokliwej okolicy na trasie między Hamburgiem a Bremą. Pokój gościnny, w którym od czasu do czasu się zatrzymywałem, zawsze z elementami polskimi. Dyskretnie wplecionymi między firanki, falbanki, obrusiki, bibeloty. Sentyment czy kurtuazja wobec mojej osoby?

Mój znajomy miał marzenie. W młodości trenował wioślarstwo. W Stettinie, w klubie naprzeciw Wałów Chrobrego. Barwnie opowiadał o gonitwach aż pod elewator Ewa.

- Raz jeszcze wsiąść do łodzi i powiosłować... - powiedziała mi w dyskrekcji żona Lothara. – To jest jego największe marzenie. Za każdym razem, gdy jedziemy do Szczecina, on pakuje swój wioślarski trykot!

Załatwiłem wszystko. Dwa wyczynowe kajaki, młodzi wioślarze. Nawet pogodę, jak w sierpniu 1939 roku.

Z żoną mojego znajomego staliśmy na nabrzeżu, gdy Lothar poszedł zmienić strój na sportowy. Po chwili wyszedł z przebiegalni w tym oryginalnym trykocie, który przechowywał od tylu lat. Lekko spłowiała tkanina opinała ciągle wysportowaną sylwetkę mojego kolegi. Wszyscy zauważyliśmy coś, co jak kleks na śnieżnie białej karcie zepsuł tę nieco metafizyczną aurę, niczym z obrazów Williama Turnera – ślad po odprutej naszywce z hakenkreuzem.

Znaliśmy się wiele lat. Jakoś nigdy mi do głowy nie przyszło, żeby zapytać... Powinienem był?

cdn



Od Redakcji

Prasa i media całego, świata informują o każdym odkryciu fragmentów mozaiki z okresu Cesarstwa Rzymskiego, śladów odkopanych w Jerozolimie, ocalałych fresków Bizancjum czy wystroju komnat kreteńskich. Dlatego, że powstały dwa, trzy tysiące lat temu? Są arcydziełami sztuki? Też. Ale przede wszystkim dlatego, że są DOKUMENTAMI. Tworzą materialny ślad minionych pokoleń.

Szczecińskie, podobnie jak stargardzkie, świnoujskie, berlińskie, hamburskie czy monachijskie ślady wystroju domów liczą sobie sto i więcej lat. Te, które obserwowałem i dokumentowałem w Barcelonie czy Strasburgu, Turynie albo w Oslo - za kilka pokoleń uzyskają status starożytności. Są przedmiotem troski i dumy ludzi, którzy pośród nich mieszkają. A my? W Szczecinie? W samym jego Śródmieściu i Centrum?

Postanowiliśmy w redakcji upomnieć się piękno użytkowe, wytworzone przez naszych poprzedników.

Autorka cyklu materiałów o szczecińskim dziedzictwie, Małgorzata Wrzosek, od wielu lat dokumentuje miejskie ślady przeszłości. Roni łyż, fotografuje i opisuje zniszczenia, woła o pomoc. Dziś, przy ulicy Piastów utrwaliła kolejny przykład zwykłego barbarzyństwa. Zdjęcie podpisała: "Piękna drewniana balustrada jako popielniczka do odgaszania petów...".

To zdjęcie jest świadectwem całkowitej bezkarności osób i instytucji, które od wielu lat nie robią nic w kierunku **uświadamiania nowym pokoleniom**, jak ważna jest historia i praca, dorobek i piękno, unikalność i wyjątkowość śladów przeszłości.

Dość już tego bezgłośnego wołania o pomoc! Niszczysz ślady i dorobek minionych pokoleń? Podobny los spotka pamięć o tobie.

W wydanej w 1920 roku przez Ministerstwo Sztuki i Kultury książce architekta i konserwatora Jarosława Wojciechowskiego "Opieka nad zabytkami i ich konserwacją" czytam:

„Zabytki są pełnym wartości mieniem całego narodu. Ani jedno pokolenie nie ma prawa uważać się za bezwzględnie ich właściciela. Jest tylko czasowym depozytariuszem.”

Dobijanie dziedzictwa

Tekst i zdjęcia: Małgorzata Wrzosek

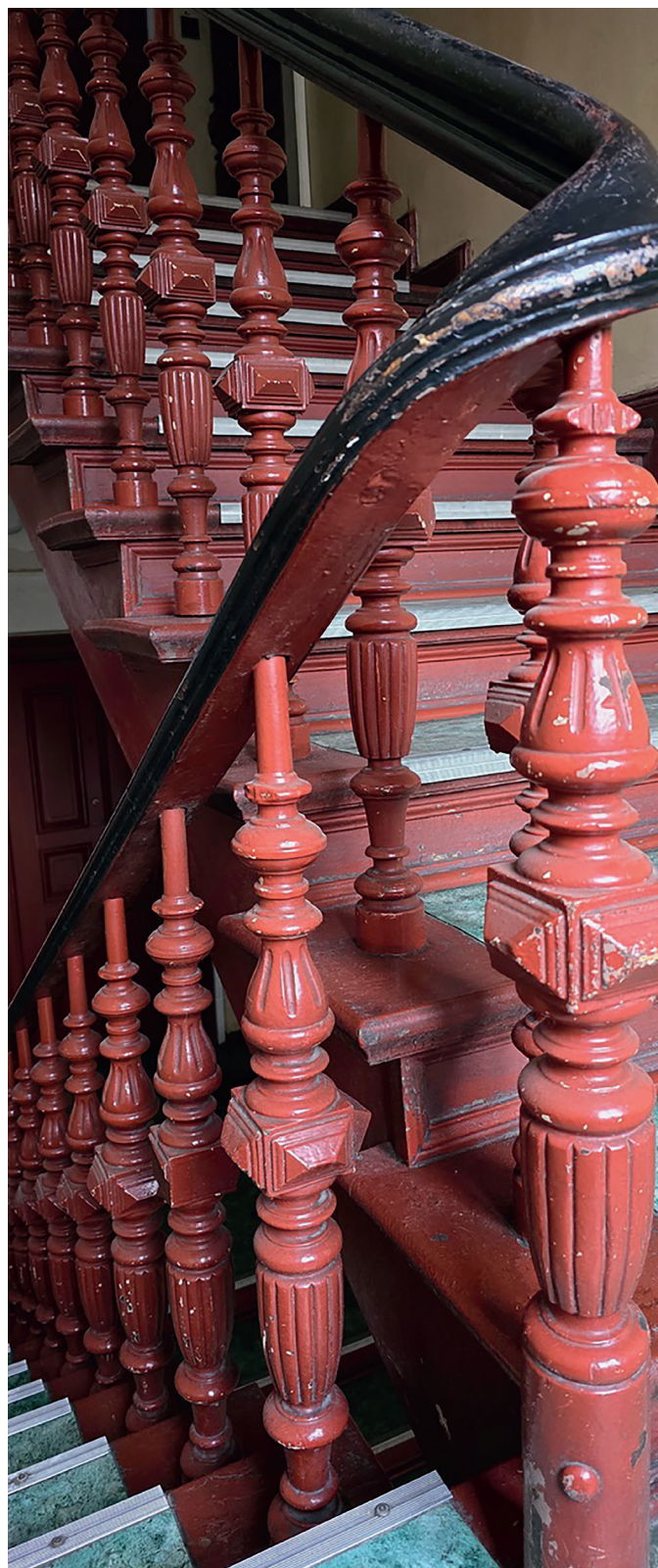
Jeszcze kilka stuknięć obcasów...

Jedną dłonią uparcie odgarniam niesforny kosmyk, wymykający się spod kapelusika z woalką i piórkiem, a drugą – koronkową – chwytam chłodną, mosiężną klamkę. Drzwi ustępują z lekkim zgrzytem, a ja niemal wpadam na jegomościa w eleganckim surducie. Mężczyzna unosi ciemne brwi, spoglądając na mnie ze zdziwieniem. Uchyliwszy lekko kapelusza, próbuje mnie przepuścić, lecz ja już przeciskam się między drzwiami a... jego uprzejmością.



Przystaję. Rozglądam się po wnętrzu przejazdu bramnego, chłonę jego niezwykłość. To nie na fasadzie, lecz właśnie tutaj, w półcieńcu, skrzy się i lśni kamieniczna magia.

Moje wysokie, zapinane buciki stąpają po barwnym, wzorzystym kobiercu.... Pod stopami czuję miękkość kwiatowych motywów. Ponad głową rozpościerają się rozłożyste, wybruszone żagle sklepień. Słyszę, jak spod witrażowego nadświetla wymyka się nieśmiały szepot chłodnego wiatru. Ulatując, wzniesie kurz ze schodów, płąsa między rzeźbionymi tralkami. Na moich oczach ściana rozkwita połyskującą mozaiką... niczym gobelinowy ogród marzeń. Idealny świat, by zatracić się w nim bez reszty...



STOPKLATKA

Nie wierzę własnym oczom.

Z miejsc, po których niedawno błdził mój wzrok, zachwycony lśniącoymi ornamentami, teraz... zieją luki! Widzę ubytki, ślady po wylupanych kafkach, wyrwanych fragmentach! Przez dziesiątki lat nietkniętych zębem czasu, a teraz **zniszczonych ludzką ręką**.

Czar stracił blask, a wehikuł czasu przygaśł...

A tak bardzo chciałam stać się damą w *sukni na krynolinie* i tym powieściowym wstępem, przenieść Państwa w epokę, w której wielkie znaczenie miała okazałość westybulu każdej kamienicy w centrum wielkiego miasta. Ponad sto lat temu, bogata ornamentyka fasady i wnętrz, nie tylko podkreślała prestiż miejsca, lecz niczym lustro – odzwierciedlała marzenie o zamieszkaniu w eleganckim, niemal pałacowym wnętrzu. Dziś tę rolę pełnią krzykliwe banery, zawieszane na fasadach i balkonach.

Sto lat...? Tylko osiemdziesiąt wystarczyło...! Bo choćbym nie wiem, jak się starała, to literackim wstępem nie przykryję obrazu dewastacji wystroju zabytkowych kamienic.

To jawny zamach na dziedzictwo kulturowe, także w wymiarze pozamaterialnym.

Oto cytaty sprzed szesnastu laty, z mojego artykułu: *“Przejazdy bramne oraz sienie w szczecińskich kamienicach z przełomu XIX i XX wieku”,* który... nic nie stracił ze swej aktualności:

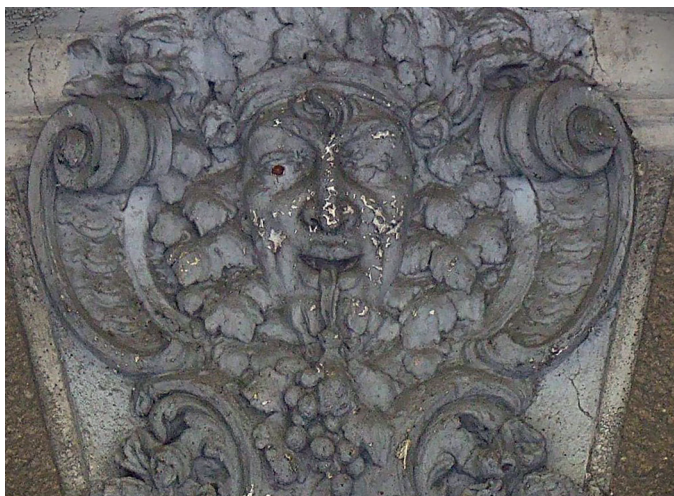
„Przechodzimy obok nich obojętnie, nie zastanawiając się, co kryją za zamkniętymi drzwiami. Bramy – przejazdne i przechodnie - często zdewastowane, cuchnące i brudne. Trudno dziś uwierzyć, że ponad sto lat temu, stanowiły wizytówkę kamienic czynszowych. W połączeniu z kostiumem fasady, swoim wyglądem oraz estetyką miały zachęcać potencjalnych klientów do wynajęcia mieszkania. Najbardziej dekoracyjne wnętrza przejazdów bramnych i sieni znajdują się w kamienicach z przełomu XIX i XX wieku, wzniesionych w samym centrum miasta, przy najbardziej reprezentacyjnych ulicach.”

Temat, który w tym felietonie zamierzam poruszyć, jest niczym podszewka – pozostaje poza zasięgiem naszego wzroku. Bynajmniej nie lśniącą już i nie jedwabną, lecz sponiewierana – nie tyle upływem lat, co bezmyślnością tych, którzy ją użytkowali. A przecież jest tak ważnym elementem wykończenia eleganckich kreacji. W Szczecinie, niestety, zepchnięta na margines.

Postanowiłam więc podszewkę odświeżyć, a wręcz wywrócić ją na drugą stronę.

Nicowanie podszewki

A wszystko zaczęło się od informacji o dwóch zamaskowanych mężczyznach, w czarnych rękawiczkach, którzy bohomażem ze sprayu, postanowili zaznaczyć swoją artystyczną obecność na elewacji przy wjeździe bramnym jednej ze szczecińskich kamienic.



„Artystów” nakryło dwóch policjantów wracających do domu po zakończonej służbie. Jednego z wandalów funkcjonariusze obezwładnili na miejscu. Drugi, wykazując większy refleks, choć mniejszą odwagę, rzucił się do ucieczki. Zdążył jeszcze policjanta zaatakować gazem pieprzowym.

Za pośrednictwem mediów policjanci zwrócili się z prośbą do mieszkańców miasta.

“Apelujemy o reagowanie na akty wandalizmu i niszczenia mienia w przestrzeni publicznej.”

Czytam w Internecie ten tekst jednym okiem, a drugie już typie na policyjne zdjęcie, dokumentujące wandalizm oprychów. I co przyciąga moją uwagę? To, co kryje się za szybą bramy kamienicy.

A tam – na ścianach... glazura! Ale czy jest to ponadczasowa secesja? Nie! To ceramika z pobliskiego marketu budowlanego.

Tsunami wspomnień

Od dawna mam wrażenie, że we wnętrzach przejazdów bramnych i sieniach można byłoby powiesić kilka... pisuarów. Nie trzeba? Rzeczywiście, przecież przyzwyczailiśmy się już do wszechobecnego w nich odoru. Teraz w luksusowej wersji - otoczonego glazurą z promocyjnej gazetki marketu budowlanego.

Jak to możliwe, że w miejscu, które kiedyś zachwycało kunsztem rzemiosła, dziś króluje zwykła, łatwa do zdobycia, masowa produkcja?

Zażenowanie

Czy ten apel policji i jeden bohomaż na ścianie kamienicy zmienia cokolwiek w naszej miejskiej przestrzeni?

Kto tak naprawdę jest groźniejszym wandalą dla tego i innych domów w Szczecinie? Co jest realnym zagrożeniem dla historycznej zabudowy?

Graffiti można usunąć. Mnie niepokoi przemoc „w białych rękawiczkach”. Celnie wymierzona w historyczny wystrój i zabudowę. Niszczymy je w sposób tak bezrefleksyjny. Nie zaprzatamy sobie głowy unikatową niepowtarzalnością tych wnętrz, nie myślimy o nich jako materialnym świadectwie historii. A przecież to one przekazują nam wiedzę o czasach, w których powstały, o ówczesnej kulturze i codziennym życiu.

Doskonale wszyscy wiemy – ja, Państwo, policja i konserwatorzy zabytków – że wiele z tych obiektów zostało zdewastowanych w imię „walki z niemczyzną” albo na skutek zwykłej bezmyślności podczas remontów i renowacji, braku kultury osobistej i wychowania w sztuce. Wrażliwość na piękno zastąpiliśmy młotkami i przecinakami, czyniąc spustoszenie w zabytkowej substancji.



Zniszczyliśmy to miasto nie tylko na zewnątrz, ale i pod jego podszewką

Mój Boże... A tamten przejazd bramny, który przed laty tak mnie zachwycał?

Z trzaskiem zamknęłam pokrywę laptopa. Wzięłam głęboki oddech i pobiegłam do miasta, wyginając obcasy na **zmodernizowanych „krzystkowskich”** – wcale nie poniemieckich chodnikach!

Po raz kolejny wygrażałam w myślach pomysłodawcy tego architektonicznego sabotażu.

– Jak dostanę go w moje ręczki, zaproszę na spacer po tym trotuarze. O, i to w obcasach tak wysokich jak te moje. Dodam mu jeszcze wózek dziecięcy – taki z opornymi kołami. Natomiast urzędowy wandalizm w postaci tego wcale nie zabytkowego układu płyt chodnikowych zgłoszę na policję. A wręcz do oddziałów antyterrorystycznych! To jawny zamach na nasze bezpieczeństwo i dewastacja XIX-wiecznego zabytkowego, granitowego chodnika!



Przywołana przez poruszoną pamięć

Biegnę... Kwiecista ceramika, którą przed laty fotografowałam, niezmiennie błyszczy w moich oczach. Czy jeszcze tam jest? A może podzieliła los wszystkich innych, roztrzaskanych i zastąpionych płytkami z promocji?

Z impetem wpadłam do przejazdu bramnego, wciskając się między drzwi, a wychodzącego... robotnika, który na mój widok nie uchylił kapelusza, ale bezpardonowo przecisnął się z torbą pod pachą...

Szybkie spojrzenie w pełnym kadrze uspokoiło mnie. Jest! Ale... w jakże oplakanym stanie.

Rozpłakałam się

Dwadzieścia lat temu zrobiłam tu zdjęcie niezwyklej ceramicznej okładziny, zdobiącej ściany przejazdu bramnego tej kamienicy przy ulicy Mazurskiej. Już wtedy nosiła ona ślady wandalizmu. Na jednej ze ścian została brutalnie „przepruta” skrzynkami elektrycznymi. Po przeciwnej stronie, między okładzinami ceramiki, ocalał jeden pionowy panel dekoracyjny.



Secesyjna glazura z delikatnym, antycznym motywem

Jest jak lśniący diament – ukruszony, ale wciąż oszałamia swoją oryginalnością. Współgrała z piękną posadzką – kolejnym śladem po dawnym wystroju tego wnętrza. Cudo!

Przez dwadzieścia lat nie doczekała się żadnej opieki konserwatorskiej. Ba! Ciągłe toczy się proces jej haniebnej dewastacji. Ktoś – w akcie wandalizmu – wylupuje kolejne detale. I nikt na to nie reaguje? A zarządca? A biuro konserwatora zabytków? Nikt nie podjął żadnych działań? Nikogo sprawa ta nie obchodzi?

Ile jeszcze takiej glazury pozostało w szczecińskich przejazdach bramnych? Czy można je policzyć na palcach obu dłoni? Jednej? Tylko tyle? Jak zniknie także ta - nikt tego faktu nie zauważy? Aha!

Z zadumy wyrwał mnie trzask zamykanej bramy i muzyka... butelek. Robotnik wrócił z torbą pełną „paliwa” do dalszej pracy. Razem z kolegą, zmęczeni, umościł się na spoczniku schodów. Między kolejnymi tykami rozprawiali o tym, ile na Allegro mogliby dostać za taką glazurę?

Ot, taka szczecińska, banalna rozmowa o sztuce...

Alarm zaintonował natychmiastowe działanie

Napisałam list do Miejskiego Konserwatora Zabytków:

Chciałabym zwrócić Pana uwagę na to, co jeszcze pozostało i zapytać o możliwe działania w zakresie ochrony tego unikatowego elementu.

Przechodzimy obok nich obojętnie...

Na przełomie XIX i XX wieku ceramiczne płytki były powszechnym elementem wystroju i jednocześnie niezwykle praktycznym wykończeniem tych części budynku. Prezentowane na fotografii malowane i szklwione płytki z wielobarwnym motywem florystycznym, to prawdopodobnie jedyne tak dobrze zachowane egzemplarze w Szczecinie. Ich wygląd jest naprawdę spektakularny!



Reliefowa glazura, na pierwszy rzut oka, wydaje się mieć identyczny wzór. W centralnym miejscu każdej płytki widzimy motyw białego kwiatka, ułożony na strzępiastym czterolistku w otoczeniu wici roślinnej. Na narożnikach umieszczono jedną czwartą wzoru o podobnej, choć nieco mniejszej kompozycji. Łączy się on z ornamentem naroży sąsiednich płytek, tworząc jeden pełny wzór.

Jednak przy bliższej obserwacji można dostrzec subtelne różnice między poszczególnymi kwiatkami. Ta unikalność malunku nadaje każdej płytce niepowtarzalny i oryginalny charakter. Ktoś włożył w nie mnóstwo ręcznej pracy – *handmade*.

Podobnie jest z wewnętrzną bordiurą, ozdobioną roślinną wicią i drobnymi kwiatami. Całość kompozycji zamykają brązowe kafelki, stanowiące zewnętrzne obramowanie. U góry w formie giętego gzymsu, a na dole - cokołu.

Dwie części ceramicznej okładziny oddziela dekoracyjny panel inspirowany sztuką starożytną. Głównym motywem arabeski jest wijąca się roślina wyrastająca z greckiej amfory. W górnej części ornamentu osadzono antyczny portret młodego mężczyzny. Dekoracyjny pas ujęty jest w skromne czarne obramowanie błyszczących płytek, tworząc eleganckie zwieńczenie tej kompozycji.

Ten cenny zabytek to symbol jakości i oryginalności. W jego subtelnym pięknie kryje się wrażliwość i wysmakowany gust mieszkańców tego miasta.

Wzornictwo ceramiki w tamtych latach powstawało na podstawie specjalistycznej literatury fachowo opracowanej w XIX wieku (F.S. Meyer *Handbuch der Ornamentik*). Obejmowała ona wzory z różnych epok i stylów.

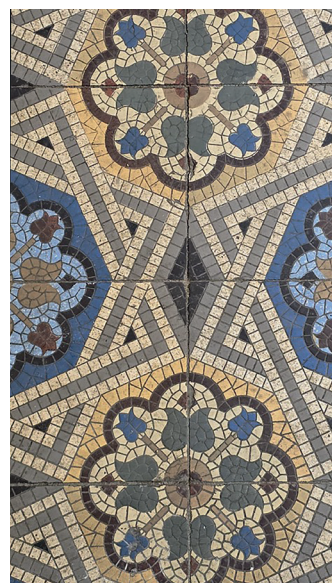
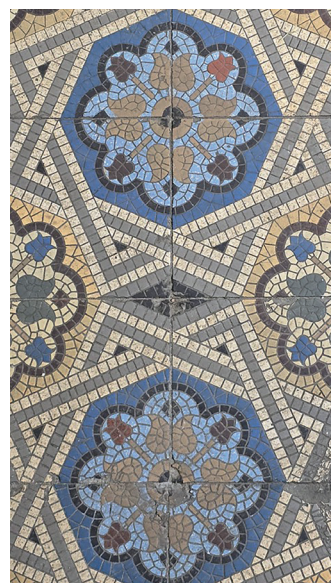
Architekci czerpali z tych źródeł inspirację mniej więcej do wybuchu I wojny światowej. Fabryki zamawiały u specjalistów gotowe projekty, które następnie wykorzystywały do tworzenia własnych wzorników.

Niektórzy producenci stemplowali swoje wyroby sygnaturami tłoczonymi na odwrocie płytek, jednak duża część ceramiki nigdy nie

została w ten sposób oznaczona. Ten typ wzornictwa był chroniony patentem jedynie przez krótki czas. Po jego upływie wiele fabryk – zwłaszcza niemieckich, ale także austro-węgierskich, belgijskich czy czeskich – powielало popularne motywy.

Znacznie częściej w przejazdach bramnych można dostrzec barwne „dywany” ułożone z ceramicznych lub cementowych płytek posadzkowych. Były one chętnie stosowane aż do momentu, gdy ich popularność wyparło lastryko.

W tej samej kamienicy zachowała się posadzka mozaikowa, której wzór imituje dekoracyjny, barwny kobierzec wschodni. Zastosowano tu układ czteropłytkowy – aby uzyskać pełny, wielokolo-





rowy motyw, należało połączyć cztery identyczne płytki. Bordiura z czerwonymi kwadratami ułożonymi w karo oraz z czterolistnym symbolem w kolorze biało-zielono-czarnym, wskazuje na wzór spopularyzowany przez jedną z najstarszych i największych niemieckich fabryk porcelany oraz wyrobów ceramicznych – „Villeroy & Boch” z siedzibą w Mettlach i jest to tak zwany wzór „mettlachowski” (*Mettlacher Platte*).

Czy mamy do czynienia z oryginałem, czy jedynie z kopią? Na to pytanie nie jesteśmy w stanie odpowiedzieć. Wiemy jednak, że jedna ze szczecińskich przedwojennych firm wykonywała „mettlachowskie” posadzki na zamówienie.

Szczecińskie składy budowlane

Okolo 1894 roku na szczecińskim rynku pojawiła się firma „Max Brennmehl”, jako generalny przedstawiciel w naszym mieście oraz w całej Prowincji Pomorze – berlińskiej firmy „P. Merluzzi & Comp.”. Jej siedziba mieściła się początkowo przy Elisabethstraße 12 (ul. Kaszubska), a później przy Giesebrechtstraße 6 (dawniejsza ul. Radomira – obecnie nieistniejąca, znajdowała się w rejonie dojazdu do parkingów C.H. „Galaxy i PAZIM, mniej więcej na linii dzisiejszej ul. Olgi Boznańskiej). Firma specjalizowała się w wykonywaniu wielobarwnych posadzek wodoodpornych, granitowych oraz mozaikowych typu *Terrazzo*. Wykonywała również okładziny ściennie ze sztucznego marmuru i stiuków.

W 1894 roku powstała równie prężnie rozwijająca się firma Georg Weirich - *Przedsiębiorstwo Budowlane oraz Skład Cementu i Materiałów Budowlanych*. W kolejnych latach - znana pod szyldem: *Szczecińska Firma Budowlana – Beton, Gips, Cement, Terrazzo - Greif*. Ze względu na duże zapotrzebowanie na materiały wykończeniowe w rozbudowującym się w tamtym okresie Szczecinie, firma sukcesywnie rozszerzała swoją ofertę. Wytwórnia (*Special-Fabrik*) produkowała mozaiki marmurowe, *Terrazzo* oraz granitowe. Początkowo siedziba firmy mieściła się przy Kaiser Wilhelmstraße 2 (Aleja Jana Pawła II), a od roku 1896 pod zmienionym adresem: Augusta-

platz 3 (pl. Lotników).

Gwarantowali szeroki zakres usług budowlanych, w tym dystrybucję i wykonawstwo ogniotrwałych oraz wodoodpornych konstrukcji i posadzek, przeznaczonych do intensywnie użytkowanych miejsc, takich jak: publiczne łaźnie, pralnie, restauracje, wozownie, fabryki, perony kolejowe, browary i gorzelnie.



Firma zajmowała się również układaniem posadzek na dziedzińcach, w sklepach, klatkach schodowych i przejazdach bramnych, tarasach i balkonach. Na zlecenie wykonywała wszelkiego rodzaju prace tynkarskie, w tym tynki angielskie, a także posadzki typu *Terrazzo*, granitowe oraz mozaikowe w różnych wariantach kolorystycznych.

Tworzyła również piękne, wielobarwne mozaikowe posadzki *mettlachowskie*. Z uwagi na wysoki koszt oryginalnych materiałów z Mettlach, szczecińskie posadzki zostały prawdopodobnie przygotowane przez firmę Georga Weiricha.

Skład budowlany oferował nowinki przemysłu ceramicznego oraz szeroki zestaw materiałów budowlanych. W ofercie reklamowej asortyment obejmował cement romański i portlandzki marki „Stern”, stiuk, gips, alabaster, grys i kostki marmurowe do produkcji lastryko, poza tym sztukaterię, mozaiki i płyty podłogowe. Z czasem, przedsiębiorstwo zdobyło silną pozycję na rynku budowlanym, zaopatrując zarówno Królewską Marynarkę, jak i władze królewskie oraz miejskie.

Obie firmy anonowały:

Ponieważ firma w Stettinie stale zatrudnia dużą liczbę wykwalifikowanych pracowników włoskich, zlecenia mogą być realizowane natychmiastowo zarówno w Stettinie, jak i poza nim.

Nie rozumiem!

Na przestrzeni dziesięcioleci nic nie udało nam się tak skutecznie, jak systematyczne wyburzanie i powolne niszczenie tego miasta. Architektura, zieleń, gospodarka, parki, lasy, kąpieliska... Niszczymy, po latach narzekamy, znów niszczymy, a doświadczenia nie nabieramy. Co zamierzamy zostawić kolejnym pokoleniom?

To, co w innych miastach uznaje się za miejskie walory, my skutecznie unicestwiamy.

W 2013 roku, na mojej stronie na *Facebooku* stworzyłam pewnego rodzaju kolaż. Zestawiłam fragmenty artykułów prasowych z lat czterdziestych i pięćdziesiątych XX wieku ze współczesnym (z 2005 roku) wizerunkiem naszego miasta.

Czym obraz jeden różnił się od drugiego? **Niczym!**

W artykule *Piękno nie kosztuje więcej niż brzydota*. O estetykę miasta Szczecina, inż. arch. S. Kirkina, kierownik Miejskiej Pracowni Urbanistycznej, na łamach Kuriera Szczecińskiego z 1950 roku pisał, że obraz miasta – poza położeniem geograficznym czy florą



tworzą „dzieła mózgów i rąk ludzkich - a więc budowle, następnie stan, w jakim znajduje się całość miasta – to jest wygląd estetyczny, poza tym charakter mieszkańców, ich poziom oświaty, oraz sposób i formy bytowania – więc poziom kulturalny i społeczny”.

„Na wszystkich obywatelach miasta - bez żadnych wyjątków - ciąży obowiązek stałej troski o jego wygląd zewnętrzny – troski będącej zresztą wewnętrzną potrzebą wynikającą ze stałego podnoszenia się poziomu kulturalnego mieszkańców”.

Grzmi, że Szczecin jest systematycznie zaśmiecany, a Zakład Oczyszczania Miasta nie radzi sobie z uprzątnięciem ulic i placów. Ściany i płoty „oblepiane” są – bez skrupułów! – plakatami. A przecież w mieście postawiano już specjalne słupy reklamowe. Reklamy pojawiają się w oknach „wozów tramwajowych”. Alarmuje, że nadal maluje się różnymi kolorami tęczy fasady domów. A reklamy mieszczących się tam lokali handlowych – nie harmonizują z całością.

S. Kirkin upomina się o trawniki, krzewy, drzewa, a nawet i kwiaty. *„A jak wyglądają ogródki przed domami – i ogrodzenia?”* – pyta, wcale nie retorycznie.

Napiętnuje mieszkańców za wygląd poczekalni tramwajowych, kiosków ulicznych, tramwajów, autobusów, taksówek i... dorożek konnych! Nie omieszczał wskazać na bodaj największy i od lat bulwersujący nas wszystkich wygląd Dworca Głównego Osobowego.

Zamieściłam tam również swój komentarz.

„Przez ponad 60 lat po wojnie w estetyce miasta i mentalności jego mieszkańców niewiele się zmieniło... niestety. Poniżej kilka przykładów parterów kamienic 'ożywionych' kolorami tęczy, jak również estetycznych szyldów harmonizujących z ich elewacjami no i trochę papierowej sztuki.”

Na szczęście ta barwna galeria to już historia. Czyżby?

Kamienicoteka. Tak, to właściwe słowo. Kartoteka miejskich historii. Zabytkowe kamienice tworzą obraz miasta i kształtują charakter Śródmieścia. Tworzą naszą miejską wizytówkę - "kamienicotekę". To w nich tkwi wartość dokumentalna - to, co kiedyś było codzienne i zwyczajne, dziś może stać się kluczem do odkrywania i eksponowania ich wyjątkowości.

Siła autentyczności

Także wnętrza kamienic to prawdziwa skarbnica – niezliczone detale, misternie zdobione szczegóły, ukryte niuanse i tajemnicze zaułki. Nie możemy pozwolić, by choćby najmniejszy drobiazg popadł w zapomnienie, został unicestwiony. Czyż to nie one budzą w nas ciekawość i sentyment? Zachowajmy je dla przyszłych pokoleń, by i one mogły się nimi zachwycać. Bez odpowiednich działań ochronnych i społecznego zaangażowania, wiele z tych unikatowych detali zniknie bezpowrotnie.



Zwróciłam się z prośbą o pomoc do Administracji „AGBiL”, odpowiedzialnej za budynek, w którym wykonałam fotografie omawianej glazury:

„...posiada wiele cennych detali, które należy jak najszybciej poddać ochronie. Glazurowane okładziny ścienne, barwną posadzkę, inspirowaną orientальnymi kobiercami, stolarkę drzwiową, piękne balustrady. Wnętrze przejazdu, podobnie jak klatka schodowa zachowała wiele oryginalnych elementów z dawnego wystroju wnętrza. Wiele kamienic w Szczecinie jest pod nadzorem kamer w celu ochrony przed dewastacją. Czy podejmowali już Państwo kontakt z Miejskim Konserwatorem Zabytków w sprawie ochrony zabytkowych elementów?

Zarządca zapewnił, że problem uszkodzonej glazury zostanie przedstawiony na nadchodzącym zebraniu Wspólnoty Mieszkaniowej. Data zebrania nie została jeszcze ustalona. Wiem, że Wspólnota wystąpiła już do Konserwatora Zabytków z prośbą o wytyczne dotyczące planowanego remontu. Wytyczne te są niezbędne do oszacowania kosztów, a tym samym wysokości ewentualnego zobowiązania finansowego. Członkowie wspólnoty oraz mieszkańcy są świadomi „perełki”.

Dowiedziałam się ponadto, że „pozostałości” zdobień pod innymi adresami były w stanie uniemożliwiającym ich „ratowanie”. Wspólnota nie miała dość pieniędzy na ten cel.

W obliczu priorytetu, jakim jest szybki rozwój Szczecina, ochrona jego zabytków pozostaje dla Urzędu Miasta sprawą drugorzędną. Kilka tysięcy kamienic wpisanych do gminnej ewidencji zabytków nie zostało objętych ochroną konserwatorską, co prowadzi do stopniowej dewastacji ich historycznych elementów, pochodzących z okresu budowy.

W efekcie, podczas planowanych i nierzadko uzgadnianych z Miejskim Konserwatorem Zabytków „renowacyjnych remontów szczecińskich kamienic”, z powodu kosztów, zarządcy rezygnują i niszczą „legalnie” sztukatorski wystrój – a my bezpowrotnie tracimy ślady minionej epoki.

W porównaniu z innymi europejskimi miastami, jesteśmy najubożsi w zasoby starej ceramiki ściiennej jak i posadzkowej.

W krajach zachodnich, a zwłaszcza w Niemczech, zabytki nie są postrzegane jako „problem”, a odgrywają kluczową rolę w promocji tych miast.

cdn.

W świecie krzyczących mediów, błysków fleszy, finezyjnych makijaży, strojów nie kryjących niczego, uśmiechów i gestów, tyleż wyćwiczonych co mechanicznych, tkwi zarodek kobiecości. Tym jest.... smutek. Od zarania ludzkości - samotność i smutek.

Achtung, Achtung, hier spricht Stettin...

- cz. 1



Była piękną i dumną w swoim smutku, któremu się oddała bez reszty...

Zakochałem się w niej od pierwszych zdań powieści...

A pojawiła się w moim życiu niespodziewanie. Jak każda kobieta. I od razu wprowadziła mnie w swój kosmos. Bo one stamtąd właśnie są. Stamtąd, czyli... nie wiadomo skąd? Dlatego nam, ziemskim robaczkom, skupionym na nieustannym przegryzaniu nieurodzonej gleby Życia, udeptywanej codziennym znojem, brak nie dość, że polotu to przede wszystkim wyobraźni, aby objąć i zrozumieć naturę kobiety. Nawet nie próbuj... Możesz ją tylko kochać... Dotrzymywać jej towarzystwa i rozwiewać smutki...

Eh... Żebym ja umiał pisać powieści...

Jest rok 1923. Mój Boże, co to był za rok!

Za www.history.com: Po niespodziewanej śmierci prezydenta USA Warrena G. Hardinga, który był nękany skandalami, wiceprezydent Calvin Coolidge objął urząd w Gabinetie Ovalnym. Adolf Hitler zyskał światową uwagę — i pięcioletni wyrok więzienia — jako przywódca nieudanego zamachu stanu w Monachium, puczu monachijskiego. W Japonii potężne trzęsienie ziemi zabiło ponad 140 000 osób. A w Egipcie angielski archeolog Howard Carter otworzył zapieczętowany grobowiec Tutanchamona, znajdując zmumifikowane ciało chłopca-króla w trumnie ze złota.

A w Polsce?

Za wikipedia.pl: marszałek Francji Ferdinand Foch został mianowany marszałkiem Polski. 14 kwietnia – Kartuzy uzyskały prawa miejskie. 25 kwietnia – powstał klub sportowy Naprzód Rydułtowy. 29 kwietnia



– uroczyste otwarcie tymczasowego Portu Wojennego w Gdyni. Na Cytadeli doszło do największego zamachu terrorystycznego w dziejach Polski. Jego sprawcami byli agenci Związku Sowieckiego, których celem było zdestabilizowanie sytuacji w Polsce.

Tamten świat, właśnie w 1923 roku, na terenie Republiki Weimarskiej, we Francji i Wielkiej Brytanii – cywilizacyjnie eksplodował.

Wkroczył w erę radia.

W dziejach ludzkości, po wynalezieniu koła, nie ma drugiego osiągnięcia, które równie rewolucyjnie zmieniłoby nasze życie. Pomówmy więc o początkach epoki radiowej.

Ale zacznijmy tę opowieść od początku, a więc od losu... kobiety.

Pani Karla König

Jestem przekonany, że... bylibyśmy przyjaciółmi.

Intrygująca, przekorna, konsekwentna, a w gruncie rzeczy poszukująca wsparcia ze strony silnej ręki. A ja takie mam nawet dwie!

Niespokojny duch i emancypantka, a zarazem – postać subtelnie skomplikowana. Swoją kobiecość ukrywała w słowach i zachowaniu kreowanych bohaterów, którzy pod powłoką siły i zdecydowania największe ukojenie znajdowali w ... poezji.

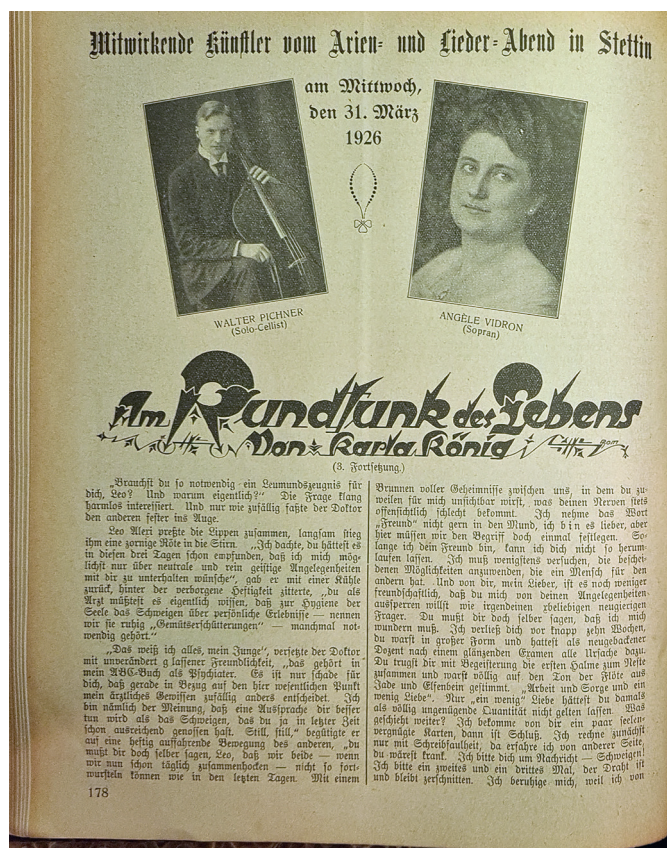
Na czym opieram mój pogląd? Głównie na intuicji.

A więc jesteśmy na początku XX wieku. Właśnie zakończyła się pierwsza wojna światowa. Gospodarka prostuje zęby po militarnym wysiłku. Życie zaczyna wracać do normy. Wiele się zmieniło w obyczajowości, a przede wszystkim w postrzeganiu społecznych ról kobiet i mężczyzn. Wojna zakończona zwycięstwem, a dla drugiej części świata – wypełniona klęską i upokorzeniem – nieustannie była obecna w rozmowach, planach, w przestrzeni ducha sztuki i literatury.

Karla König nie była wybitną pisarką ani publicystką. Ten zawód był ciągle zdominowany przez mężczyzn. Urodziła się w Stettinie w 1889 roku. Jej ojciec był redaktorem naczelnym Neuen Stettiner Zeitung. Jej dziadek, Gustav Wieman, także dziennikarz i redaktor naczelny, był znanym wydawcą. Pewnie jak większość panien – pisała pamiętnik, na jego kartach chowała pierwsze swoje wiersze. Ale wiemy też, że kolekcjonowała bajki, legendy i ludowe opowieści pomorskie.



Karla König



"Am Rundfunk des Lebens", kolejny odcinek powieści.

Karla, zgodnie z rutyną tamtych czasów, zdobywała wykształcenie w szkole dla dziewcząt. Miała zostać nauczycielką, ale jej temperament, a także determinacja sprawiły, że ojciec musiał się zgodzić, aby w 1912 roku została dziennikarką Stettiner Abendpost. Pracowała także dla Stettiner Neusten Nachrichten. Nie kryła swoich poglądów na temat roli kobiet w życiu powojennego społeczeństwa. Angażowała się politycznie. Od 1919 roku, przez pięć lat była rzeczniczką prasowym Oberpräsidium von Pommern.

Jej ostatnią funkcją w lokalnych mediach było stanowisko felietonistki w Stettiner General-Anzeigers. Od 1927 roku poświęciła się pracy literackiej.

I właśnie wtedy, na łamach Pommersche Rundfunk-Zeitung debiutowała jako autorka powieści w odcinkach, zatytułowanej „Am Rundfunk des Lebens”. Hm... Jak przetłumaczyć ten tytuł?

To typowy dla tamtych czasów romans. Ale... Jego główna bohaterka jest związana z radiem. Karla König buduje więc obraz rozgłośni. Jest studio, pomieszczenie radiowej reżyserki, pokój aparatury i pomieszczenia redakcyjne, w którym maszynistki przepisują rękopisy autorów. I nawet jeśli w opisie tym nie ma wyraźnej wskazówki – miejsce akcji: Rundfunk Stettin, to rzecz najprawdopodobniej dzieje się w realiach niemal fotograficznie odwzorowanej rozgłośni stettinskiej. Bo innej przecież nie było.

W tamtym czasie radio i ludzie w nim pracujący byli celebrytami na miarę późniejszych gwiazd Hollywood. Radio było najważniejszym i ekscytującym tematem wszystkich rozmów. Jak tam jest? Kto tam pracuje? Kim są ci ludzie. Ach, to musi być wspaniały świat. Bo wspaniale jest przecież radio!

Panna Hilde Feder

Jest jedną z trzech maszynistek pracujących w tej rozgłośni. Najmniej sprawną, niedoświadczoną, protegowaną kierownika stacji. Zgodził się przyjąć ją do pracy na prośbę dobrego znajomego. Dziewczyna znalazła się w wyjątkowo trudnej sytuacji materialnej. Miała świadomość, że ta praca jest dalece poniżej jej wykształcenia, oczekiwań i marzeń, ale bez tej pracy jej życie mogłoby zamienić się w koszmar. Nie znajduje zrozumienia i wsparcia ze strony koleżanek. One są profesjonalne, szybkie, obojętne, żądne i ciekawe życia. Jedna będzie dziś jadła wędzoną świńską głowiznę z kiszoną kapustą, dru-

ga spędzi wieczór w jakiejś knajpcie. A Hilde? Ona wróci do taniego pokoiku i spróbuje zasnąć...

Karla König bardzo sprawnie rysuje portret psychologiczny bohaterki. Z jednej strony fascynacja światem techniki, oreża postępu – godna wizji Guillaume Apollinaire, a z drugiej – nieporadna, zagubiona, przymuszona do przepisywania listów od słuchaczy, codziennego programu radiowego, wykazu wykonawców, prelegentów, muzyków. Ona, Hilde pracuje w tym radiu, ale radia... nigdy jeszcze nie słyszała. Nie stać jej na kupno odbiornika i obowiązkową opłatę abonamentową.

No, czyż początek tej historii nie gwarantuje, że nad losem dziewczyny poleje się niejedna łza? Klasyczny schemat historii o kopciuszku. Pierwszy odcinek powieści ukazał się 5 marca 1926. Kolejne, zamknięte w mini-rozdziały publikowano przez prawie dwa lata.

Zawiedziona miłość, zmiażdżone bezwzględnością życia marzenia, ukochany, którego musiała, chciała, powinna była zostawić...? Jeszcze nie wiem. A przy tym, w partiach narracyjnych całe kulturowe zaplecze tamtych lat - literatura, poezja, malarstwo. To świadkowie i wyraziciele losu, bezwzględnego wobec młodych ludzi, pozbawionych zaplecza materialnego. Schemat spotykany także w literaturze polskiej tamtego okresu. „Trędowata”, „Między ustami a brzegiem pucharu” ...

I kolejny odcinek. Leo Aleri. Ambitny, dobrze wykształcony, pełen pozytywistycznej i romantycznej wiary w szczęśliwą łaskawość losu, nie rozstaje się z pamiątkami po ukochanej Hilde. Nie wie, gdzie ona się ukryła, dokąd odeszła, dlaczego? Myśli o niej, tęskni za rozmowami, za jej naiwnością budowaną na dobrej znajomości sztuki.

A może... Hm, przecież ta myśl jest całkiem nieuprawniona.... Czy mogę zawierzyć własnej intuicji? Może ta powieść jest... autobiograficzna? Niewiele wiemy o życiu prywatnym pisarki. W notce biograficznej nie znajduję wiadomości o rodzinie, o dzieciach. Czy pani Karla pracowała w radiu? Pisała dla radia? No, pewnie musiała. Tak silnie obecna w tym środowisku medialnym miałyby zrezygnować z zaistnieniem na „falach eteru”?

Opis dziewczyny usypiającej po ciężkim dniu pracy w Rozgłośni Radiowej jest tak sugestywny, że od razu przywołuje na myśl podejrzenie, że to autorka chciałaby pod postacią swojej bohaterki ukryć swoje smutki i samotność.

Ale nas interesuje przede wszystkim radio...

Pan Wilhelm Hadert

Wiosna. Pierwszy dzień po świętach Wielkiej Nocy. W redakcji – awantura. Szef redakcji może przyjąć do pracy kogo chce i z byle powodu innego kogoś wyrzucić. Jest cholerykiem, zachowuje się w „amerykańskim” stylu. Jest kłótlivy i nieprzejednany. Czy Wilhelm Hadert mógłby być wzorem dla tej literackiej postaci? Ten twórca stettńskiego radia, postać o przebogatym życiorysie, obieżyświat, prekursor fonografii, został skierowany do Stettina z rozgłośni katowickiej, aby od podstaw zbudować tu system nadajników i redakcję, przygotowującą programy dla mieszkańców Stettina i Pomorza. Z relacji jego współpracowników ze Śląska wynika, że nie był wzorem elegancji, uprzejmości, a tym bardziej człowiekiem pokojowego usposobienia. Był właśnie taki amerykański.

Kierownik redakcji właśnie zwolnił z pracy jedną z maszynistek. Poprosił do gabinetu Hildę. Z jej ust chciał usłyszeć, że dobrze postąpił? Ona, drżąc ze strachu o swoją posadę dostrzega jedynie... *klasyczny kształt jego głowy*...

- Wspólnie z Gertrudą przejmie pani obowiązki zwolnionej koleżanki, a to wiąże się z podwyżką wynagrodzenia...

Fikcja literacka? Może. Niewykluczone, że podobna sytuacja mogła wydarzyć się w Rundfunk Stettin. Zobaczymy... **Wydaje się, że jest to pierwsza i jedyna w historii powieść o pracy i ludziach radia. Radia w Stettinie!**

Ten szelest kartek

Pierwsze odcinki wręcz narzuciły mi obrazy, których przecież nie wyczytałem jeszcze ze stron tej powieści. One same, jakimś atawistycznym podmuchem wyrastały z realiów zapamiętanych przeze mnie z moich pierwszych lat radiowych. Ten cichy gwar, szelest kartek, odgłosy maszyn do pisania, dzwonki telefonów, snujący się

autorzy, z plikami tzw. przebitek, cieniutkich, prawie przezroczystych arkuszy, podkładanych pod tzw. kalkę, aby uderzenia czcionek maszyny tworzyły dodatkowe kopie tekstu. Zazwyczaj trzy.

W pokojach montażowych rozbrzmiewały dźwięki z taśm magnetofonowych, cofanych do początku nagrania, przewijanych do przodu, w rytmie odmierzanych kliknięciami w przyciski sterujące pracą magnetofonu montażowego. W przód, do tyłu, stop, szybciej, wolniej, stop, dwa obroty w lewo, pół do przodu, tak, tu – ciach – nóż uciął taśmę w miejscu, w którym rozmówca wypowiadał wyraz zaczynający się na dobrze słyszalne wybuchowe „d”. Skrzypnięcie taśmy (lepik) klejącej, podłożenie jego kawałka pod warstwę odwrotną od nośnej, z zapisem elektromagnetycznym, dopasowanie fragmentu z ostro uciętym wcześniej wyrazem kończącym się na „k”. Ale zawsze trzeba było zostawić wybrzmienie tego „k”, aby słuchacz nie zorientował się, że w tym miejscu zrobiono cięcie. I odsłuch... Bezblędnie. Nie słychać cięcia.

A radio sprzed stu laty? Było niemal w całości „na żywo”.

Eter...

Że też ktoś wpadł na pomysł, aby ukuć powiedzenie: **eter radiowy**. Kariera tego sformułowania jest nadzwyczajna. Ale jak głęboko umotywowana stanem ówczesnej wiedzy o zjawiskach tak trudnych do wyobrażenia jak bezprzewodowe przesyłanie dźwięków. Aby przybliżyć się do istoty radia musimy zrozumieć, czym jest eter.

To piąty żywioł. Jedyny nieobecny na Ziemi. Bo ta, zbudowana jest z czterech składników: wody, powietrza, ognia i ziemi. Według Arystotelesa – eter był budulcem „świata nad księżycowego”, a więc tego, który znajdował się ponad naszymi głowami. To eter był tworzywem planet i gwiazd, a przestrzeń między nimi wypełniał bez reszty.

Naukowcy nowożytni nie umieli uwolnić się od eteru. Bo zawsze napotykali w swoich badaniach na „coś” co mogli nazwać tylko eterem – on wypełniał przestrzeń między rzeczami. On odpowiadał za magnetyzm i przyciąganie ziemskie. Według Newtona eter był medium, w którym działały siły grawitacji. Podtrzymywał układ ciał niebieskich. Kant dowodził, że eter jest w zasadzie... ogniem. Bo dzięki eterowi ogień się pali. Cóż za fantastyczne sformułowanie: ogień się pali. Czy ktokolwiek rozumie, co sformułowanie to w gruncie rzeczy znaczy?



Moje "nieme" już, analogowe radio. Ale... szumi. Ciągłe pełne jest... eteru



1927 - siedziba stettńskiego oddziału Funk Sunde i studia radiowego. Dawniej szkoła - Marienstiftsgymnasium, założonego w XVI wieku

Kant, niczym Prometeusz, ale w innym wymiarze doprowadził rozważania o eterze do zupełnie przyziemnego wymiaru. Bo od tej konstatacji był już tylko krok do wymyślenia tlenu.

W sferze naukowej i magii poetyckiej eter pozostał czynnikiem, który konstituuje jedną z największych tajemnic naszego świata – radia.

Na falach eteru...

Nie wiem, kto pierwszy użył tego przez dziesięciolecie silnego związku frazeologicznego. Ale nie sądzę też, by we współczesnej radiofonii ktokolwiek jeszcze nosił w sobie to określenie. A tym bardziej posługiwał się nim. Ale w 1923 roku – dzięki radiu – eter powrócił z całą mocą swojej magii, **wypełniając dźwiękami pustkę i samotność, alienację, wyobcowanie, barierę niemożliwą do przełamania dla milionów... przede wszystkim... kobiet.**

W tamtym społeczeństwie życie towarzyskie koncentrowało się w obrębie zamkniętych kręgów. Przytłaczająca większość ludzi nigdy nie była w teatrze, nie słuchała muzyki granej na żywo w filharmonii. O wejściu do opery nawet nie próbowali marzyć. A radio, jak piorun z jasnego nieba rozbiło te kulturowe i społeczne bariery. Nagle, w domu, w pokoju dotychczas dudniącym niemą ciszą – odzywał się głos innego człowieka. Uwagę ludzi samotnych skupił głośnik opisujący dźwiękiem świat realny, a nie malowany, o istnieniu, którego wcześniej nic nie wiedzieli.

Doskonale czułem tę magię radia w porze nocnych programów, które od czasu do czasu prowadziłem, od północy do trzeciej nad ranem i rozmawiałem ze słuchacz... kami. Bo to one przede wszystkim telefonowały do radia. Pamiętam ten ich głos... Lekko chrypliwy, spowolniony, wycofany i zazwyczaj zasmucony.

Jednak w 1923 roku, w chwili narodzin europejskiej, niemieckiej radiofonii, a zaraz, dosłownie za chwilę – polskiej – ludzie żyjący

w ciszy – nagle znaleźli się w wirze niedostępnej dla nich wcześniej literatury, poezji, muzyki. Radio niosło wiedzę, a przede wszystkim tonowało stres i poczucie osamotnienia. Teraz tworzyło się nowe społeczeństwo – **ludzi słuchających radia**. Każde spotkanie towarzyskie i poranek w biurze zaczynał się od wymiany wrażeń i uwag na temat wieczornych audycji radiowych. Miliony słuchaczy doznawali fascynacji dźwiękami kwartetu Schumann'a czy nokturnów Chopina. Ludzie, którzy całe życie przechodzili obok gmachu teatru, ale nigdy nie byli na przedstawieniu, dzięki transmisji radiowej słuchali teraz Goethego, Szekspira i Horacego.

Radio zburzyło świat pusty i ciemny, a stworzyło świat barwny i jasny.

Pisałem w poprzednim numerze TVSiódemki o tym, że idąc ulicami Stettina, z mieszkań, w których pootwierano okna, dobiegał przechodniów dźwięk fortepianów, skrzypiec, fletu czy głosu, intonującego pieśni Loewego. Dokładnie sto lat temu świat dźwięków miasta wzbogacili swoimi talentami Caruso, Tetrzzini, Streponi, Szaliapin, Gigli... Bogowie! Paganini, Liszt, Verdi, Puccini – ich kompozycje rozbrzmiewały w najlepszych interpretacjach. Wprost z Nieba, z „świata ponad księżycowego”. Z eteru...

Przekleństwo radia

Radio zniszczyło kastowe życie towarzyskie, podzieliło środowiska. Z jednej strony zyskało bałwochwalczych wyznawców, a z drugiej – domagano się wobec niego egzorcyzmów jako diabelskiego pomiotu, ukrytego w skrzyni obudowanej bateriami, akumulatorami, trzaskami w słuchawkach, jakimś tajemniczym kryształkiem, który ściągał magnetyzm eteru, niosącego przez wszechświat jakieś tfu, przepadnij, zniknij siło nieczysta... dźwięki!

Dziś się śmiejemy, ale tak było.

Radio nie stało się objawieniem ani cudem, który zaskoczył świat w jednej chwili. Ono przechodziło transformację. Było zrazu sposobem na przesyłanie impulsów elektrycznych. Radiowy telegraf od dawna był znany i używany przez wojsko, kolej, giełdy towarowe, banki, służby meteorologiczne.

Radio – jak wspomniałem – zajęło miejsce poduszki do wyplakania smutku. Wyrwowało z otępienia i osamotnienia, inspirowało, motywowało i – jak czytam właśnie w popularnym magazynie ilustrowanym – najlepiej usypiało amerykańskie dzieci! Panie domu włączały w pokoju dzieciennym aparat radiowy, potencjometrem strojeniovym uciekały w te pasma częstotliwości, na których nikt nie nadawał audycji. Z głośnika sączył się wtedy szum. Szum gwiazd... Szum eteru, który w technice ma przypisane dla siebie kolory – różowy, albo – szary... Wiedzą o tym doskonale entuzjaści płyt winylowych.

Przypomina mi się doskonała i jakże pouczająca anegdota z początków polskiego radia, kiedy bezprzewodowe przesyłanie dźwięku było w pełni kontrolowane przez wojsko.

Rzecz działa się w 1923 roku, w Toruńskiej Radiostacji pracującej na rzecz Marynarki Wojennej. Któregoś dnia podoficer pełniący służbę nasłuchu zameldował przełożonemu, że... **radio gra!**



Dziś mieści się tu Liceum Ogólnokształcące nr 9.



Widok na Odrę. Karl Hahn wg Hansa Hartiga, ok 1922, ze zbiorów Kryspina Pawlicza.

Ten nie zrozumiał, o czym mówi jego podwładny? Jaka muzyka? Gdzie? W radiu? Nonsens! Zbiegli się wszyscy najważniejsi oficerowie, z dowódcą okręgu na czele.

Muzyka przesyłana przez radio była czymś tak rewolucyjnie nowym i nieoczekiwanym, że fakt ten uznano za... cud. Do pokoju radiotelegrafisty przychodzili przedstawiciele władz, całe rodziny, znajomi i koledzy.

Coś niesamowitego! W radiu słyszeć muzyków, którzy gdzieś tam grają, a dźwięki ich instrumentów słyszeć tak wyraźnie, tak zaskakująco przyjemnie, że nogi same ruszały do tańca.

Okazało się, że radiooperator dostroił się do częstotliwości zarezerwowanej na cele eksperymentalne, na której radio niemieckie, pod nadzorem samego Hansa Bredowa (ze Sławna), ojca niemieckiej radiofonii – rzeczywiście nadawało muzykę taneczną, testując nowe nadajniki.

Przesyłanie muzyki stało się wówczas dla radia celem nadrzędnym. W pierwszych latach XX wieku aparatura, jak wiemy, bazowała na odbiornikach kryształkowych, do których podłączano słuchawki. Pasma przenoszenia dźwięku było bardzo ograniczone. Dźwięk był płaski, jakby skompresowany, skrzeczący i wyzbyty wszelkich niuansów. Ale był! Ten fakt uskrzydlił konstruktorów, którzy szybko opracowali układy pozwalające na istotne wzmocnienie dźwięku przesyłanego eterem. Pojawiły się wzmacniacze, przedwzmacniacze, kolumny głośnikowe. Zastosowano filtry eliminujące zakłócenia elektryczne i magnetyczne. Każda burza, pełna wyładowań atmosferycznych, uniemożliwiała odbiór audycji radiowych. Opracowywano układy neutralizujące te efekty.

Mój Boże, muzyka z radia. Muzyka z sali koncertowej, muzyka w moim domu... Czego więcej można byłoby oczekiwać?

Sto lat temu!

Pretekstem do podjęcia dziś tego tematu jest rocznica powołania do życia radia w Stettinie. **Dokładnie sto lat temu!** Ale dopiero 3 stycznia 1926 roku pierwsze dźwięki oficjalnie popłynęły w eter. Studio i nadajniki trzeba było najpierw zbudować i uruchomić.

Dzięki niepomierzalnej uprzejmości pani Małgorzaty Wrzosek mogłem wejrzeć w zbiory jej stettinariuszy. W kopii styczniowego numeru Stettiner Abendpost znalazła się ta informacja, którą przytaczam w wolnym tłumaczeniu

„Zwołana na czwartek sesja Rady Miejskiej ma obszerny i niezwykle ważny porządek obrad, zawierający istotne pozycje. Największe zainteresowanie wzbudzi zapewne przedstawienie przez magistrat umowy z Administracją Pocztową na budowę nadajnika radiowego. W zgłoszeniu wskazano m.in., że teren w Zabelsdorfie (Niebuszewo) pomiędzy Swinemünder (Bandurskiego) i Harmstrasse (Przyjaciół Żółnierza), (zaznaczony na żółto na planie miasta z dnia 19 stycznia 1925 r.), zostanie sprzedany za cenę 17.204 M., co odpowiada cenie 4,35 M. za metr kwadratowy. Ponadto Administracja Pocztowa Rzeszy musi zrekompensować wysiedlonym ogrodnikom działkowym koszt porzuconych upraw i wszystkich obiektów (altany, płoty itp.), a także zapłacić za pracę, którą już wykonali w sezonie ogrodowym 1925. W miarę możliwości cenę nabycia należy zapłacić równoważną liczbą udziałów w Funk-Stunde AG w Berlinie. Jeżeli nie uda się tego osiągnąć, płatność należy uiścić gotówką.

Ponadto miasto Szczecin musi otrzymać miejsce i prawo głosu w przyszłej radzie (zjednoczonej) A.G. (spółki Funk Stunde – podkr. M.K.), a co za tym idzie – decydować, kto będzie obsługiwał i zarządzał stettiną rozgłośnią. Jeżeli oprócz rady nadzorczej zostanie utworzona specjalna komisja robocza, musi być w niej represen-

towane także miasto Stettin, w miarę możliwości dwuosobowo. Rozwijający się sektor kultury Stettina i Pomorza musi składać się z większości przedstawicieli miasta i innych stettinsko-pomorskich organizacji zainteresowanych działalnością stacji radiowej. Wybór dyrektora zarządzającego stacją stettinską wymaga zgody magistratu stettinskiego.

Przynajmniej w dwa wieczory w tygodniu program stacji musi być dostosowany do szczególnych potrzeb Stettina, uwzględniając przede wszystkim teatr miejski i orkiestrę miejską."

Jak boleśnie i karykaturalnie wręcz jawi mi się dzisiejsza, szczecińska rzeczywistość kulturalna. Szarpana niekompetencją i arogancją ludzi, którzy nie mają zielonego pojęcia o awiacji, ale siadają na drzewach od stodoły każąc im, by się z nimi w powietrze unosy.

Powtórzę ostatnie zdanie komunikatu prasowego: **radio musi uwzględnić teatr i orkiestrę miejską w swoich planach repertuarowych.**

Dziś nie istnieje żadna płaszczyzna współpracy związków twórczych, instytucji kultury, szczecińskich autorytetów, twórców, artystów. Ci ostatni już dawno stąd uciekli zostawiając urzędnikom wszelkie uprawnienia z pozał się Panie Boże twojej nonszalanckiej łaski!

Dlaczego? Bo artystów trzeba opłacać. A ten zbójceki przywilej zagarnęli ludzie pozbawieni wszelkich kompetencji do oceny i walo-ryzowania dzieł sztuki.

Każą się niemal w rękę za każdy grosz całować. Swoje portrety oprowione w panegiryczne, żalosne i śmieszne teksty każą drukować i nazywać siebie sponsorami, patronami, dobrodziejami, dobroczyńcami. A oni za niemałe miesięczne pieniądze tylko dzielą pieniądze nasze, obywatelskie. Jak paniska, dziedzice, kapitaliści!

Korporacja

Rozważam wystąpienie do Sądu Wojewódzkiego w Szczecinie z wnioskiem o ustanowienie kuratora dla niegdysiejszej, martwej dziś **Korporacji Twórców, Artystów i Dziennikarzy.**

Proszę Państwa, szastać głosami wyborczymi, dawać się zwieść obietcom „czarodziejów”, którzy kadencje wykorzystać chcą w jednym, „obłowczym” tylko celu, to nie jest sposób na podniesienie naszego życia na europejski poziom

Władza miejska i samorządowa skutecznie rozbiła wszelkie formy zorganizowanej, zinstytucjonalizowanej reprezentacji ludzi kultury. Powołała zaufanych uszatków, którzy swoim zwierchnikom najmniejszej niespodzianki nie zgotują. Z małymi, skandalicznymi wyjątkami. Położą każdą inicjatywę, podetną nogę innowatorom, zadbają o brak indywidualizmu i oryginalności. Poprą szablon i rutynę.

Solidarność powstała, aby reprezentować interes ludzi pracy. Korporacja na początku lat 90. XX wieku – aby strzec niezależności organizacyjnej i twórczej artystów. Z upływem czasu obie formy się wyrodziły, a właściwie zostały rozłupane i rozłupione, pozbawione jak małża pereł i rzucone w ką.

Rządził przeciętność i wazeliniarstwo.

Gdzie jest związek Literatów Polskich, gdzie Stowarzyszenia Dziennikarzy? A plastycy? Urbaniści i architekci? Fotograficy, wreszcie i muzycy? O aktorach – nie wspominam. Są tacy, którzy będąc na etacie – od lat nie wychodzą na scenę. Nie ma dla nich ról! Ale miasto będzie budowało nowy teatr! **Dla urzędników?**

Z prasą będzie największy problem. Jest całkowicie bezzębna, a ta najbardziej mówiąca o sobie, że jest demokratyczna, za tysiąc złotych na wynajem pomieszczeń na swój konkurs – wyłączyła z niego całą sferę samorządową. No bo jak by to było? Marszałek patronuje i płaci a jego ludziom się jakieś kielbise przyznaje?

Na kolanach artyści proszą urzędników, by ci im ochłap jaki ze stołu miejskiego czy samorządowego zrzucili. Błagają o patronat honorowy **(po co?)** urzędników, którzy zielonego pojęcia o objętych patronatem działaniach nie mają. Ale rolę bożków, tego „cielca złotego” odgrywają koncertowo. Jednak to artyści sami stworzyli sobie swoich oprawców. **I wcale mi was nie żal.** Wasze wnętrze jest puste, brak w nim godności! Wstawiliście w nie wizerunki prezydentów i marszałków. Koszałków opałków. Wielkich nieobecnych na koncertach, przedstawieniach i wernisażach. **Im oddaliście pełnię władzę nad waszą godnością!**

Tyle na dziś spraw zaplanowałem, a tu ledwie jeden tekst napisałem, a już wieczór zapadł.

Może jeszcze jeden odcinek powieści „Am Rundfunk des Lebens” zdążyć przeczytać? Hilde wróciła właśnie z pracy. Siedzi w swoim pustym pokoiku, czeka...

Westchnęła z głębi piersi, ale niepokój tylko wzrósł. Otworzyła okno i zobaczyła port, lśniący i spokojny, błogosławiony jak niedzielny salon, statki i łodzie o złożonych konturach. Woda, nad którą krążyły mewy, była jasnoniebieska, a niebo nad nią odrobinę jaśniejsze i delikatniejsze, skąpane w jedwabistym połysku.

Dzieci bawiły się przed drzwiami domów, ubrane w nowe wielkanocne stroje. Śmiały się i krzyczały, a starzy ludzie wygodnie opierali się o parapety okna. Spacerowicze przechadzali się z wyniosłą powagą. Jaskrawe sukienki zdawały się falować jak chyboczące na wietrze kwiatowe dzwonki. Ta promienna beztroska otaczającego ją świata próbowała wdrzeć się do jej serca.

Spojrzała w dół, na brzeg czarnej sukienki. Ta wydawała się jej jakąś czarną plamą, ciałem obcym we wszystkich tych jasnych, delikatnych i pełnych harmonii kolorach świata za oknem. Czula się kimś zupełnie obcym pośród tych ludzi, którzy radośni, wychodzili ze swoich domów na spotkanie szczęścia.

Zapagnęła iść do lasu. Ale nagle ogarnął ją śmiertelny strach, że w ogóle wyjdzie za drzwi, że będzie musiała patrzeć na zaciekawione twarze nieznanym, że zobaczy ludzi wzajemnie się do siebie uśmiechających, beztroskich, w pogodnym nastroju. Każdy miał kogoś bliskiego, do kogoś należał. Ona nie miała nikogo. Nikt też jej nie przywoływał. Każdy, komu wyrwano z serca to, co kochał, kto przeszedł w życiu przez wielką groźbę śmierci, zobaczy w tym Dniu Zmartwychwstania znak śmierci, która już u zarania naznacza sobą nowe życie.

Zamknęła okno, zaciągnęła zasłony, wzięła książkę i próbowała czytać. Ale oczy ją bolały, czuła się niesamowicie zmęczona i wyczerpana, więc odłożyła ją i rzuciła się na łóżko w tej czarnej sukni. Starła się o niczym nie myśleć. Z półprzymkniętymi oczami zobaczyła małą umywalkę ze stojącym tam wyszczerbionym dzbankiem, stare krzesło z wgniecionym siedziskiem, tanie wazon z jarmarku na chwiejnej desce i ze wstrętem wobec tych wszystkich rzeczy zamknęła oczy, żeby oderwać się od otaczającej ją brzydoty.

Ja też przerywam lekturę... Posłucham muzyki. Może z radia? Pora na ostatnią dziś kawę i muzykę...

Kawy zaparzę dwie, tak na wszelki wypadek...

Hilde? Słyszysz mnie pani? Ta czarna sukienka jest wcale ładna, podoba mi się. Pasuje idealnie na dzisiejszy wieczór. O! I jak świetnie harmonizuje z aromatem nespresso.

Jak tylko uchylił pani drzwi swojego pokoiku, usłyszę ich skrzypnięcie i natychmiast się przy nich znajdę. Albo lepiej - zapraszam do mnie! Pani przecież nie ma radia. Posłuchamy razem. O, już włączam...

Koniec części pierwszej

Zaproszenie do marcowego numeru TVSiódemki przyjął pan Andrzej Seweryn.

Pretekstów było wiele. Wierzę, że już niebawem będą następne. Dziś, wspólnie z naszym Gościem mówić będziemy m.in. o odpowiedzialności wobec materii teatralnej, obcojęzycznej, która dociera do nas ze świata. O języku dramatu, o porozumieniu poprzez teatr. Za miesiąc – o wychowaniu poprzez teatr. W szerszym już gronie, mam nadzieję, że z udziałem dyrektora Teatru Lalki i Aktora „Kubuś” w Kielcach im. Stefana Karckiego. Pan Piotr-Bogusław Jędrzejczak jest reżyserem teatralnym, a także kulturoznawcą-teatrologiem i psychologiem. Jest aktorem i literatem. Ojciec założyciel kilku autorskich festiwali (Wielki Ogień im. Miry Kubasińskiej, SkArPa – Spotkania-Artyści-Płock - Transgraniczny Festiwal Sztuk im. Stefana Themersona, Festiwal Piosenki Literackiej im. Łucji Prus W Żółtych Płomieniach Liści, Kalinowe Noce, Kalinowe Dni im. Kaliny Jędrusik). Poza tym - będziemy w kwietniu mądrzejsi o doświadczenie płynące z łódzkiego Festiwalu Sztuki Aktorskiej.

Gdzie jeszcze jest teatr?

Pan Andrzej Seweryn jest dyrektorem Teatru Polskiego w Warszawie. Teatru – podkreślę – Polskiego. Scen tak właśnie nazwanych mamy w Polsce siedem. Przed wojną były jeszcze trzy.

Teatr Polski w Bielsku-Białej: Powstał w 1890 roku jako "Teatr Miejski". Po II wojnie światowej, w 1945 roku, wznowił działalność jako "Teatr Polski".

Teatr Polski w Bydgoszczy: Został założony w 1949 roku i od 28 czerwca 2000 roku nosi imię Hieronima Konieczki.

Teatr Polski w Łodzi: Utworzony w 1945 roku, działał do 1949 roku. W 1972 roku wznowił działalność jako "Teatr Polski" i funkcjonuje do dziś.

Teatr Polski w Poznaniu: Zbudowany w latach 1873–1875 według projektu Stanisława Hebanowskiego.

Teatr Polski w Szczecinie: Założony w 1946 roku, początkowo jako "Teatr Komedii Muzycznej", w 1950 roku przyjął obecną nazwę.

Teatr Polski w Warszawie: Otwarty w 1913 roku z inicjatywy Arnolda Szyfmana.

Teatr Polski we Wrocławiu: Działa od 1946 roku, choć jego korzenie sięgają wcześniejszych instytucji teatralnych w mieście.

Czy nazwa teatru - zobowiązuje? Czy Teatry Polskie grają dramaty polskie? Albo: światowe, ale w duchu - polskie? Czy polska dramaturgia, ta klasyczna ma w sobie moc, którą potrafi zachwycić, wzruszyć, opowiedzieć historię ku pokrzepieniu serc lub po prostu – ukazać nasz, Polaków, portret teatralnie szkicowany? A materia dramatu współczesnego, rodzimego, ma w tych teatrach specjalne poważanie? Jak na tle wszystkich jawi się szczeciński Teatr Polski?

Czy obejrzymy tu jeszcze kiedyś „Zemstę”, „Moralność pani Dulskiej”, „Niemców”, „Grube Ryby”, „Kordiana”, „Dziady”, „Wesele”... Nie? Nigdy? Czy dlatego, że polski Teatr Polski osiągnął poziom serwisów streamingowych?

Netowy Fix teatralny

Bo wielkie dramaty to już ramoty? Czy może nikt już nie ma pomysłu na ich inscenizację? Żaden aktor nie przemówi już Mickiewiczem, Słowackim? Gombrowiczem – tak, bo ten mówił o Iwonie – grajcie, ją jak chcecie. A skoro tak można grać „Iwonę, córkę Burgunda”, czyli byle jak, to dlaczego mielibyśmy inne sztuki prezentować według jakichś tam zasuszonych norm czy poetyk? Teatr jest wolny. Wyzwolony. Pędzi bez hamulców! Tak, to współczesny...kamikadze!

Szczecin był potęgą teatralną do i od końca lat 60. XX wieku. Wtedy red. Edmund Kierzkowski, wspólnie z grupą entuzjastów – zorganizował pierwszy Kontrapunkt. To nazwa obecna. Ostatnia.

Festiwal zmieniał się w swojej formule o wiele wolniej niż w nazwach. Ubiegłoroczna jego edycja – w mojej ocenie – przybyła wprost z najodleglejszego Kosmosu. I powinna tam jak najszybciej wrócić.

Czuję się z tym festiwalem związany. Na równi zresztą jak z pozostałymi teatrami szczecińskimi – ale tamten festiwal budował we mnie przekonanie, że tak jak koło wpłynęło na rozwój techniczny i gospodarczy świata, tak teatr ciągle jest lustrem **nas w sobie**.

A aktorstwo porównać mogę tylko do sztuki... latania.



Szekspir Forever. Andrzej Seweryn, fot. Krzysztof Bieliński

O teatrze...

Z kim o teatrze rozmawiać, jak nie z teatralnymi bastaixos.

W Barcelonie znajduje się **Bazylika Santa Maria del Mar**, której budowę rozpoczęto w XIV wieku. Z Jankiem Kuczerą filmowaliśmy ją kilka razy, a z okna pokoju, w którym mieszkaliśmy – widziałem jej wieże. Robotników, którzy nosili na plecach kamienie do budowy tej świątyni, nazywano **bastaixos**. Byli to głównie rybacy i tragarze z dzielnicy La Ribera, którzy transportowali ciężkie bloki kamienne z kamieniołomów na wzgórzu Montjuïc oraz z nabrzeża, gdzie wyladowywano materiały dostarczane drogą morską.

Ich poświęcenie i trud zostały upamiętnione na drzwiach frontowych bazyliki, gdzie znajdują się płaskorzeźby przedstawiające tych robotników podczas pracy. To jedna z najbardziej wzruszających mnie opowieści... Nieopodal przebiegała ulica brukowana niegdyś ludzkimi czaszkami... O niej, też z Jankiem, robiliśmy film dla Westdeutscher Rundfunk.

Bastaixos... Ilu takich robotników teatralnych jeszcze w Polsce mamy? Tamci, jak czytam w książce „Katedra w Barcelonie” Ildefonsa Falconesa, wszystko robili dla ich „najsłodszej Panienci”. A ludzie teatru dzisiejszego? Na czyją chwałę pracują?

Nie, teatru nie porównuję do bazyliki. Ale że jest teatr miejscem i ideą wyjątkową – nie ulega dla mnie wątpliwości. To przestrzeń, podobnie jak katedra – jakby z innego wymiaru.

Ona – odnosi się do tajemnicy; on, teatr, jest tajemnicą.

Obawiam się, że coraz mniej osób podziela ten pogląd.

Dla większości przeżytkiem są „Wiśniowy sad”, „Matka”, „Rewizor” czy nawet „Ożenek”. „Ożenek”... Kto dziś byłby w stanie zagrać ten utwór w duchu oryginału, w zgodzie z epoką, z ówczesną manierą, być tamtego czasu dowodem i świadectwem, nie mniej materialnym jak egipskie papirusy lub manuskrypty z Kumran. Tamte dramaty to „posłowie przeszłości”. Emisariusze ducha, którego tak skutecznie tracimy, chłonąc miazgę oferowaną przez serwisy streamingowe. Z nieuctwa - wszystko w teatrze „uwspółcześniamy”!

Apollo z Bellac już dawno umarł

Nowy się nie narodził. Wzorzec taki jak para Adam Hanuszkiewicz i Kalina Jędrusik – tak cudownie ocalony w zapisie telerekordingu u zarania telewizji, ma w sobie niewyczerpane zasoby emocji. To przykład gry aktorów, która niepostrzeżenie zamieniła się w emocje między bohaterami sztuki. A ta się przed kamerą... zmaterializowała. Albo ten legendarny wiarus z „Warszawianki” w wykonaniu Ludwika Solkiego... Przed wejściem, za kulisą, oblewano go błotem pola bitewnego. Aktor bez słowa szedł przez scenę z wiadomością o klęsce... Czy jest większa legenda polskiego teatru?

O innych zjawiskowych kreacjach możemy już tylko czytać w pamiętnikach i recenzjach. Obym nigdy nie stracił radości i emocji z każdego kadru tych przedstawień. Tych snopów śliny rzucanych w przestrzeń Sali Bogusława na Zamku Książąt Pomorskich, gdy Wacław Ulewicz mówił monolog Hamleta.

Na naszych oczach umiera teatr. Rodzi się jakiś Tet Fix, jak instant sosu lub zupy z proszku. Trywialne komedie, schematyczne

farsy, kretyńskie składanki. Tu piosenka, tam płas albo charczenie, wycie, czołganie się po scenie, nagość, wygibasy, wilcze spojrzenia...

Co będzie?

Co będzie, jak odejdą ostatni z ostatnich? Czy trafi się jeszcze taka para jak Krystyna Janda i Marek Kondrat w „Związku otwartym” Daria Fo?

Teatr już nie jest dyskusją.

A ci, którzy mówią, że jest, nie mają pojęcia o tym, czym jest dyskusja? Ten ich teatr jest narzucaniem swojego punktu widzenia, którego nikt nie potrafi zlokalizować. Jest, gdzieś tam, zaraz się objawi... Epatowaniem własną domniemaną wrażliwością, a przede wszystkim waloryzowaniem inności.

Winni są reżyserzy. Niegdyś solidnie kształceni – dziś jak stachanowcy. Wystarczy chcieć by móc. A zlecenia na reżyserię zależą w głównej mierze od układów i relacji.

Na końcu tego łańcucha jest jednak... widz. Czyli - początek teatru.

Naprzeciw staje dramaturg. Autor. Twórca. Człowiek, który tę teatralną maszynę postaw i poglądów kreuje, uruchamia, osądza i ... zostawiając nas z nimi – wychodzi bez pożegnania.

Przepaść między twórcą a odbiorcą wypełniają kreatorzy. Ostatnio, zupełnie nieznajoma, siedząca obok mnie w teatrze dama, w rozmowie z koleżanką nazwała ich: krętacze...

Więc jak jest?

O tym warto porozmawiać

Spróbujemy nawiązać dialog z twórcami i odtwórcami. Z widzami i właśnie kreatorami. Tymi, piszącymi dla małych i tymi, zajmującymi się twórczością jak ciężka woda – eksplodującą przy najmniejszym jej poruszeniu. Tą ciężką wodą jest nasza wrażliwość. W, niestety, wielu przypadkach, bardziej kałuża po ulewnym deszczu niż zakole źródłanego strumienia.



Fotografy ze spektakli Teatru Polskiego w Szczecinie z lat jego nieklamanej świetności. Niestety, bez profesjonalnych opisów.

"Król Lear" Williama Szekspira to najważniejszy utwór dramaturgii światowej. Dzieło skończone. Sumą tragedii przewyższające historie biblijne. Synteza teatru Grecji i Rzymu. A rola króla Leara ciągle czeka na aktora zdolnego unieść dramat człowieka próżnego, naiwnego, lekkomyślnego, skrzywdzonego, wzgardzonego? Czy także – pokonanego? Byłby to pierwszy taki przypadek w dziejach ludzkości! ... Bo kimże jest, ten Lear, król Lear? Z drugiej strony słychać głosy – jak Boya Żeleńskiego – uznające tę historię za opowieść archaiczną, psychologicznie mało wiarygodną i prowadzącą donikąd.



Dmijcie wichry...

Rankingi są zwodnicze. Jedni twierdzą, że najczęściej wystawianymi dramataми są „Hamlet”, „Antygona” i „Trzy siostry”. Inni, że najbardziej pożądanym i oczekiwanym jest „Król Lear”.

Jeśli to samo pytanie zadamy akcentując, które sztuki są wystawiane najdłużej – otrzymamy poniższą trójkę: „The Mousetrap” Agathy Christie: kryminał, najdłużej wystawiana produkcja teatralna na świecie. Jest nieprzerwanie grana od 1952 roku w Londynie. Na drugim miejscu - „Les Misérables” na podstawie powieści Victora Hugo. Musical zadebiutował w 1985 roku w Londynie i od tego czasu jest wystawiany na West Endzie. To jedna z najdłużej granych produkcji musicalowych w historii teatru. I wreszcie mój faworyt - „The Phantom of the Opera” – premiera w roku 1986. Jako Telewizja Szczecin, wspólnie z Wacławem Kuncem, ówczesnym dyrektorem Opery próbowałem uzyskać licencję na przeniesienie sztuki na mikroskopijną wobec rozmachu oryginału – scenę szczecińskiego Zamku. Koszty praw – niebotyczne!

Dziś oglądamy słynne, światowe produkcje teatralne, np. z National Theatre w Londynie w salach kinowych lub na ekranach telewizorów w domach, subskrybując usługę streamingową za około 65 PLN miesięcznie.

Londyn jest liderem w kreowaniu wielkich wydarzeń artystycznych. Także teatralnych. Ostatnio zaszokował widzów inscenizacją „Hamleta” z Ianem McKellenem w roli głównej. Tak, tym tak dobrze znanym szerokiej publiczności aktorem filmów opowiadających historię „Władcy pierścieni”. **Aktorem, który ... nigdy nie doświadczył uczucia bycia zwykłym człowiekiem.** Jego kreacje w najbardziej nawet banalnych opowieściach wzruszają i budzą najwyższy szacunek. Choćby w filmie „The Last Bus” z 2021 roku... Stary człowiek chce spełnić prośbę zmarłej żony. Wiezie jej prochy na drugi koniec kraju, do miejsca, które dla ich obojga było bardzo ważne. Jedzie autobusami przez cały kraj, jak przez... życie. Na swojej drodze

spotyka różnych ludzi. On „trafia” do ich codzienności tak, jak oni stają na trasie jego przejazdu. Trzebaż było tak prostej opowieści i tak wielkiego aktora, by uświadomić nam, jak dalece przypadki rządzą naszym życiem? Przypadki? A może wręcz precyzyjnie napisany scenariusz, którego reżyserią zajmuje się życie? Czyli – kto?

Tenże zatem Sir Ian McKellen w wieku osiemdziesięciu pięciu lat zagrał rolę Hamleta, tego z opowieści o młodzieńcu pełnym miłości i buntu, u progu dorosłości doświadczanej w skali dla dziecka jeszcze niepojętej, a co ważniejsze – niemożliwej do oceny. Być albo nie być... Jakże te słowa 15-18 latka (tak twierdzą badacze, określający wiek szekspirowskiego Hamleta) brzmią w... oczach starca, bo to one, oczy, więcej powiedzieć potrafią niżli słowa?

Niezwykle doświadczenie, lecz czy warto podjąć? Czemu miałoby służyć? Jak dalece można nagiąć, odkształcić, wręcz skarykatyzować to, co Szekspir powiedział nam „Hamlecie”? Gdyby chciał wykreować Hamleta-starca, gdyby pragnął u jego boku postawić niewiele młodszą od niego Ofelię – zrobiłby to! Ale taki Hamlet byłby wtedy postacią tragiczną lub wybrykiem natury, pokraką, Bogu winną ducha tak niefortunnie w niewłaściwym człowieku osadzonego.

A Lear? Król Lear? Ten stary Lear? Czy można porównać go z Setem? Można. A z Hiobem – tym bardziej. A z każdym z nas?

O, i to pytanie ma sens. Nie odpowiedź. Pytanie.

Tekst Szekspira był od 1605 roku zmieniany i uzupełniany. Jak twierdzą badacze, wersja z 1623 roku jest obowiązującą do dziś. Nie zachowały się recenzje spektakli z tamtych lat. Te późniejsze, które wspomina się na kartach dziejów teatru są jak wszystkie inne – wieloznaczne.

Inszenizacje, jakie kiedykolwiek by nie powstały – nie mogą równać się z historią Leara płynącą bezpośrednio ze słów Szekspira, ze stron dramatu. Odczytywanych w nas. Bo są tak dalece bezpośrednie i osobiście adresowane? Tak. Wymagają odpowiedzi jednoznacznej, jak przed trybunałem życia.

1 Człowieka można zniszczyć, ale nie pokonać
– Stary człowiek i morze, Ernest Hemingway.

Żadne, najbardziej wyszukane, pogmatwane uduziwnione pytania, struktura wywodów, rozważań i analiz nie udzieliła dotychczas prostej odpowiedzi – dlaczego „Król Lear” Williama Szekspira jest dramatem tak bardzo nas... bołącym?

I jest wśród dialogów i monologów Leara jeden, uznawany za najważniejszy, najbardziej dramatyczny, łączący w sobie pytania wszystkich ludzi boleśnie i tragicznie doświadczonych przez Boga, są tam słowa będące zarówno formą modlitwy, jak i niemalże bluźnierstwa. Ale nade wszystko – są głosem rozpacz, bezsilności wołającej o siłę. Ile ran trzeba mieć w sobie i na sobie, nigdy niezabliźnionych, by móc słowa te właśnie **w sobie** w pełni odczuć?

Sir Ian McKellen, Jan Englert, Andrzej Seweryn, a wcześniej ten Lear, który na scenie umarł – Tadeusz Łomnicki... jak odmiennie mierzyli się z tym wierszem:

Blow, winds, and crack your cheeks! Rage!

Niewdzięczność...

Przeciw tejże ów starzec wzywa wszystkie żywioły świata. Niewdzięczność córek. Oddał im królestwo za wyznaczenie miłości, jaką żywią do ojca. Królestwa dostały, ale ojca swego... osierociły. Tron na mokną ziemię pod niebem lejącym deszczem i ciskającym gromy zamieniły. Tak, ale przecież Szekspir los indywidualny zawsze odnosi do doświadczenia pokolenia, ba – całego rodu ludzkiego. W obronie i przeciw tej niewdzięczności stary człowiek przyzywa żywioły! Niech zniszczą zarodek człowieka, stworzony na wzór i podobieństwo Boga. Bogu miłego, z Boga zrodzonego – Boga, sprawcy wszystkich ludzkich nieszczęść... I mojego.

Producenci spektaklu wybrali ten właśnie monolog i stworzyli najważniejszy trailer, film reklamowy przedstawienia. Kamera, w wielkim zbliżeniu pokazuje twarz Iana McKellena, a ten wypowiada słowa:

Blow, winds, and crack your cheeks! Rage!

Dmij wściekły wietrze, aż twe lica pękną! (Ulrich)
Dmijcie, wicherzyska, aż wam miechy pękną! (Paskowski)

Polskie napisy w tym zwiastunie informują:

Dmijcie **sobie** wichry, aż wam miechy pękną...

Dokładnie tak - **sobie**. Dmijcie. Zaimek użyty w tym kontekście rodzi jakże karykaturalną wymowę dramatu! To kpina z Szekspira! A co sobie będziecie żałowały? Wy, wichry, podmuchajcie **sobie**, zróbcie **sobie** zadymę albo ubaw może jakiś? No, dmijcie **sobie**, dmijcie...

Dystrybutorem filmowej wersji spektaklu jest firma nazywowa- kinach.pl. Firma należy do czeskiego przedsiębiorcy, pana Martina Cikánka. Jego oferta jest prezentowana na ekranach Multikina.

Dygresja

W moim doświadczeniu „Król Lear”, ta tragedia Szekspira zajmuje szczególną pozycję.

Nigdy nie zapomnę pracy z panami Bohdanem Janiszewskim i Jackiem Polaczkiem nad radiową wersją fragmentów z Leara, realizowanych dla teatru Programu Drugiego Polskiego Radia w latach 2002-2003.

Lekcja czytania tekstu, wypowiadania szekspirowskiej frazy, intonacja i akcentowanie, melodia i natężenie głosu – nigdy nie zdążyłem wyrazić słów wdzięczności wobec czasu, jaki pan Bohdan Janiszewski poświęcił mi w jego gościnnym domu, gdy pracowaliśmy na Goethem, Schillerem, Hugo a wreszcie Szekspirem. Kto pamięta tembr głosu Aktora, kto jeszcze słyszy jego zupełnie unikatową artykulację? Ale Leara na scenie nie zagrał



W czasie wojny działał w konspiracji. Aresztowany i w 1943 roku zesłany do obozu w Peenemünde. Po 21 miesiącach, po wyzwoleniu trafił do Szczecina. Pracował przy odbudowie zniszczonego mostu na Odrze. W Warszawie - przy odbudowie Mostu Poniatowskiego. Potem jako urzędnik na kolei. W 1946 roku wyjechał na studia politechniczne do Krakowa. Chciał studiować dziennikarstwo. Usiłował wstąpić do Państwowej Wyższej Szkoły Aktorskiej, jednak ze względu na pobrane dwuletnie stypendium, musiał kontynuować pracę w krakowskim oddziale PKP. W 1949 roku został członkiem Teatru Kolejarskiego. Statystował w Teatrze Słowackiego. Występował na murach krakowskiego Barbakanu. Podjął współpracę z „Gazetą Krakowską”. W latach 1952-1953 roku był spikerem rozgłośni Polskiego Radia w Krakowie. W 1953 roku został aktorem krakowskiego Państwowego Teatru Lalek i Aktora „Groteksa”. Od 1954 roku grał w Szczecinie. Tu reżyserował, wykładał w Wyższej Szkole Pedagogicznej, działał w Pantomimie, w amatorskim ruchu teatralnym. Wspaniała postać.

Śmiem twierdzić, że oba te głosy, dwie interpretacje - panów Bohdana Janiszewskiego i Jacka Polaczka, udało mi się połączyć w jeden monolog dwóch demiurgów teatru, uosobienia siły i niemocy, światła i cienia, by ukazać nieukojony ból, zdolny życie cofnąć do zarodka. Do niepamięci.

Ten fragment z „Króla Leara” – czy jest jednym z najbardziej bluźnierczych tekstów? Przeżył doświadczenia Leara, także poprzez wypowiedziane przez niego słowa to dla niejednego z nas może być najważniejsza lekcja, kto wie, czy nie ostatnia w życiu. Przed prawie ćwierćwieczem, gdy w studiu pracowaliśmy nad tymi słowami, byłem o dwadzieścia pięć lat młodszy. Te lata, te doświadczenia, ten ból, jaki narastał we mnie do dziś, ta „niewdzięczność”, której doświadczam, ta bezsilność, z którą jest mi coraz trudniej się mierzyć - nie wykluczam, że każde mi któregoś dnia powie- dzieć za Learem słowa, które każdy z nas niesie w sobie: czy chcę o cokolwiek jeszcze walczyć lub się upominać? Jeśli do sytuacji takiej miałoby dojść, chciałbym słyszeć jedynie odgłos padającego deszczu, monotonnie, obficie lejącego się z nieba poprzez coraz słabsze błyskawice i milknące grzmoły, które rozmyją znaczenia tych już wtedy chyba nie najważniejszych słów. Pustych i niezrozumiałych dla naszych córek, synów, żon, kolegów, wrogów, przyjaciół, ludzi nigdy nie spotkanych.

Blow, winds, and crack your cheeks! Rage!

Jak można tak nieodpowiedzialnie, tak bezrefleksyjnie złym tłumaczeniem z języka angielskiego zniekształcać Szekspira? W kraju, który ma festiwal szekspirowski, w którym działa British Council (cytuję za stroną internetową):

W wyjątkowy sposób łączymy wiedzę o sztuce i kulturze Wielkiej Brytanii, edukacji i języku angielskim, naszą międzynarodową działalność w ponad 100 krajach, nasz dostęp do młodych ludzi i wpływowych osób oraz naszą kreatywność.

British Council od sześciu lat emituje ten spot reklamowy na swojej stronie internetowej!

National Theatre Live: Ian McKellen | KRÓL LEAR Szekspira

YouTube · British Council Polska · 24 sty 2019



Dmijcie sobie, wichry, aż wam miechy pękna.

Postanowiłem zaprotestować

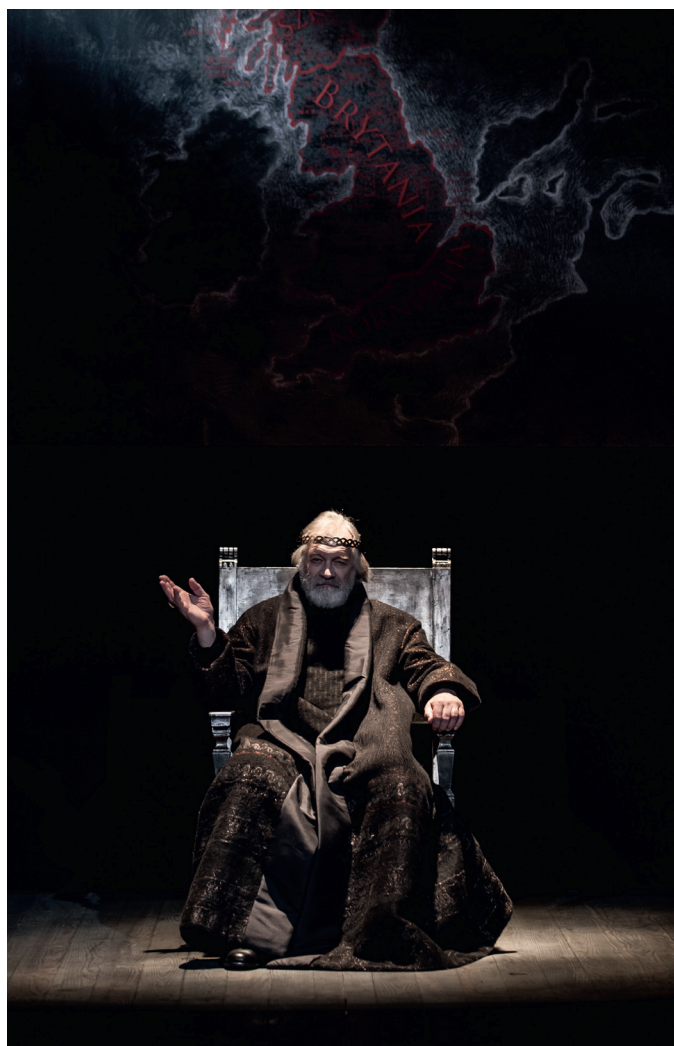
Jaki był przebieg tej interwencji – zaiste prawie szekspirowskiej w zwrotach akcji - opowiem w numerze kwietniowym. Dziś odwołam się do autorytetu pana Andrzeja Seweryna, który z rolą Leara mierzył się dwukrotnie. Teraz – w wersji monodramu. Ze spektaklem tym, zaprezentowanym kilka dni temu w telewizji, przyjedzie do Szczecina w kwietniu.

Rozmawialiśmy na tyle długo, by podjąć kilka wątków ważnych dla globalnego teatru współczesnego, który w zupełnie niezrozumiały sposób, niczym płód z abortu, odrywa się od tradycji, od reguł i zasad, które zawsze stanowiły o jego wielkości i nieprzemijalności.

Marek Koszur: Słowo jako nośnik treści... Wypowiadał je pan wielokrotnie, to samo, w różnych językach, na scenach różnych krajów... Czy ciągle jest najważniejszym źródłem wiedzy o człowieku?

Andrzej Seweryn: No, nie ma innej materii nad słowo. Przekonujemy się o tym od tysięcy lat. Co wiedzielibyśmy o nas, bez słów zapisanych przez Greków. Ale słowo nie jest **tylko** świadectwem epoki. Ono w różnych językowych i cywilizacyjnych wariantach jest jednocześnie takim wehikułem, o którym... w pewnym sensie - mówił często Grotowski i Brook.

Sztuka jako wehikuł – tak Grotowski nazywa typ sztuk performatywnych, nad którymi pracował w ostatnim okresie swojej twórczości. Podobnie jak Brook – szukał głębszego, rytualnego wymiaru teatru. W takim teatrze – aktor i widz, niczym w wehikule dążyli do przemiany duchowej. To podróż w głąb siebie. W teatrze Grotowskiego miejsce równoprawne ze słowem zajmuje gest, taniec, dźwięk, rytm i muzyka.



Król Lear. Andrzej Seweryn fot. Marta Ankiersztejn

AS: Skoro słowo jest tak ważne, jest nośnikiem, to znajdujemy się w niewoli tłumaczy. Nie tylko artyści, ale także politycy, naukowcy. To jest problem nie do rozwiązania.

MK: Jednak?

AS: Żyjemy w epoce tak zwanej demokracji. Nasze rozumienie demokracji jest mocno związane z pojęciem wolności. Także tolerancji, akceptacji. Ale ta wolność jest rozumiana przez większość naszego społeczeństwa jako „**robię, co chcę**”. A taka postawa ma niewiele wspólnego z odpowiedzialnością. I tu wracam do tłumacza.

On nie zdaje sobie sprawy, w każdym razie takie mam czasami przekonanie, jak ogromną rolę odgrywa w umożliwianiu jednym ludziom właściwego poznawania i rozumienia świata takiego, jakim widzą go ludzie różnych narodowości, posługujący się innym językiem.

MK: A ten język zmienia się w czasie, ewoluuje jak wszystko inne.

AS: Oczywiście. Stąd bezkrytyczne dziś sięganie do Ulricha, a nawet do Paszkowskiego jako tłumaczy Szekspira (przypomnijmy, że pierwsze pełne wydanie ich opracowań to rok 1895) - jest aktem heroicznym! Ale żyjemy w epoce lenistwa. Nie przywykliśmy do myślenia. Chcemy szybko otrzymywać prostą informację. Nasza pamięć utraciła najistotniejsze funkcje magazynowania wiedzy, ponieważ wyręczają nas w tym zakresie mechanizmy technologii. Współczesne społeczeństwa nie są już w stanie wypracować tego co się nazywa *mètre de Sévres* – np. w dziedzinie tłumaczenia. Przykład, który pan podaje ze zwiastuna spektaklu „Król Lear”, gdy ten, w sytuacji ostatecznej, wzywa na pomoc wszystkie siły nieba i ziemi, wołając: „dmijcie wichry...” - to ten fragment, tak mocno osadzony, kluczowy dla całej wymowy „Króla Leara”, tłumacz podaje nam w wersji „dmijcie **sobie** wichry”. **No to co ja mam odpowiedzieć? Że tłumacz jest barbarzyńcą? No mogę mu powiedzieć, że jest barbarzyńcą.**

MK: Przypomnę ten fragment za Józefem Paszkowskim i Leonem Ulrichem, z wydania z 1895 roku, na które to tłumaczenie powołują się autorzy polskiej wersji językowej. (Proszę wirtualnie dodać w pierwszym wersie ów zaimek: *sobie*)....

Król Lir

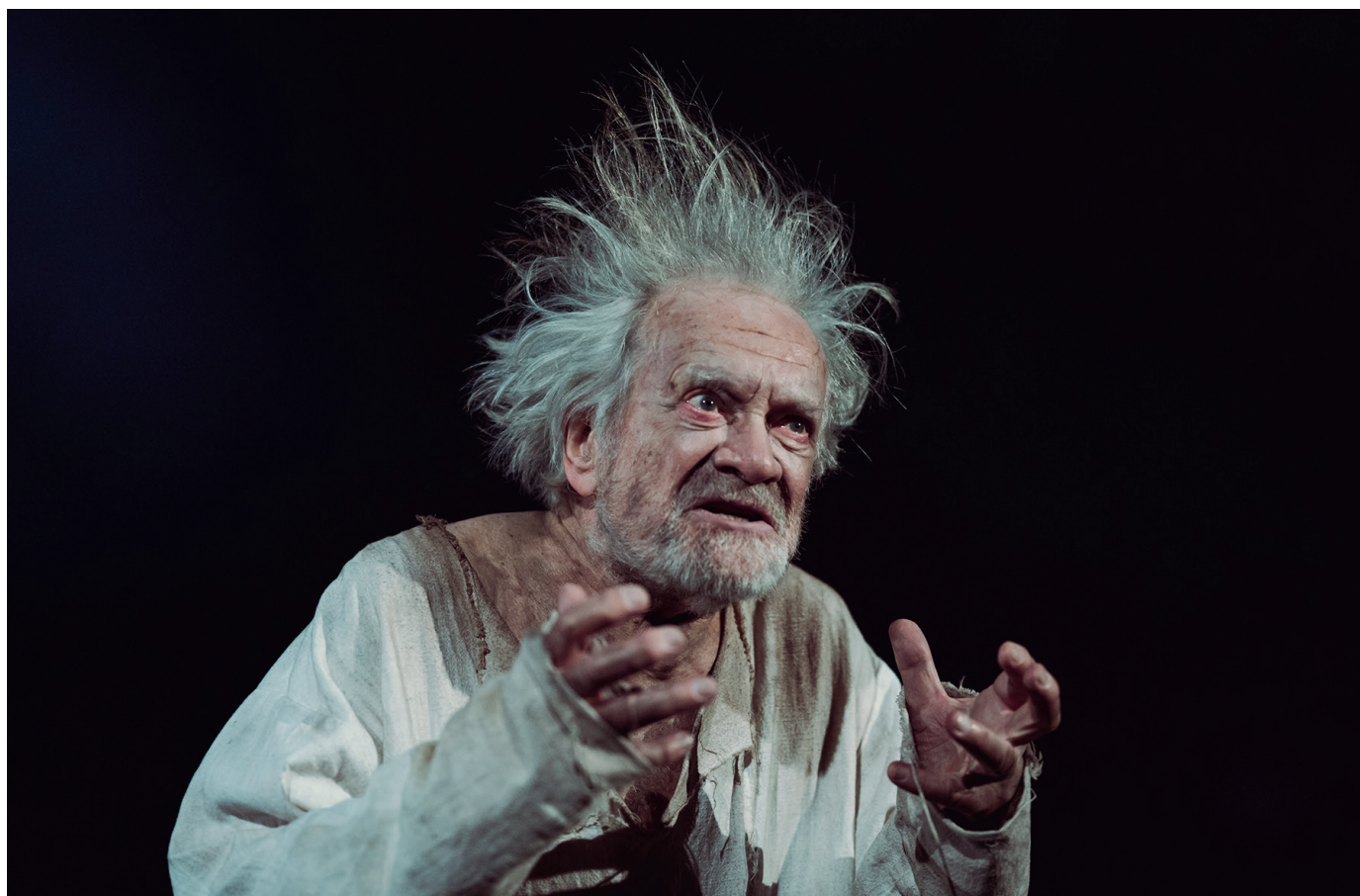
Dmijcie, wicherzyska, aż wam miechy pękną!
Dmijcie, wściekajcie się! Plujcie powodzią
Wy, katarakty, i wy, uragany,
Aż zatopicie wieże po szczyt kopu!
Wy, siarką tchnące, jak myśl chyże błyski,
Zwiastuny dęby druzgocących bełtów,
Osmalcie biały mój włos! a ty, gromie
Wszystko niszczący, splaszcz twardy krąg świata,
Zgnieć wszelkie kształty przyrodzenia, zniwecz
Wszelkie zarody niewdzięcznej ludzkości!

Z kolei – wersja Ulricha:

Król Lear

Dmij wściekły wietrze, aż twe lica pękną!
Lej katarakty twoje, uraganie,
Póki wieź naszych kurki nie utoną!
Siarczane ognie, z szybkim jak myśl lotem,
Gońce piorunów dęby trzaskających,
Spalcie me siwe włosy! Wy, pioruny,
Na proch rozbijcie wielką ziemi kulę,
I na raz zniszczcie formy i nasiona,
Z których niewdzięczny kształtuje się człowiek!

MK: Nie mam słowa na określenie podobnego lekceważenia oryginału! I na metodę tłumaczenia lub opracowywania polskiej wersji językowej. Ze względu na fakt, że te dwa tłumaczenia są dostęp-



Lear. Andrzej Seweryn. Fot. Karolina Jóźwiak

ne w domenie publicznej, nie trzeba autorom płacić za ich pracę – „adaptujemy” ich wersję stworzoną prawie 150 lat temu do współczesnej polszczyzny! Co to jest 150 lat dla rozwoju języka? To tak, jak z osła przesiąść się do helikoptera. To jest karygodne zniekształcanie sensu i treści, przesłania dzieła, jego niewyobraźnego akuratu w tym jednym akapicie – ładunku emocjonalnego. Nie da się tego błędu usprawiedliwić. I nikt na to łobuzerstwo nie reaguje. (szczegóły w numerze kwietniowym TVSiódemki).

AS: Ależ oczywiście. Ja się z panem absolutnie zgadzam. W tłumaczeniach Moliere dokonywanych przez jedną z najbardziej znanych jego tłumaczek mamy szkolne błędy. Wiele ich w mojej praktyce wychwytywałem.

Największe grzechy osób zajmujących się tłumaczeniami, które uzasadniają potrzebę korzystania z tłumaczeń literackich, filologicznych, profesjonalnych, przemyślanych i uznanych.

- dosłowne oddawanie idiomów i frazeologizmów prowadzi do niezgrabnych, niekiedy nonsensownych sformułowań; wyrażenia zawierające grę słów, gdy przetłumaczone były słowo w słowo, nie budziły efektu zaskoczenia, a wręcz brzmiały sztucznie.
- sztywny styl, który nie oddaje oryginalnego tempa dialogów oraz dowcipu, co osłabia efekt komiczny scen
- rezygnacja z adaptacji odniesień kulturowych – zarówno historycznych, jak i społecznych – co skutkuje brakiem klarowności dla współczesnego, polskiego odbiorcy. W efekcie pojawiają się sformułowania niezrozumiałe lub wywołujące mylne skojarzenia.

W niektórych tłumaczeniach struktura dialogów jest modyfikowana na niekorzyść oryginalnej dynamiki scenicznej.

MK: Dezynwoltura...

AS: Rzeczywiście. Po francusku mówi się "aller a la selle", co oznacza "iść do toalety". Ale nie żeby stać, tylko żeby usiąść. To wyrażenie w bezpośrednim przekładzie brzmi "iść na siodło". I tłumaczka daje nam to techniczne, literalne znaczenie zwrotu i pisze: "iść na siodło". Więc my, no ludzie troszkę bardziej może świadomi, bardziej

pokorni, możemy tylko krzyczeć. Ja mówię ze sceny: „dmij wietrze dmij, aż ci policzki pękają...”. A oni tłumaczą: dmij sobie, dmij... Takie sformułowanie kompletnie odbiera sens tragedii - **to jest bez sensu, bez sensu. Jestem bezsilny!** Czy powinniśmy zatem stworzyć jakieś zespoły, które by pilnowały tłumaczeń? To jest po pierwsze niemożliwe, po drugie te komisje musiałyby być rzeczywiście reprezentowane przez ludzi w pełni wykształconych, świadomych, pokornych, a takich jest bardzo niewiele i nie jestem pewien, czy oni by się między sobą też zgadzali. Wie pan, **pozostaje nam krzyk**. I to w kraju wielkiego **polskiego** dramaturga, bo sztuki Williama Szekspira są u nas grane najczęściej...

MK: To zapytam jeszcze głębiej, czy króla Leara, po francusku zagra pan tak samo jak po polsku?

AS: Nie, na pewno nie. Odpowiadam tak bardzo spontanicznie.

MK: Ma Pan w sobie mechanizm, niczym dźwignię: teraz gram po francusku dla Francuzów, a teraz – dla Polaków, po polsku?

AS: Wszystko robię w sobie, na pewno. Wspomniał pan o Francji... W teatrze francuskim, co innego w życiu, akcent logiczny nie jest stawiany tak jak w języku polskim. W teatrze francuskim, zdaniem moim, większą rolę odgrywa zdanie niż pojedyncze słowo. My w teatrze polskim takimi niewolnikami zdania nie jesteśmy. Ja bym w związku z tym inaczej oddychał po francusku. Po francusku sens może Pan przekazać w płynnym zdaniu. Bez akcentu. Ale czy wtedy Pan przekazuje ten sam sens? To są wątpliwości...

MK: A czy po tym zawołaniu: dmijcie wichry, to one pędzą pana po francusku posłuchają, wesprą pana w gniewie i bezsilności? Czy może będą panu bardziej powolne, jeśli zwróci się pan do nich po polsku?

AS: Oczywiście, po polsku!

MK: Ale Francuzi są narodem rewolucjonistów.

AS: Zaryzykuję taką tezę: Szekspir, jak pan zauważył jest autorem polskim, bo przecież gramy go nieustannie i to niemal wszystkie dzieła. Ale... Bliżej językowi polskiemu do angielskiego niż do francuskiego. Mimo, że w języku francuskim jest wiele słów podobnych do ich odpowiedników w języku angielskim. I odwrotnie. Języka polskiego z tamtymi nie uda nam się tak porównać. Niemniej - przemawia przeze mnie moja praktyka – z angielskim łączy nas mięsistość języka... Pewna taka brutalność, absolutny brak elegancji. Przecież Szekspir chwilami mówi językiem burdelu, prawda?

MK: Doszliśmy do stwierdzenia, że słowo jest chyba jednak najtrwalszym materiałem budowlanym, jeżeli chodzi o sferę mentalną, cywilizacyjną, o świadomość, o tożsamość...

AS: Tak, ale słowo również wypowiadane.

MK: A to jest doskonała uwaga do kwestii, którą proszę łaskawie skomentować. Otóż Szczecin niemal dotyka dawnej granicy z Niemcami. Miasto bardzo się rozwija. Granicy państwowej w dawnym jej kształcie praktycznie od dawna już nie ma. Tych odciętych drutami kolczastymi dziewczyczych pasów ziemi, strzeżonych kamerami i karabinami. Nad granicą powiewa flaga wspólnej Europy. Niemcy jadą karawaną do polskiego sklepu, z ukraińską obsługą, kupują taniej to samo, co mają w swoich marketach. Przy kasie ludzie ci rozmawiają ze sobą językiem pogranicza. To mozaika angielskiego, rosyjskiego, polskiego, niemieckiego, francuskiego, języków z krajów azjatyckich. Podobnie jest po stronie niemieckiej: największy dom towarowy i supermarket należą do Wietnamczyków. Obok – praktyka polskich lekarzy i prawników. W polsko-niemieckiej szkole uczy się kilkuset młodych ludzi. Tu również, najczęściej wypowiadane słowa wywodzą się ze źródła, z matecznika naszej kultury, z łaciny. Ale co dzieje się w sferze właśnie kultury, a przede wszystkim – ducha? Czy duch Schillera, Goethe'ego, pańskiego Moliera staje się poprzez brak dawnych, sztywnych granic bliższy nam wszystkim? Nam – tak internacjonalnym, jak opowiedziałem? Od czasu wejścia do Unii tworzymy społeczeństwa kulturowo bardziej zhomogenizowane?

AS: Ja sformułowałem tę samą w gruncie rzeczy myśl, ale w ten sposób: jeżeli Francuzi nie poznają naszych „Dziadów”, to nie będziemy mogli budować z nimi Europy.... To wcale nie znaczy, że ja pozwalam sobie tutaj jakąś propagandę mickiewiczowską uprawiać, że Polska jest Chrystusem Narodów i tak dalej. Kiedyś byłem wyznawcą romantyzmu. Bezkompromisowym, bezwzględny. Dzisiaj jest mi

bliżej do Norwida, ale to jest inna sprawa. Natomiast po to, żeby coś rozumieć z naszej części Europy, to trzeba poznać „Dziady”. Kilkakrotnie robiłem „lekturę” Dziadów, w różnych miejscach. Choćby w Avinionie pod murami Pałacu Papieskiego, także w Comédie-Française. W Brukseli.

MK: Dyrektor najnowocześniejszego teatru w Polsce, a taki teatr jest w Szczecinie, gdy zapytałem: kiedy wreszcie na nowej scenie zobaczymy dobrą polską klasykę teatru, odpowiedział: wszystkie lektury zostały już sfilmowane, kto przyjdzie na Panią Dulska? Komu miałbym pokazać „Grube ryby”?

AS: Przepraszam, ale nie znajduję słowa na określenie podobnej postawy.

MK: Z tym usprawiedliwieniem na ustach tenże dyrektor, na scenie kabaretowej swojego teatru porywa publiczność tekstami jakże miernej jakości, bazujących na słownictwie i metaforyce oraz porównaniach wręcz żenujących... Inny aktor oszalał na tę samą widownię fontanną bluzgów, bywa, że rymowanych, a jakże, ułożonych z uwzględnieniem metrum, podanych „ze smakiem”, w sposób wyrafinowany...

AS: To bardzo ciekawe co Pan mówi. Ja bym tego nie nazwał tekstem, tylko „zlepkiem słów”. Bo tekst to forma nobilitująca słowa.

MK: Ale ludzie przychodzą na te popisy i biją brawo. Publika pęka ze śmiechu.

AS: Pamięta pan uwagi Hamleta do aktorów, gdy mówi o tym, żeby nie sprzyjali, nie poddawali się kretynom na widowni, którzy wyją ze śmiechu i tak dalej, i tak dalej? Szekspir coś na ten temat wiedział. Mówił o widzu: „trzeba jasełek lub fars plugawych, inaczej zaśnie”.

MK: Nosi pan w sobie, ukryte gdzieś, swoje pierwsze zafascynowanie teatrem? Co to było?

AS: Ja uważałem, że teatr, że aktor może uratować ojczyznę, może zmienić sytuację mojej ojczyzny. Że trzeba bronić języka, bronić kultury, bo ruscy, bo komuna, nic bardziej młodzieńczego, nic bardziej naiwnego, ale nic bardziej głębokiego! Dzisiaj poważny teatr powinien nas bronić przed barbarzyństwem!

Bo „dmij sobie wicherze” to jest barbarzyństwo, to trzeba tak nazwać.

Koniec części pierwszej.



Król Lear. Andrzej Seweryn, fot. Marta Ankiersztejn

Malarz zachłanny

cz. 01

Takim dla mnie był. Jak zresztą każdy z malarzy stettinskich, ale Eugen Dekkert, wyeksponowany tak, jak w kolekcji dra Zygmunta Niedźwiedzia, jawi się jako twórca sturęki. Patrzę na te obrazy.

Podobnie jak Monet – chłonał sytuacje, które obserwował w dzień słoneczny, przy nawet na chwilę nieustającym wrzasku skowronków. Te zdają się krzyzczeć: patrzcie, patrzcie, a teraz maluje to niewinne dziecko, dziewczynkę, która wiąże snopek, obok uwija się jej matka i bacznie obserwuje zgrabność ruchów córki. Patrzcie, ona wie, że ta poradzi sobie w życiu, że zna cenę każdego ziarna pszenicy i żyta. Z rozrzewnieniem, być może, widzi we wspomnieniach siebie, gdy ostra słoma kaleczyła jej dłonie, gdy spletem z łodyg krępowała nowego chochoła. A wieczorem moczyła drobne palce w chłodnej wodzie, zaczerpniętej ze studni, głębokiej do wrót strachu. Dzieciakom nigdy nie było wolno zaglądać do studni!

Ojciec? Ten patrzeć nie musiał na pracę córki. Wyłapywał najdrobniejszy szmer, dźwięk, odgłos jej zwinnych dłoni.

Ci ludzie całe życie, zazwyczaj w milczeniu, spędzali właśnie tam, na polu, sadząc, pielęgnując, żniwując i podrywając ziemię pod kolejne zasiewy.

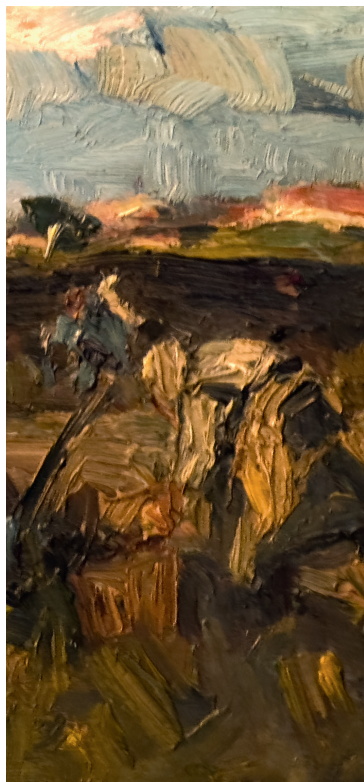
Wzrusza mnie ta fascynacja codziennością, ale tu uchwyconą w sposób wręcz mistyczny. Każdy z obrazów jest jak scena z drogi krzyżowej. Każdy z tych obrazów to opowieść o pokorze, a zarazem miłości do losu, który dał tym ludziom zagon ziemi, materiał na zasiew, konia, krowę, silne ręce i wieczorną modlitwę – za ten Boży dzień.

Od zawsze fascynuje mnie i nigdy nie chciałbym tej radości utracić, spoglądanie na obraz okiem jego twórcy. Ani to zwierzę, ani tamte drzewa w tle, ani ludzie i chmury nie zatrzymały się w miejscu na czas, aż artysta dzieło swoje ukończy. Zadziwia mnie ta tajemnica



Eugen Dekkert (Szczecin 1865 – Garmisch-Partenkirchen 1956) – malarz niemiecki; pochodził ze szczecińskiej rodziny kupieckiej. Uczęszczał do Gimnazjum Fundacji Mariańskiej w Szczecinie, gdzie pierwszych lekcji rysunku udzielał mu znany malarz Ludwig Most.





zapamiętania pewnej idei kadru. Ten przecież trwa sekundę, najwyżej setną tylko jej część? A może artysta zachwycił się zgrabnym ruchem ręki żniwiarki, która sierpem poderwała właśnie złożone wiatrem zboże i mocnym pociągnięciem narzędzia wyzwoliła dźwięk dziękczynny? Wszak kłosa jeszcze pełne, łodygi nie połamane, a po rzazie dał się słyszeć jakby lekki oddech ziemi, odsłoniętej dla słońca, ścierniska wdzięcznego, że zdjęto zeń odpowiedzialność za utrzymanie łańców, ciągnących się po horyzont.

Zamykam oczy. Widzę ten wóz. Ryszard trzyma lejce. Wóz załadowany po brzegi, ja siedzę na szczycie góry snopów. Widzę ścięte maki, jakieś chabry, a w nogi kłują mnie wąsy kłosów. I chłonną zapach sytości. Niezwykły zapach radosnej pieśni, której słów nie trzeba rozumieć, bo te są zbyt ograniczone w wyrażaniu uczuć i doznań żniwnych, które człowiek niesie w sobie przez dziesiątki, dziesiątki lat.

Mława, lata 50. XX wieku, dzwon z wieży pobliskiego kościoła i głos babci, która wybiegła przed dom i krzyczy w niebogłosey.

- Zdejmijcie to dziecko z wozu, niech je Bóg ma swojej opiece, poszaleliście? Szatany wcielone - posadziły dziecko na furze, żeby główką o chmury się uderzyło...

Siedzę w kuchni, na małym zydelku, z kwartą zimnego zsiadłego mleka, ciężkiego, bo tam, u Babci nie było przecież kubeczków, małych i kolorowych.

Zsiadłe mleko... Ręka Babci kładzie się na rozgrzanej słońcem czuprynie. Widzę te jej czarne, nieprzeniknione oczy. Trochę się ich bałem...

Ta ręka, taka szorstka, twarda, wieczorem zawsze kreśliła znak krzyża na czole.

- No, śpij już, śpij... ino mi z aniołkami już nie gadaj. Śpij...

Jak ja nie lubię wernisaży...!

Nie lubię.

Do ostatniego, w jakim uczestniczyłem w Willi Lentza przy okazji prezentacji zbiorów z kolekcji Marii i Marka Pileckich – Kolory życia.



Zaczęło się jak zwykle:

- O, cześć, a wiesz, właśnie wróciłam...
- Świetnie wyglądasz...
- Mówię ci, tak mnie tutaj łupie... Nie, nie, niżej...
- A jak tam synowa? Doszłyście do porozumienia?
- Nie było sensu, oddałem na złom... Ale 16 lat mi służył...
- Jutro idę na operację...
- Powiem ci, z niego jest taki suk...
- Zrobisz mi zdjęcie?
- Ciociu, możemy już iść?
- Wspaniale, wspaniale, gdzie kupiłaś? Muszę takie mieć!
- O, pan redaktor... Miło, miło...
- Wczoraj dzwonił kolega z Chicago. Chce uciekać do innego stanu...
- To lampucera, nie wiem, co on w niej widzi? Tym bardziej, przy tym jego wzroku...
- Siedem szczeniaków... Po siedem tysięcy... Wiesz – psie pieniądze...

Uśmiechy, ukłony, gesty...

Porozmawiam z artystami – myślę. Ale o czym? **Oni ciągle stoją tyłem do swoich dzieł. Nie mogą na nie patrzeć? Wcale się im nie dziwię.** Odruchowo odliczam w myślach. Trzy, cztery, pi... Nie... Od początku: dwie, trzy... Nawet trzech sekund ten i reszta gości nie ustali przed obrazem Mistrza. Snują się, chodzą, mijają, nikogo nie widzą, chyba że w czołowym wprost zderzeniu aż przykucną na widok znajomego, klepną otwartymi dłońmi w uda i robiąc wytrzeszcz z tym tak charakterystycznym wyciskaniem głosu z gardła, jak pasty zaschniętej w starej tubie, co to parę lat przeleżała za wanną.

- Ty tutaj? Tyle czasu, jak się cieszę, jak ja się cieszę, tak się cieszę, że cię widzę. No pokaż się, cudownie, zawsze młoda, piękna, bogata! A... a co ci się stało z tym uchem?

Nie, nie kpię

To klimat lokalnych wernisaży. Wszyscy wszystkich znają. Kilka cmoków, parę "szczerze" wypowiedzianych zdań i biegusem do domciu. A obrazy? No, fajne, ciekawe, bardzo interesujące, niektóre nawet wyjątkowo dobre. Czuć zawodowość, jednak co artysta, to artysta...

Stoję w kącie, reguluję kamerę, dopasowuję mikrofon. Jeden, jeden, trzy trzy... Ustawiam poziom nagrania i mimowolnie rejestruję w pamięci takie jak wyżej migawki i refleksy, wernisażowe wypo-

wiedzi tych z Medyny co idą do Mekki (albo odwrotnie), obecnych tu w imię jakieś zapomnianej idei, bo niekoniecznie w konkretnym celu. Nagle, jedna indiańsko udrapowana dama do kogoś macha i gestykułuje, palcem pokazuje na obraz: ten, ten!

- No, mówiłem, że będzie chciała kupić coś, co jest nie do sprzedania. Ledwie weszła i już inwestuje. Ma z czego... Przepraszam pana, zaraz wrócę...

Zatrzymuję nagranie. Później już do niego nie wracam. Łapię w kilku ujęciach klimat wolnych neutronów sztuki. Wielu robi sobie selfie na tle obrazów. Inni, jak nietoperze meandrują wśród gości zatrzymujących się na chwilę przed tym czy tamtym obrazem. Wtedy, inni muszą zaczekać, by „z właściwej perspektywy” zaliczyć kolejne dzieło, bo z perspektywy zawsze wszystko lepiej widać.

Ale o czym?

Miałem porozmawiać z artystami. Z tymi zawsze jest najtrudniej. Bez względu na zadane im pytanie – mówią zazwyczaj to samo. Sztuka, sztuka, wie pan, sztuka...

To może o pędzlach? Wiadomo, najlepsze są ze szczeciny, włosia sobolowego lub wiewiórczego, a także poliestru. Ale przy niektórych obrazach, farbę nakładano patykiem, może kawałkiem szczapy. Szczapa szczapie nie równa... Więc tematów mamy mnóstwo.

Wernisaże, wernisaże... "Uwielbiam" wernisaże.

Neofici?

Z boku grupka „akademijnie” odzianej młodzieży... Rozmawiam z dwójką ich reprezentantów – Anią Bartniczuk i Szymonem Krutem.

Marek Koszur: Druga licealna o specjalności: psychologia. To co robicie na wystawie sztuki współczesnej? Co psychologia ma wspólnego ze sztuką?

Szymon Krutel: Bardzo dużo! Sztuka wpływa na nas, na nasze myślenie i widzenie świata. W sztuce szukamy odwzorowania naszego świata.

Ania Bartniczuk: Dla mnie - sztuka to przede wszystkim emocje.

MK: Emocje wywołuje karetka pędząca na sygnale albo piłka lądująca w bramce, ale nie te... bohomyzy!

SzK: Tak, to prawda. Każde nagłe wydarzenie wzbudza zainteresowanie światem. Natomiast sztuka potrafi bardzo silnie pobudzić

nasze myślenie o innym człowieku. Dlaczego właśnie tak artysta ujął jakiś temat albo stworzył jakieś dzieło? I każdy, kto patrzy na obraz artysty może widzieć w nim własny punkt widzenia.

MK: Dobrze, popatrzmy na ten obraz. Uznano, że jest wart pokazania na wystawach. Dlaczego, jaką treść i emocję niesie? O co w tym przesłaniu idzie?

SzK: No właśnie...

MK: Jedyne element świata żywego to ptaki. Po lewej stronie – klepsydra. Za klepsydą jakaś notatka. Może to kartka z kalendarza? Piasek ciągle się przesypuje, więc trwa jakiś proces... Życie? Obok – bębenek. Ale bez dobosza. U dołu – fujarki, czaszki końskie? W oczodołach – fujarki. Pobojuwisko?

SzK: Nie wiem... Artysta buduje coś nowego? W czaszki, w oczodoły wkłada fujarki... Nietypowe połączenie i tym bardziej zastanawiające.

MK: Ale klepsydra ciągle odmierza czas...

AB: Tak... Gołąb...

MK: Jest symbolem czego?

SzK: Odrodzenia?

MK: Pokoju? Jakby nawiązanie do picassowskiego gołębia pokoju z 1948, z pamiętnego Światowego Kongresu Intelktualistów w Wrocławiu.

SzK: Odrodzenie. Nie pamiętam nazwiska niemieckiego filozofa i artysty, ale on mówił, że artysta, poeta jest stwórcą własnej sztuki, bogiem czasu utrwalonego na płótnie.

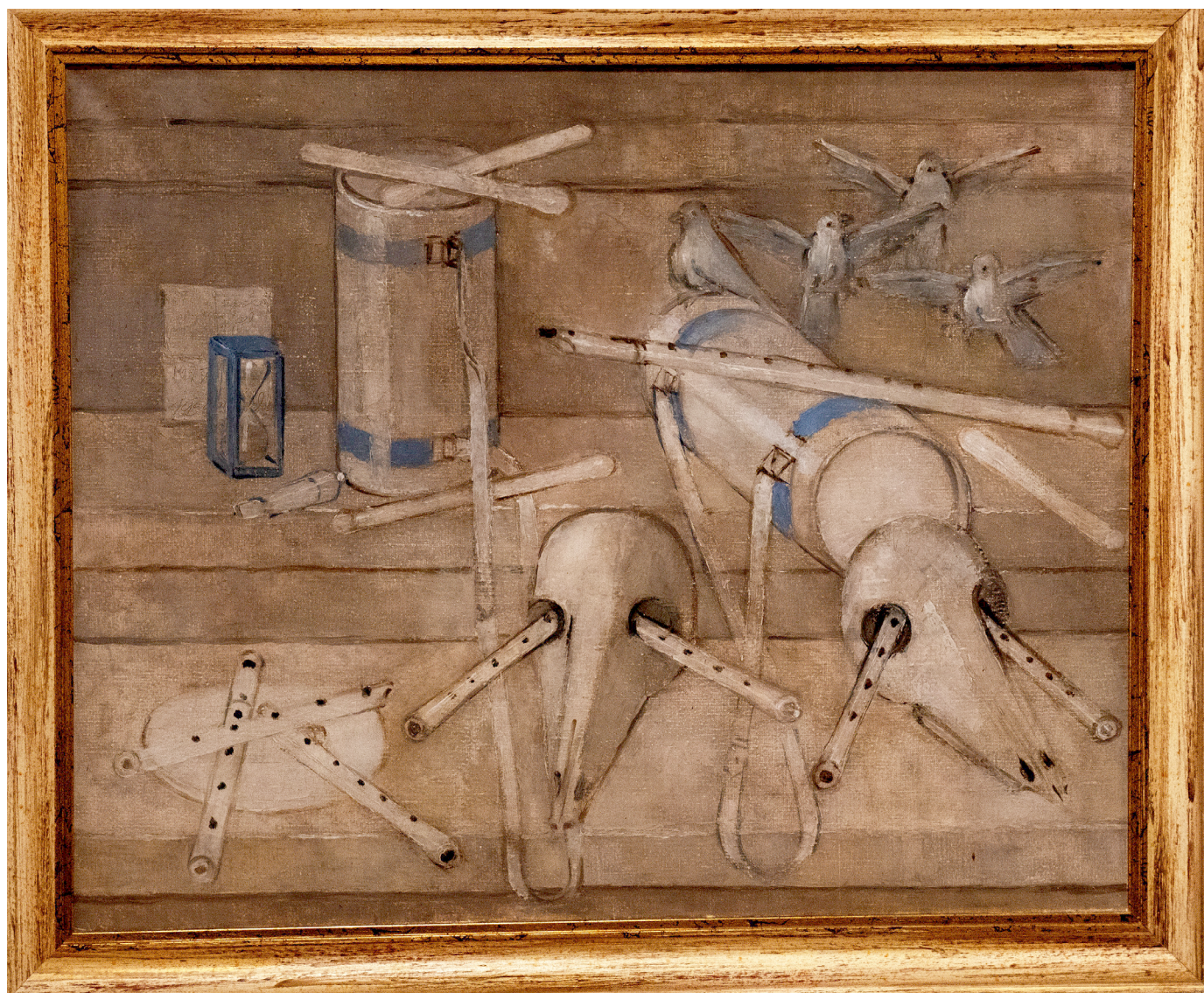
Wdaliśmy się w rozważania, czy to mógł być Caspar David Friedrich, który nie sam przecież dostrzegał boską rolę artysty w kreowaniu dzieł sztuki. Friedrich uważał, że artysta powinien oddawać nie tyl-

ko zewnętrzny wygląd natury, ale także jej duchowe i emocjonalne aspekty, co sugeruje quasi-boską moc twórczą artysty.

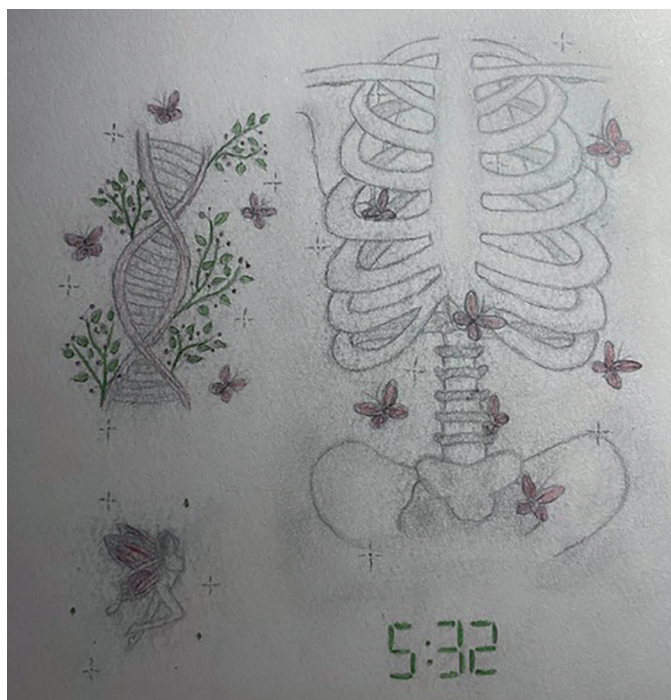
SzK: Tak, to mógł być Friedrich. Nie pamiętam ich nazwisk, ale było trzech artystów tamtego okresu, a nazwiska dwóch zaczynały się chyba na literę „f”. Oni bardzo szeroko definiowali rolę i znaczenie twórczości...

Trzech, na literę „f”. Cudny moment, jak mawiała niegdyś moja redakcyjna koleżanka. Widzisz, dowodziła, nagle ta niepotrzebna, nudna i akademicka wiedza, zapamiętana pospiesznie, bez przekonania, że kiedykolwiek i do czegośkolwiek może być potrzebna – manifestuje swoją nieodzowność. O ile lepiej poczułby się chłopak, gdyby wymienił tę trójkę artystów. Po tej rozmowie przypomni sobie, zapamięta i to na długie lata nazwiska owych koryfeuszy. Nie ukrywam, miło mi, że ten moment pojawił się w naszej rozmowie.

W filozofii romantyzmu, zwłaszcza w niemieckiej myśli idealistycznej, głoszone idee podkreślające boski aspekt twórczości artystycznej. Filozofowie tacy jak Johann Gottlieb Fichte, Friedrich Wilhelm Joseph von Schelling czy Georg Wilhelm Friedrich Hegel rozwijali koncepcję, w których artysta, poprzez akt twórczy, zbliża się do **boskości**, w swoich dziełach odzwierciedlając absolut lub ducha świata. W szczególności Schelling w swojej filozofii sztuki sugerował, że artysta, tworząc - uczestniczy w boskim akcie kreacji, a sztuka jest miejscem, gdzie **nieskończoność przejawia się w skończonej formie**. Duch romantyzmu z pewnością celebrował artystę jako twórcę, który poprzez swoją sztukę **manifestuje boskie pierwiastki i odkrywa głębsze prawdy o rzeczywistości**.



Kiejstud Bereżnicki, *Martwa natura w bielach*, 1977



Rysunki Ani Bortniczuk

Nazwiska, epoki, dzieła... To szalenie ważne, ale ta dwójka i chyba wszyscy przysłuchujący się tej rozmowie ich koledzy dopiero pukają do drzwi wrażliwości i wiedzy. W sobotnie popołudnie, wieczorem, w środku zimy...

AB: A ja wolę jednak kwiaty, piękne, kwitnące ogrody – naturę w całej jej sile, utrwalaną na obrazach. Koniecznie musi być las, bardzo chętnie jezioro, strumień - klimaty, które nakazują przystanąć, zatrzymać się, zachwycić się pięknem natury. I... pomyśleć o...

MK: ...księciu na białym koniu, o księżniczce?

AB: Niekoniecznie. Wtąpić się w przyrodę. Bardzo lubię chodzić po lesie, po wielkiej łące, po krętych ścieżkach. Lubię mieć wokół dużo kwiatów...

MK: To namaluj sobie taki świat.

AB: No... właśnie maluję.

MK: Doprawdy? Cudownie!

AB: Preferuję rysunek. Bardzo dużo szkicuję.

MK: Abstrakcja?

AB: O, nie. Chociaż fantazja - tak. Ostatnio narysowałam wróżkę.

MK: Jednak krasnoludki?

AB: Chętnie kreuję różne stworzonka. W sumie – to elementy mojego świata. Kwiaty, fantastyczne rośliny, takie jak te rosnące w wodzie.

MK: Wiedziałeś o tej pasji twojej koleżanki?

SzK: Nie! Pierwszy raz słyszę!

MK: I co teraz? Widzisz innego człowieka?

SzK: Tak, to znaczy – nie. Nagle odkryłem, że ta dobrze mi znana osoba ma zupełnie inne, albo lepiej powiem - nowe oblicze.

MK: No to tajemnica przysła?

AB: Rzeczywiście, nikomu dotychczas o tym nie opowiadałam. Chyba, że ktoś mógłby podpatrzeć, że coś tam sobie szkicuję. No, moja rodzina widzi więcej moich prac.

MK: Lepiej się z taką pasją żyje?

AB: O, tak. Zwłaszcza w chwili, gdy sama czuję, że zbiera się we mnie dużo różnych emocji, jestem zestresowana, osaczona problemami. Gdyby nie rysowanie, może nie wiedziałabym, co ze sobą zrobić? A dzięki mojej pasji – siadam w fotelu, wyjmuję szkicownik, sięgam po ołówek i wylewam wszystko, co mi tylko przychodzi do głowy.

MK: Może podziurawienie kartki tym ołówkiem, podarcie jej na strzępy byłoby lepsze do rozładowania stresu?

AB: O nie, w moim przypadku coś wręcz odwrotnego. Wszystkie moje myśli koncentrują się na rysunku i rysowaniu. Zaczyna mi się to podobać, cieszy mnie, jak wizja dobrze się kreuje.

MK: A jaki obraz w tej chwili rodzi się w twojej wyobraźni, takie lekarstwo na ten dzisiejszy wernisażowy stres...

AB: Teraz? Widzę - potok. Górski potok. Nad nim mostek albo kręta ścieżka, dochodząca do wąskiego przesmyku, aby można było przeskoczyć ten potok. Mówię o tym, bo co roku jeździmy w góry. I już się na ten nowy wyjazd bardzo cieszę. I taki widok mam w sobie. Chętnie go narysuję.

Z opiekunką grupy szukaliśmy miejsca nie tyle mniej gwarne, co wizualnie komponującego się z malarskim światem pani profesor Teresy Bindas.

MK: O! Ten obraz chciała Pani mieć w swoim tle?

Teresa Bindas: Dlaczego? Bo ja lubię muzykę... O, przepraszam, muzyka zawsze mi przed szereg wychodzi i się ujawnia, bo po prostu – mam także wykształcenie muzyczne. Ja lubię obrazy, które nie nawiązują do nurtu mimetycznego, nie odwzorowują rzeczywistości. Wolę te, które pozostawiają mi dużą swobodę wyboru interpretacji. Akurat te obrazy kojarzą mi się z twórczością Picassa. Lubię tego typu malarstwo. Abstrakcjonizm najsilniej do mnie przemawia.

MK: Tę muzykę na początku naszej rozmowy przywołała Pani nie przypadkowo...





Ania Bortniczuk i Szymon Krutel

TB: Może i tak... Między malarstwem i muzyką nie ma żadnego „między”. We mnie obie te sfery fantastycznie ze sobą współgrają. Jak akordeon!

MK: Proszę pani! Dlaczego wymieniała Pani instrument, o którym właśnie w tej chwili pomyślałem? Osiem lat zgłębiałem umiejętność gry na tym instrumencie.

TB: A widzi pan? Pojawił się między nami kanał informacyjny. Nieświadomie.

MK: Sztuka lepiej wie, które dusze się ze sobą prędzej porozumieją? Przepraszam, to taka uwaga poza protokołem. Ale muzyka jest dziedziną skodyfikowaną, ograniczoną tempem, rytmem, wysokością dźwięku.

TB: Co nam nie przeszkadza budować z tych komponentów różne kompozycje i ich interpretacje. Kompozytor i muzycy dają nam pewną wizję, a my – słuchacze – tworzymy na tej podstawie własne światy i wyobrażenia.

MK: A obraz?

TB: We mnie wzbudza może mniejsze emocje niż muzyka, ale nie oznacza to, że ogranicza pole interpretacji.

MK: A ten, który wisi na ścianie pani pokoju? Mija go pani jak przystanek tramwajowy czy piekarnię... Mimo...

TB: To są rzeczywiście kompozycje abstrakcyjne...

MK: Których od dawna już pani nie zauważa... Wkomponowały się w pani świat. Wiszą na swoim miejscu, a ten fakt od dawna nie rodzi żadnych skutków? Zdejmuję najważniejszy z obrazów. Zabieram go. Kradnę go z pani życia...

TB: No, to byłoby straszne. On jest wielki, bardzo kolorowy, jak rajski ptak. Nie wyobrażam sobie, aby mógł zniknąć. On rodzi tyle interpretacji! Nie. Nie zgadzam się na... smutek, bo tylko on mógłby zająć miejsce po tym obrazie.





fot. Teresa Bindas

MK: Uczyniła pani z tego płótna swojego niewolnika...

TB: To jest byt, taki sam jak my. Bo powstał z naszego aktu twórczego. Jest częścią nas, ale w innej postaci. On pozostanie po nas. Będzie naszym świadkiem. I świadectwem. *Non omnis moriar...*

MK: Nie uciekajmy aż do Horacego. Chociaż... Tu mamy wokół siebie w pewnym sensie... dzieła terrorystów. Twórcy tych obrazów narzucają nam swoje wizje i interpretacje. Zmuszają nas do myślenia nie naszego własnego, ale od punktu, który oni nam na swoim płótnie zaznaczyli. To forma linii startu – patrz, szukaj treści, odnoś się do nich, lokuj się w ich orbicie. Oni nas zmuszają – artyści – do budowania naszego świata piękna ruszając w tę podróż od wizji jaką nam w swoim dziele narzucają! Ratunku!

TB: Ale puste ściany, wśród których żyjemy są tylko pustymi ścianami. Nie płynie z nich żadna treść. Nie można żyć wśród pustych ścian. Sztuka ożywia. Sztuka pobudza. No proszę porównać: nastrój pośród nagich zimnych ścian i emocje w otoczeniu dzieł zakrywających te ściany.

MK: Przyszła Pani na ten wernisaż w licznym gronie podopiecznych.

TB: Z moją koleżanką, Dagmarą Rzepecką prowadzimy koło zainteresowań: „Chwila ze sztuką”. Obie uważamy, że interdyscyplinarność jest w dzisiejszym świecie wręcz nieodzowna. Jesteśmy przekonane, że sztuka doskonale wpływa na rozwój dzieci. Widzimy, że ta młodzież lepiej funkcjonuje, komunikuje się ze światem. One są bardziej otwarte na świat.

MK: Hm... otwarte...? Chyba bezbronne!

TB: Nie - sztuka czyni je bardziej wrażliwymi, empatycznymi, pozwala o wiele lepiej zrozumieć ludzi, którzy są od nas inni. Myślą inaczej niż my, postrzegają świat inaczej niż my. Ale to ciągle jest nasz świat i my, i oni musimy wszyscy razem dzielić między siebie ten świat. Tego uczy sztuka.

MK: OK, chyba mam jeszcze mój stary tornister... Jutro przyjdę do pani na pierwszą lekcję ze sztuki... Sztuki życia... ze sztuką.

TB: Zaczniemy od początku, od omówienia kierunków w sztuce, okresów... Gdyby pan się zdecydował w zeszłym roku, to zaliczyłby



pan comiesięczne wypadki do opery. W tamtym roku opera była naszym priorytetem. W tym – malarstwo i sztuki plastyczne. Ale także teatr. Sztuka we wszystkich wymiarach: plastyka, teatr, muzyka...

MK: Sobota na wystawie, a w poniedziałek, o rety, na pierwszej lekcji znów będą Państwo w klasie rozmawiali o sztuce?

TB: Oczywiście, będzie omówienie wernisażu.

MK: Będą narzekali, krytykowali, marudzili.

TB: Na szczęście mamy uczniów, którzy nie boją się wyrażać własne zdanie. Jest grupa, która autentycznie lubi i chętnie się zabiera na takie wypadki. Są też mniej entuzjastyczni uczniowie, bardziej krytyczni. Ale wszyscy ubieramy się ładnie, wieczorowo, stosownie do okoliczności. One muszą wiedzieć, że wernisaż to coś szczególnego i ważnego, a więc dres i trampki nie są odpowiednim strojem na taki wieczór.

MK: A ci, którym się to wszystko mniej spodoba, jednak gdzieś w tyle głowy odłożą sobie to dzisiejsze doświadczenie, te wrażenia. Zapamiętają obrazy, klimat, ludzi, ten wręcz łok i ścisk. A potem, kiedyś wrócą do tego wspomnienia i być może zweryfikują swoje surowe oceny i negowanie podobnych spotkań.

TB: Właśnie. I tak często jest. Po latach, już jako mama lub tata, zobaczymy plakat wystawy malarstwa. A ja byłam kiedyś na takiej wystawie – pomyśli nasza buntowniczką – a, pójdę z córką, zobaczymy, czy się jej spodoba....

MK: Nie chcę powiedzieć: resocjalizacja poprzez sztukę...

TB: Ale to jest piękne. Doceniamy i rozumiemy te mechanizmy w naszej szkole. I dlatego przychodzimy tu z młodzieżą.

MK: Brawo dla szkoły...

TB: Dla Liceum Ogólnokształcącego z Oddziałami Integracyjnymi w Szczecinie.

Lubię wernisaże...

Pomijając rekwizytowo-obowiązkową ich część w postaci „bywałców”, można tam spotkać ludzi **zafascynowanych własną fascy-**



Edward Dwurnik, *Kobieta pcha się do Śródmieścia*, 1999

nacją sztuką, której strony i aspekty dotychczas pozostawały poza głównym nurtem ich młodzieńczej egzystencji.

Jak się oni w tej rozmowie trudzili, jak wypychali z siebie słowa, które przecież znali, ale być może nigdy wcześniej „na poważnie” i na głos ich nie wypowiadali, jak się w trakcie rozmowy ujawniali, upewniali w oczywistości i ważności ich poglądów. Sztuka ośmiela. Sztuka chce by o niej mówiono!

Lecz, no właśnie... Bohaterem tej historii są... nauczycielki. Pani

profesor zaplątana w muzykę abstrakcyjnie kolorową i akordeonową znalazła klucz do wrażliwości swoich podopiecznych. Później, a i trochę wcześniej, przyznaję, katem oka i „z perspektywy” przyglądałem się, jak ze sobą rozmawiali: nauczycielka i uczniowie. Pełna synergia. Źródłem tego porozumienia jest wiedza, pasja, przekonanie, że zaraz, zaraz, zacytuję: **interdyscyplinarność jest w dzisiejszym świecie wręcz nieodzowna**. Ciekawe i fascynujące, wciągające, inspirujące.

Kiedy, jak nie teraz, każdy kęs życia smakować będzie lepiej?

To kolejna już fantastyczna grupa młodych, których spotykam w ostatnich miesiącach: ci z Dwójki – w kinie Zamek oglądają filmy o sztuce. Ci z Piątki – w Multikinie – chłoną „Hamleta” z Ianem McKellenem, w roli ponad 85-letniego księcia Danii, bohatera ich filmów fantasy.

Kilka dni temu, przez całe przedpołudnie, w Akademii Sztuki czwórka saksofonistów szykowała się do egzaminu, wdmuchując swój talent w oporne, złote instrumenty. Obrywali po uszach od profesora, ale im bardziej trafne były te artystyczne połajanki, tym intensywniej wprowadzali je w kolejną interpretację.

- Nie zrezygnujemy, nie ma mowy. Nie ma nic lepszego nad saksofon!

Miałbym im uwierzyć? Nie musiałem. Słyszałem – a o szczegółach opowiem niebawem.

Dochodzę do wniosku, że neofici i amatorzy to ludzie, którzy najbardziej profesjonalnie podchodzą do sztuki.

Co prawda Madame Honette Etienne ma ostatnio chyba nieco inne zdanie na ten temat i dlatego zawiesiła „na chwilę”!!! działanie teatru DWDW, ale w szyfrowanej między nami korespondencji opowiada o zarzewiach dezynwoltury szczecińskiego „ducha amatorskiej sztuki”. Ciekawie się ta rozmowa z Madame rozwija... Tymczasem - wiosna za pasem. A wtedy nimfy i stworzonka z rysunków Ani Bortniczuk wylecą na świat oferujący im wszystkie oblicza piękna.



Teresa Bindas, polonistka i animatorka akcji „Chwila ze sztuką”



Niczego w nadmiarze nie mam tak dużo jak nieprzeczytanych książek. Kocham je, bo w odróżnieniu od Pani, są cierpliwe. Nikt nie jest wobec mnie tak wyrozumiały jak one. Są zajęte sobą, choć oka ze mnie nie spuszcza. Bywa, że obdarzę je za to niezobowiązującym karesem, przerzucę kartki, przeczytam fragment, o choćby taki...

Głupia piosenka

Mamo.
Chciałbym być ze srebra.

Byłoby ci zimno,
Synku.

Mamo,
Chciałbym być wodą.

Byłoby ci zimno, synku.

Mamo.
Haftem na twojej poduszce.

Ach! Proszę bardzo!

(Federico García Lorca, przełożyła Martyna Wojciechowska. W: *Literatura na świecie*, nr. 10-11/2000, tom; *Dziecinada*)

Obsada: Rafał Hajdukiewicz, Katarzyna Klimek, Maciej Sikorski
fot. Marek Koszur

Sceny z sufitu

Na ten spektakl „wpadłem” równie jak na cytowany wiersz – przypadkiem... Akurat miałem tę godzinę wolną i przejeżdżałem obok teatru.

Teatr... W nim, jak w wierszu - nic nie bywa oczywiste, wszystko zdarzyć się może, a nawet powinno, a już bezwzględnie – musi!

Teatr to niezwykle parasol, za którym schronisz się przed światem. Albo tam właśnie odkryjesz wszystkie jego tajemnice. Wejdiesz do krainy, w której nikt nie pragnie tego co tutaj pasjonuje nas ogromnie - odkrywanie całego zła tkwiącego w innych ludziach. Swoją natomiast naturę, w teatrze ujrzemy jak na dłoni.

Tak mi się ta myśl w słowa ułożyła za Janem Christianem Andersenem. W tym samym tomie „Literatura na świecie” umieszczono bowiem nowe tłumaczenie bajki „Cień” (tł. Bronisław Świdorski).

Jeśli ta historia o człowieku, który do tajemniczego mieszkania z naprzeciwka, na przespiergi wysłał swój cień, a ten – jak ja do teatru – trafił do pokoju poezji, w którym „przeczytał wszystko, co kiedykolwiek zostało wymyślone i opisane”, to nazwanie tej opowieści bajką jest nieporozumieniem, bo bajka byłaby wtedy wszystkim, tylko... nie bajką.

Wyszedłem stamtąd zupełnie dojrzały, lecz pana nie było już w gorącym kraju. Jako człowiek wstydziłem się być tym, kim byłem: potrzebowałem trzewików, odzieży, owego ludzkiego koloru, który czyni z nas człowieka. Pospieszyłem więc – opowiadał to jedynie panu, bo pan nie opisał tego w książkach – pospieszyłem w stronę żony piekarza i schowałem się pod jej spódnicę. Piekarczowa nie myślała o tym, jak wiele ukrywa. Wyszedłem dopiero wieczorem. W świetle księżyca pobiegłem ulicą! Wydużyłem się na murze – to tak rozkosznie łaskocze w plecy! Biegłem w jedną i drugą stronę, zaglądałem do najwyższych umieszczonych okien, do komnat i na dachy, tam, gdzie nikt jeszcze nie patrzył, i widziałem to, czego nikt nie widział, czego nikt nie mógł zobaczyć! Jakże wstrętny jest świat! Nie chciałem być człowiekiem, gdyby wcześniej nie zostało ustalone, że być nim oznacza być naprawdę kimś. U kobiet i mężczyzn, u rodziców i miłych, nadzwyczajnych dzieci dostrzegłem to, co najgorsze – ciągnął cień – pragnienie, o którym nikt nie powinien wiedzieć, ale które wszyscy odczuwają: odkryć zło u swojego sąsiada. Gdybym wydawał gazetę – o, jak chętnie byłaby czytana! Lecz ja pisałem listy do tych osób – doprowadziłem do skandalu we wszystkich miastach. Jak się mnie obawiali! I jak bardzo mnie kochali: pro-

Czym jest bajka? Co opatrzone tym jednym słowem, czego nie dało się opisać żadnym innym, a tyle przecież słów mamy we wszystkich słownikach na świecie? Czy bajka jest dla każdego z nas, bez względu na miejsce i czas – tym samym?

Pusta widownia

Poza mną, nie ma nikogo... Dziwne uczucie. Nagle – wpadają! I lecą jak ćmy do ognia! Ile ich jest? Dziesiątki nóżek i udających skrzydła rączek. Pierwszy rząd – już jest pełny, drugi, trzeci się domyka... Jak w ulu! Rozentuzjasmowane maluchy starszaki nie mają żadnego respektu dla świątyni sztuki.

A jak się to państwo rozsiadało, przesiadało, jak wychylało i odwracało, a to koński ogon poprawiało, nos krzywiło, bo zza okularów niewiele co było widać przez te zatłuszczone paluchami szybki.

- jak się nazywasz?
- tak i tak
- lubisz psi patrol?
- nie, to jest dla maluchów...

Rozpoznanie bojem trwało na wszystkich frontach. Trzy opiekunki, przystanęły tuż przy prawej kulisie, jak filary mostu, które nigdy wcześniej się ze sobą nie spotkały – gadały jak najęte. Nagle, jeden z nich, tych słupów, laserowym wzrokiem dopadł Mariuszka.

- przestań, bo cię zaraz stąd wyprowadzę!

Mariuszek przestał. Na szczęście – na chwilę. Dziecko odwróciło się do pani plecami i co siły w gardle dalej rozprawiało z kolegami.

Już jakiś czas temu zauważyłem, że te zachowania przed spektaklem bywają silną konkurencją dla tego, co dopiero wydarzy się na scenie. Tak, tak...

Gong, światła, kurtyna – i co? Te dziecięce żywioły miałyby, jak rączce konie, zaryć kopytkami w wykładzinę i zacząć chłonać poezję ze sceny? Cudownie, jeśli spektakl otworzy dynamiczną scenę, która nastrojem „podłączy się” pod rozedrganą dzieciarnię, stopniowo tonując, łagodząc jej emocje.

Tym razem jednak miało być inaczej...

Na scenę wbiegła trójka aktorów? Jakże to... Normalnie ubrani, bez lalek, śmiesznych kapeluszy, dodatkowych nóg lub radarów na głowach?

- Dzień dobry
- dzień dobry – ledwo kto aktorom odpowiedział.
- Jak się macie dzisiaj?
- Dobrze – już prawie gremialnie odpowiedziało pół sali.
- Kto wstał lewą nogą? Prawą? Kto nie wstał jeszcze?

Za szybko, za szybko, za dużo... Ci widzowie są jak trzcina przybrzeżna! Tracona falą, zrazu może chciałaby zareagować, ale nie do końca wiedziała, jak? Próbowala, ale bez wyraźnej ochoty. Tu chlup, tam – chlap. Ze sceny padają kolejne pytania. Coś o lekcjach, ale ponieważ spektakl był grany 19 czerwca 2024 roku, więc tej dzieciarni nic co wiąże się ze szkołą poderwać nie mogło. Wakacje! Za kilka dni – koniec szkoły!

Aktorzy jeszcze przez chwilę sondowali widownię, ta wcale im nie pomagała. Nie wiedziała, czemu służy ten dziwny jak na teatr układ. Każdy wcześniej oglądany przez dzieci spektakl zaczynał się uniesieniem kurtyny, dźwiękami muzyki, fikołkiem, gonitwą albo – wiadomo – ucieczką. A tu coś tak nijakiego?

Impro

Spektakle improwizowane. Nawet wszystkie negatywne ich cechy - dają pozytywny efekt.

Rafał Hajdukiewicz, Katarzyna Klimek i Maciej Sikorski zapoznali się z widownią. Trudno o lepszy początek zabawy jak polecenie, by w jednej chwili (wiadomo, będzie szybciej) wszystkie dzieci głośno wykrzyczały swoje imię. Trzy, cztery.

Potem było zapoznajwanie się rzędami. Ten pierwszy odwracał się do drugiego, żeby drugi mógł nawiązać kontakt z trzecim, przekazując mu pałeczkę do zapoznania się z czwartym, a tam – i tu przeżycie w moim doświadczeniu teatralnym było największe – w czwartym rzędzie siedziałem tylko ja!

Nie było wyjścia. Przywitałem się jako czwarty i odwracając głowę zaprosiłem do zabawy rząd ostatni.

Byłem aktorem

Jeszcze dwa razy się odzywałem! Zawsze marzyłem, a tu niespodziewanie – taka sensacyjna okazja. Odezwąć się z widowni, pełnym głosem, wejść w rolę, nawiązać relacje z innymi aktorami. Słowem – grać! Grać rolę w teatrze!

Mój Boże... Trzeba było widzieć rumieńce na twarzach dzieciarni. Że też sam sobie zdjęcia nie zrobiłem, uhm...) Gospodarze zaproponowali stworzenie opowieści, jakiej nikt jeszcze nie napisał i nie wymyślił. Dzieci wymieniają nazwy przedmiotów, aktorzy je podchwytyją i po chwili z tego koszyka ofert, w którym znalazł się czajnik, toster, szklanka, Jasio, telewizor, pralka czy też radar albo odrzutowiec, aktorzy zaczęli budować historię. Każdy aktor mógł dodać jedno słowo i czekać na nową kolejkę. Kto się pomylił, ten gapa.

Co może dzieciarnię zainteresować bardziej niż całkowicie absurdalna, pełna niezwykłych zwrotów akcji opowieść o przedmiotach, które nigdy wcześniej, w żadnej bajce się nie pojawiły, a tu – przeżywają niezwykle wprost przygody!

Cóż, nawet taka bajka nie może trwać w nieskończoność. Koncentracja i skupienie młodej widowni mają swoją pojemność. Ale można zabawić się w kolejną historyjkę lub dorzucić nową aktywność. Cokolwiek, co nie pozwoli widzom usiąść wygodnie w fotelu i myśleć o niebieskich ciastkach z kremem i malinami...

Bez tabu

Chyba, chyba, że będzie to romantyczna historia o pewnej... miłości....

Bo... Hm... Co to jest miłość, gdy się jest w czwartej albo w szóstej klasie? Żaden fajny chłopak nie będzie się na przerwie bawił z najfajniejszą nawet dziewczyną. Bo chłopaki, wiadomo, trzymają się z chłopakami, a dziewczyny z dziewczynami. Chłopaki są głupie i dziewczyny też są przecież głupie!

Na szczęście – jest teatr. Tu wszystko może być inaczej. Tu odbywa się rzeźbienie emocji najbardziej subtelne, prawie takie samo, a może lepsze, gdy do snu babcia czyta bajkę o Kopciuszku lub Sierotce Marysi, o rycerzu, który jednym pocałunkiem wyrwał księżniczkę z głębokiego snu... Och! Na szczęście to bajka... Bo my się przecież z dziewczynami nie całujemy!!!

Wiem wszystko na ten temat. Absolutnie wszystko. I wszyscy koledzy w klasach moich wnuków mieli te same poglądy. Do momentu, w którym Patka powiedziała do Jana: miło z twojej strony, że mój piórnik podniosłeś z podłogi...

Klasa omal nie eksplodowała. Jan i Patka – zakochana para!

Terapia zabawą, zabawa terapią

Teoretycy i specjaliści, także psychologowie i pedagodzy nie mają najmniejszych złudzeń, jak takie improwizowane zabawy korzystnie wpływają na wszechstronny rozwój dzieci. Tylko.... **Tylko dlaczego takie zadania i zabawy organizuje teatr?** Bo ma fachowców? Ludzi z wyobraźnią? Doskonale kontaktujących się z publicznością?

Nie nie... w aktorstwie są to umiejętności bardzo przydatne, wręcz fundamentalne, ale nie po to by wstrząsać raz w roku rozwojem emocjonalnym dzieci. Pokazywać im zabawę, która powinna być obowiązkowym i powszechnym działaniem pedagogicznym. Na co dzień.

Wszyscy grali

Po spektaklu publiczność wychodziła rozpromieniona. Gestykulowali, naśladowali aktorów, przedrzeźniali wymyślone postaci-przedmioty, ciągle byli *in action*! A jakie figury przybierali! Nie, nie tak, zobacz, tak – i kolejne wygibusy, żabie oczy, pokraczne postawy.

Marek Koszur: No, widać, podobalo się... Czy takie reakcje widowni są powtarzalne? Czy kierują się państwo rutyną gatunku teatru improwizowanego, czy dzieciarnia z czwartej, piątej, szóstej klasy



Obsada: Rafał Hajdukiewicz, Katarzyna Klimek, Maciej Sikorski fot. Marek Koszur

jest tak spragniona możliwości wykrzyczenia emocji, obcowania z jednak absurdem opowiadanych historii, całkowitego odwentylowania wyobraźni? Czy, czy, czy... dziesiątki pytań. Cóż za spontaniczne reakcje!

Rafał Hajdukiewicz: (ale po pięciu sekundach pęczniającego uniesienia nad materią mojego pytania): Tak, TAK, TTAAKKK!!! - Spojrzeliśmy po sobie – ja i aktorzy - jakby w Rafale Hajdukiewiczu objawił się jego własny... widz! Dokładnie tak reagowali rozentuzjasmowani młodzi ludzie, którzy teraz formowali kolumny marszowe pod wodzą pań opiekunek. Znów żałowałem, że nie „cyknąłem” w tym momencie zdjęcia. Zadowolone i radość w tak natywnej postaci rzadko się trafiają.

MK: I nie chce Pan nic zmieniać w technice, w środkach wyrazu, w kolejności „numerów”?

RH: Gramy te spektakle we trójkę już od kilku lat. Możemy mówić o pewnej rutynie w najlepszym tego słowa znaczeniu. Ale widownia nas nieustannie zaskakuje. Co za pomysły! Mówiąc o doskonaleniu się miałem na myśli właśnie lepsze reagowanie, szybsze, bardziej adekwatne na propozycje z widowni.

Katarzyna Klimek: Zależy nam na perfekcyjnym zgraniu naszej trójki w podejmowaniu wyzwań.

Maciej Sikorski: Właśnie reakcja na sygnały jest największą niewiadomą. Za każdym razem przeżywamy nieoczekiwane zaskoczenia.

KK: Improwizacja to także perfekcja. Nie działamy według schematu. Rutyna to w tym przypadku - suma wszystkich doświadczeń.

MK: Jak w walkach wschodnich? Błyskawiczna reakcja na zaskakujący i niespodziewany ruch przeciwnika, w tym przypadku – partnera.

RH: Szkielec spektaklu ma swoją logikę.

MS: Narastanie napięcia, rozkręcanie zainteresowania.

RH: Ale kupujemy każdy wist z widowni. Wczoraj do improwizowanej bajki zaproponowano jajko. Dziś także jajko zgłoszono jak jeden z pierwszych atrybutów. Więc spróbowałem „uciec” od tego jajka...

KK: Oczywiście mogliśmy grać to jajko, nie ma sprawy. Jajko jest jako. Gramy.

MK: Zatem – w pełni ulegacie sugestiom widowni czy jednak umiejętnie, dyskretnie narzucacie jednak swoje wybory lub preferencje, choćby tylko atrybutów uczestniczących w wymyślaniu bajki?

KK: Bywa, że skojarzenie dwóch przedmiotów nie rodzi pomysłu, takiego a *visła*, a inne zestawianie – wręcz uskrzydla. Staramy się utrzymywać pewną kontrolę nad rozwojem wydarzeń. Zależy nam, żeby dzieciaki się „wypowiedziały”, otworzyły, a my przekładamy ich sugestie na sytuacje sceniczne...

MK: ...żeby dzieciaki się wypowiedziały...

KK: Tak. Moim zdaniem to szalenie ważne.

MK: Na przerwach, na boisku też się otwierają, wykrzykują emocje. Na czym polega różnica między szkolną przerwą, teatrem i otwieraniem się emocjonalnym dzieciarni? One są bezgranicznie gotowe na pełne otwarcie?

KK: Ale też testują, sprawdzają, wysyłają sygnały. Rzucają propozycję i ja widzę, jak te oczy czkają na moją reakcję. I w zależności od mojego zachowania, dziecko cofa się, idzie do przodu, milknie. To szalenie subtelny proces. Mam pełną świadomość mojej roli, jaką tutaj do spełniam. Może ujmę to jeszcze inaczej. One reagują na nasze oczekiwania. My te oczekiwania formujemy, a one odpowiadają. Więc nie ma tu zupełnie niekontrolowanego żywiołu. Wszystko jednak jest rozgrywane w pewnych ramach. Nasze pytania kierowane w ich stronę wywołują ukierunkowane odpowiedzi. Jeżeli pytamy o ich marzenia, o postawę lub reakcję bohatera budowanej opowieści, to jednak staramy się bardzo sytuować zachowania dzieci, nie ograniczając pewnej swobody manifestowania ich emocji. Ale idąc tą drogą dalej wiemy, że te emocje nigdy nie będą jak balon, który urwał się ze sznurka.

MK: Mam wrażenie, że wiele dzieci nigdy jeszcze w życiu swoim nie znalazło się w sytuacji tak uwalniającej ich emocje jak Państwa z nimi zabawa.

KK: To szkoda....

RH: No, rzeczywiście, to byłaby wielka szkoda, ale to dobrze, że wreszcie się wyzwalają.

MK: Ha! Ostatni element spektaklu, świetne przejście z takiej teatralnej piaskownicy do mini spektaklu kukielkowego. Dla mnie – bajka. Nagle ta widownia została całkowicie spacyfikowana i wręcz zahipnotyzowana. Ich wszystkie kanały emocjonalne były nastawione na odbiór. I nagle, chłopiec bierze dziewczynkę za rączkę. I – państwo

darują, ale w "realu" to zachowanie jest odwrotne do manifestowanego powszechnie. Jesteście tu inżynierami nie tylko od składania emocji, demontażu stresu, ale jednocześnie osławiania tematów tabu.

KK: No tak, niby wszyscy już troszkę to i owo wiemy o miłości, ale o tym się nie mówi. Wręcz odwrotnie. Zależy nam na podobnych efektach. Powiem więcej – te dzieciaki nagle odkrywają, że przez te trzy kwadransy żyją w zupełnie innym świecie. Nie trzymają kurczowo smartfonu, tabletu czy laptopa, a żyją! I jak się bawią. A więc istnieje jeszcze inny świat!

MS: Wspiera nas siła kreatywności. Ta bywa nieobliczalna.

MK: Mówi pani – inny świat. Taki *back to the future*? Odkrywają Państwo przed nimi może nawet bardziej fascynujący jak się okazuje świat w realu, wolny do filmików i gagów. Teatr przywraca i stabilizuje naszą emocjonalność?

KK: Tak może być. Przecież wszystko dzieje się na żywo. Dotykalnie. Nie ma bariery ekranu. Jesteśmy obok siebie, patrzymy sobie w oczy.

MS: Wielu moich znajomych wie, że żyję typowy, rutynowy. Szablon. Kiedy jednak zobaczyli nasze „impro”, oczekują od nas na prywatnych spotkaniach, że będziemy im zapewniali podobną rozrywkę. Jest to odkrywanie kreatywności. **Ludzie potrzebują możliwości wyzwalać, bierniej dotychczas, ich osobowości.**

KK: Moja teoria jest bardzo jasna. Szkoła ogranicza kreatywność. Natomiast u nas, w teatrze, ich pomysły są w większości akceptowane, niekiedy może lekko modyfikowane. Ale najważniejsze jest to,

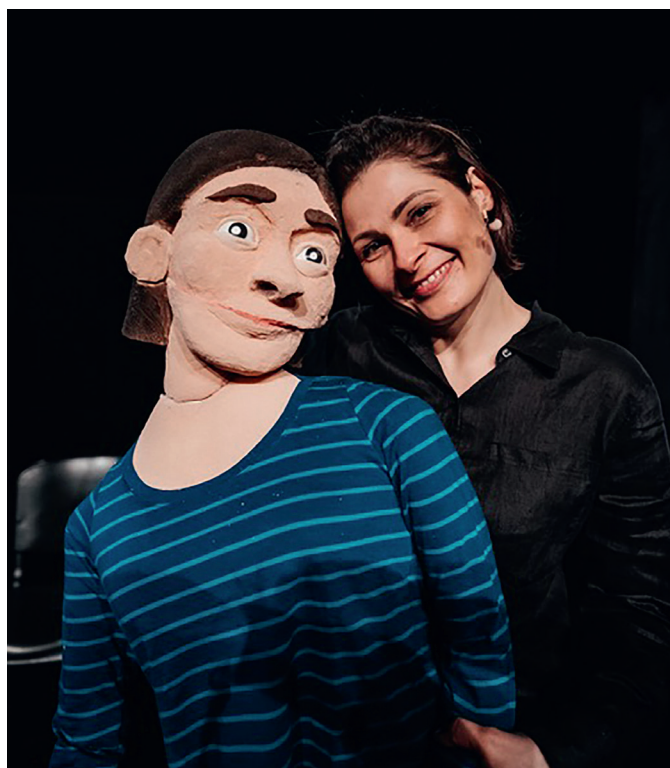
że ktoś liczy się z ich pomysłami, wysłuchuje ich, a propozycje nie są oceniane w taki czy inny sposób, mam na myśli – nikt tutaj nie podcina im skrzydeł – łącznie to wszystko pełni rolę wiatru w żagle. One i my - jesteśmy partnerami. Pełna synergia. Wzajemna akceptacja.

MK: Czy zatem jesteście w tych eksperymentach aktorami? Do czego służy aktorstwo w takich seansach improwizowanych?

RH: Można klepać w kółko ten sam tekst. Grać dwieście, trzysta, siedemset spektakli. Połowę z nich chce się grać, połowę – nie chce, ale musi. Jedną trzecią się gra z grypą żołądkową,

MK: Ma pan na myśli tremę?

RH: Nie, przypadłość. Normalne. Gramy z gorączką, z przeziębieniem, z katarem, a ten wiadomo jest dla każdego mężczyzny poważną dolegliwością. Schemat gramy, bo jesteśmy w repertuarze. Mam w głowie scenariusz. Czekam na światło, wyjdę, powiem swoje, czekam na następne wejście, śpiewam piosenkę, mówię... A tu – jesteśmy przez cały czas na najwyższych obrotach. Żadnej przewidywalności i powtarzalności. Musimy być czujni, kontrolować się wzajemnie, pamiętać o rozwijającej się fabule. Jak zrobić



Katarzyna Klimek, fot. Piotr Nykowski



fot. Piotr Nykowski

coś po raz setny – wyłączam się. Działam mechanicznie.... Kto śpi na stojąco? Koń i maszynista. Mój ojciec był maszynistą. I miał w lokomotywie przycisk. Maszynista musi naciskać ten przycisk co 90 sekund. Na dowód, że nie śpi. I ojciec opowiadał, że ... spał. 20, 30 minut. Ale czujka była włączana co 90 sekund. Naciskał przez sen? Pełna automatyzacja zachowania.

KK: A my w impro nie uśniemy - rozwijamy się.

RH: Właśnie, te improwizacje nas rozwijają, stwarzają możliwość pełnego otwarcia. Więcej – sami pokonujemy w czasie tych eksperymentów nasze lęki. Stawiamy sobie zadania aktorskie, jakich nie oczekuje od nas żaden reżyser.

MK: Rozumiem, że impro jest pewną formą państwa buntu przed zawodowym aktorstwem? Rutynowym?

RH: Nie, to nie bunt, a forma rozwoju.

KK: To jest forma mega rozwoju, wyjście ze strefy rutyny. Każdy aktor panu to powie.

MS: Doskonaliśmy naszą elastyczność. Prowadzimy operację na żywym organizmie. W repertuarowym spektaklu, bywa, że się człowiek wyłączy, zamyśli, zapomni tekstu. A w improwizacjach, które też próbujemy, ćwiczymy – w tych improwizacjach gimnastykujemy naszą elastyczność intelektualną. Szybkie dostosowywanie się do nowych, zawsze nieoczekiwanych i nieprzewidywalnych sytuacji. Jeśli jednak nawet w takim przedstawieniu coś się we mnie zatnie, to mam obok Kasię czy Rafała, którzy w największym skupieniu obserwują moje reakcje i natychmiast wkraczają z pomocą.

KK: Interweniuje z poczuciem pełnej swobody. Bo w spektaklu reżyserowanym musimy za wszelką cenę dążyć do powrotu na tory. Tam co prawda pierwsze dwa spektakle już z widownią są doskonałą okazją weryfikacji naszej gry. Szybko osiągamy potwierdzenie koncepcji roli lub odbieramy sygnał do ewentualnych modyfikacji. Tu – w impro – nie ma tego bonusu. Tu wszystko jest na sto procent. Spontaniczne. Tu się nie schowamy za reżysera, że to on źle nas poprowadził. Tu my odpowiadamy za wszystko.

MK: Nie zapominajmy, że jesteśmy w teatrze lalkowym. Lalka jednak tutaj rządzi. Kilkanaście lat temu patrzyli państwo na lalkę z widowni. Teraz staliście się lalkami. Czy lalka ewoluuje? Czy działa, stymuluje, czaruje? Ciągłe jest Alicją, która prowadzi nas w inne światy?

MS: Ciekawe. Ja dochodzę do wniosku, że obecne czasy są bardzo lalkowe. Każdy ma swojego awatara. Nawet kilka. Zależnie od portalu lub komunikatora. Są emotikonki, nie inaczej jest na platformach streamingowych...

MK: Chcemy być kimś innym?

MS: Jest taki serial o lalkarzu, który poprzez lalkę manifestuje wszystkie mechanizmy opisywane przez Junga czy Feuda. Lalką pewne rzeczy łatwiej opowiedzieć.

KK: Dzieci czekają na lalki. I rozpiętość wiekowa jest tu bardzo duża. Są zafascynowane lalkami, przedłużeniem świata dzieciństwa. Sama lalka też ewoluuje. Normą jest, że aktor gra, jest widoczny, ale wszyscy wiedzą, że to lalka jest tu bohaterem. Poza tym – no przecież lalka daje nam o wiele więcej możliwości. O ileż więcej jesteśmy w stanie pokazać i wyrazić posiłkując się lalką.

MK: Pan myśli podobnie? Czy sformułowanie: myślenie lalką ma sens?

RH: Nie. Ja to widzę zupełnie inaczej. Ja siebie przepuszczam przez lalkę. Lalka pozostaje narzędziem, które ja wykorzystuję.

MK: Lalka jako pewien komponent, wyostrzonych emocji. Lalka ma stały wyraz twarzy. To narzuca ograniczenia w odczytywaniu istoty postaci lalkowej. Pan ten wyraz twarzy lalki zmienia modulując głos... Pan gra jakby duet: siebie i lalkę. Twarz niezmienna, ale kinetyka pełna.

RH: Właśnie, pamiętajmy, że lalka ma także ciało. Te emocje, które nie rysują się na twarzy lalki można odmalować ruchem całego ciała. To wielka umiejętność. Ale to nie zmienia tego co powiedziałem: aktor przepuszcza przez lalkę siebie samego.

MK: Czyż nie mamy tu do czynienia z jakimś jednak fenomenem? Pojawia się lalka, a w tym momencie aktor znika. Choć jest cały czas, na tym samym miejscu.

RH: Jest pewien znany amerykański lalkarz. Ma wielki show. Ma wśród lalek nawet terrorystę. I gra tymi lalkami. Terrorysta ma niecne zamiary. Ale ludzie nie mają o to pretensji do lalkarza. Winią wyłącznie lalkę. Jest to trochę straszne, ale i śmieszne zarazem. Niezaprzeczalnie jednak lalka otwiera wielkie możliwości.

Zakazy

Tych nosimy w sobie najwięcej. O powinnościach i obowiązkach nigdy nie mówimy tak zdecydowanie i jednoznacznie jak o zakazach.

Na szczęście – jest teatr. Tam w gruncie rzeczy nic nie jest zakazane, co nie kryje w sobie złych intencji.

A teatr, w którym uczestniczymy czynnie, tworzymy go siłą naszej emocji i wyobraźni może być ważnym „lekiem na całe otaczające nas zło”.

I tylko nie wiem... Czy wołałbym być panem, który swój cień wysłał na scenę, by ten zbadał, co też tam tak naprawdę się dzieje, czy jednak wybrałbym rolę cienia, który – o! może nie będzie chciał ze sceny zejść, pozostawiając swego właściciela w sytuacji zupełnie niezwykłej – życia bez cienia.

Sceny z sufitu

Spektakl dla dzieci od 6 lat

Reżyseria: Martyna Kowalska

Obsada: Rafał Hajdukiewicz, Katarzyna Klimek, Maciej Sikorski





Siła tkwi w dzieciństwie

- Pan... Michał Józef Kawecki? Dzień dobry, to moja wizytówka...

- A, pan przecież jest dziennikarzem, wiem, dzień dobry!

Po chwili uzgodniliśmy, że będę dokumentował spotkanie z kolejnym gościem Salonu Poetyckiego.

Tak się poznaliśmy

To znaczy, ja poznałem Pana dużo wcześniej.

A było to przy moim kuchennym dużym stole, o wyjątkowej intarsji. Dr Sylwia Wójcikowa, żona mojego profesora, Remigiusza Wójcika, a potem przez długie lata bliska współpracownica w tzw. telewizyjnym holdingu, rozkładała na tym stole swoje notatki i czytała biogramy, które przygotowywała dla Encyklopedii Solidarności. Pański także.

Strajk 1981 roku w Stoczni, potem się Pan ukrywał, wreszcie został internowany...

Z Sylwią znali się Państwo jeszcze z okresu pracy w WSP.

Nietrudno znaleźć w Internecie informacje o Pańskich zainteresowaniach najszerzej pojmowaną kulturą i sztuką. Od tylu lat prowadzi Pan Zamkowe Spotkania z Psychologią i Sztuką. I Salon Poezji. Więc wiem, kim Pan jest?

A Pan – wie, kim jest?

Nikt dotychczas nie zadał Panu tego pytania?

Na pańskiej zawodowej stronie internetowej czytam: mistrz terapii psychologicznej. Proszę darować, że pominę wszystkie subtelne specjalności pańskiego zawodu. W każdej z nich legitymuje się Pan wieloletnim doświadczeniem. I skutecznością. Do tego istotny dorobek naukowy. Pokazuje pan ludziom, kim oni są. Wzmacnia ich, uwalnia od niemocy i uczy na nowo chodzić po świecie. Sam Pan widzi, kojarzy mi się Pan z poezją, z Herbertem, z nauką chodzenia...

A kto uczy Pana?

W jakim celu pochłania Pan wszystko, co człowiek stworzył w akcie twórczym i poczuciu piękna? Dowód? Po jednym ze spotkań, jakie Pan prowadził, w listopadzie 2024, zatelefonował pan do mnie późnym wieczorem. Rozmowa tak się potoczyła, że jedyną jej

pointą mógł być fragment poezji. Ośmieliłem się zasugerować myśl, przywołałem nawet ten „dyjament”... A Pan? Pan ten wiersz Norwida wyrecytował w całości i a *vista*, jakby to była prognoza pogody na nadchodzącą noc! Więc trudno się dziwić, że nikt inny tylko Pan mógł grób Poety, po latach na obczyźnie Polakom na Wawel wrócić.

Od Norwida również rozpoczął Pan spotkanie z Jerzym Ilgim, poświęcone Czesławowi Miłoszowi. To było późne listopadowe popołudnie 2024 roku, Roku Miłosza. O Miłoszu najwięcej wie właśnie Jego przyjaciel, wydawca, towarzysz podróży i kompan, wieloletni redaktor naczelny „Znaku”. To także Pański dobry znajomy. A Pan? Pan niczym spirytysta, na zdecydowanie za niskim podwyższeniu w sali Anny Jagiellonki, wprowadzał nas w świat Ducha. Często przy dźwiękach muzyki (na Pana spotkaniach zazwyczaj granej na żywo).

Bo Pan, proszę Pana, jest w zmowie... Pan się w konspiracji nauczył, jak manipulować mechanizmami historii, ale przede wszystkim – emocjami Pańskich słuchaczy, którzy – wiele razy widziałem to na własne oczy – wręcz przepychają się mentalnie, by szybciej, bez kolejki wejść w ten klimat, nastrój, temperaturę intymności, jaką Pan podczas tych wieczorów wyzwał.

W Szczecinie dzieje się wiele. Każdego dnia w klubach, salach widowiskowych, teatralnych, kinowych, na prezentacjach i wystawach – jak w barach szybkiej obsługi, ludzie nie przegryzając nawet – łkają kęsy zazwyczaj tak zwanej kultury.

A Pańskie spotkania, jakby w jakiejś ciągle konspiracji, w gronie policzalnej ilości osób niosą treści i pozostawiają wrażenia wręcz namacalne.

Gdzie dziś w Szczecinie można posłuchać poezji i rozmowy o jej tajemnicach? Ale poezji prawdziwej! Gdzie można spotkać pierwsze nazwiska ludzi polskiej sztuki jak nie u Pana? Byli już tu wszyscy wielcy, a niektórzy, dzięki udziałowi w Pana Salonie, tę wielkość właśnie w swojej świadomości uzyskali.

Nie ma w Szczecinie zdarzeń na tak wysokim poziomie jak Pańskie oba Salony.

Oto kilka nieautoryzowanych, reporterskich notatek ze spotkania „Mój Miłosz. Poezja i przyjaźń”.

Michał Józef Kawecki: Kiedy Państwo będą na Wawelu, to idąc do Krypty Trzech Wieszczów proszę powiedzieć, że jesteście ze Szczecina. Podobno na to hasło wpuszczają tam bez biletu. Bo tam wszyscy wiedzą, że to za sprawą Szczecina Norwid powrócił do kraju, po ponad stu latach. A Jan Paweł II się ucieszył, kiedy pani profesor Danusia Michałowska przeczytała mu list szczecinian, ułożony przeze mnie, jako dowód na to, że w tym mieście są jeszcze ludzie otwarci i mądrzy. **Nie ma nic gorszego jak zawężenie umysłów.** Nie ma nic gorszego jak brak horyzontów. Anglicy mają na to określenie: *narrow-minded people*. My nieustannie musimy poszerzać nasze myślowe horyzonty.

Od szesnastu laty, kiedy właśnie tutaj, z Anią Dymną rozpoczęliśmy ten nasz Salon Poezji, dbam pieczołowicie o to, aby Szczecin nasycić wątkami nieprzemijalności. Na przekór otaczającej nas codzienności, tak bardzo unurzanej w różnych brudach.

Przywołam słowa Miłosza:

*Co było wielkie, małem się wydało.
Królestwa bładły jak miedź zaśniewiona.*

*Co poraziło, więcej nie poraża.
Niebiańskie ziemie toczą się i świecą.*

*Na brzegu rzeki, rozciągnięty w trawie,
Jak dawno, dawno, puszcza łódki z kory.*

Dzieciństwo. Jaką ma moc!

Ciągle mamy w sobie jego niewyczerpane zasoby jego siły. I proszę nie wierzyć psychologom, także wielkiemu Freudowi, którzy twierdzą, że dzieciństwo przede wszystkim jest najeżone traumami. Nie. Dzieciństwo to jest nieodkryte źródło naszych sił.

Ja moim niektórym rozmówcom, bo nie nazywam tych ludzi pacjentami, niekiedy radzę: kup sobie teraz, w wieku pełnym, dorosłym, zabawkę czy lalkę, o której tak marzyłeś w dzieciństwie. Usuń w ten sposób tkwiącą w tobie traumę.



Michał Józef Kawecki

Cieszę się, że mogłem Państwu teraz o tym opowiedzieć. Po pięćdziesięciu latach pracy zawodowej nawet ja mogę o sobie powiedzieć, że i mnie z tego doświadczenia odrobineczka mądrości życiowej przybyła.

Jerzy Ilg: Bratanica Czesława Miłosza, Joanna, córka Andrzeja, jego brata, która mieszka w Australii powiedziała mi, że pojechała ze swoją córką, wówczas pięcioletką, odwiedzić stryja w Kalifornii. No i dla tej małej najważniejszym punktem pobytu w Ameryce była wymarzona wizyta w Disneylandzie. A Miłosz mówi, że nie, nie ma czasu. I wtedy odezwał się Antoni, jego syn. I powiedział, tato, jak byłem mały - marzyłem o tym, żeby pojechać do Disneylandu, a ty nigdy nie miałeś czasu. I tym stwierdzeniem „trafił” Miłosza. Ten bez wahania powiedział: dobra, jedziemy do Disneylandu. I opowiadała dalej Joanna: my z Tonim wykończeni, już chcielibyśmy wracać, a Czesław z tą małą, kręcili się na wszystkich kołach diabelskich, jeździli na tych szalonych kolejkach, rycząc z radości i nie mogli się nacieszyć. Tak Miłosz, dzięki tej małej dziewczynce wrócił do swojego szczęśliwego dzieciństwa.

Wracał też na Litwę. Jest taki piękny cykl wierszy: „Litwa po 52 latach”. Tam w Kalifornii, myślę, nigdy nie przypuszczał, że ten sowiecki system upadnie, że można będzie wrócić także do Polski, że można będzie pojechać na Litwę. I wracał też do Krasnogrudy, gdzie spędzał wakacje jako młody chłopak w domu, w dworze swoich ciotek, gdzie miała miejsce szczególna scena... Ale muszę tu trochę prywaty wrzucić. Bo myśmy też spędzali tam wakacje trzy lata po śmierci Miłosza. I ja tak bardzo czułem tam jego obecność, że napisałem list do Czesława Miłosza. Ten list wyraża to, co czułem i co może jemu też było bliskie. To jest fragment z tomiku trójjęzycznego, polsko-angielsko-litewskiego, tomik trzech moich listów do Czesława Miłosza.

Kochany panie Czesławie, znów mam poczucie pańskiej obecności. Tak intensywnie niedawno w Krakowie. Nawet powiem, gdyby pański telefon już milczał i nie dudnił pod stropem śmiech nieujarzmiony, byłem pewien, że gdybym skreślił jadąc Dietla wpierrw w Sebastiana i w Bogusławskiego, i nacisnął na dzwonek, usłyszałbym stuk łaski, a głos bardzo tubalny od progu zadałby pytanie, panie Jerzy, to czego się dziś napijemy? Tu, w Krasnogrudzie, gdzie jezioro Hołdyn przepływał pan na przestrzal do dworu Meyera i szalał za pożądania i onieśmienia wobec rudej boginki, z której parapetu o świecie zeskaکیwał, och, szczęśliwy rywal. Gdzie podjęta w raptownym przypiływie rozpacz na zakurczonym strychu rosyjska ruletka mogła przekreślić, czego Pan dokonał po tak długim, pracowitym życiu. Odebrać Panu wszystkie późniejsze kobiety, księgi, podróże, cierpienia, honory. Tu w Krasnogrudzie, w zarośniętym parku nad Gaładusią, w pobliskich Żagarach, gdzie student ze sztucera strzelał do perkozów i wyrzucał to sobie zawsze, jak zabicie wodnego węża świętego na Litwie, unosi się Pan nad nami, czuję na sobie uważne spojrzenie i wiem, że jest Pan szczęśliwy i dumny, że tak nam się podoba w Pańskiej okolicy. Miejscowi, zapytani o drogę do dworu, mówią: panie, jaki to dwór, to szopa, to teraz ponownie kupiły żydki. Żydki wiadomo, chytne, odremontują, będą trzepać kasę. To Polska, co do której nie żywił Pan złudzeń. Dlatego miała Pana za zdrajcę, Litwiną, masona i Bóg wie kogo jeszcze. Czy zasługują na to prawdziwi Polacy, by mieć u siebie nazwy tak cudowne jak Szejpiszki, Wiłkupie, Budwieć, Urzmałuda, Poszeszupie, Poćkun, Wierśnie, Żubronajcie. A do tego po drodze... rzeczulka Marycha. Przy drogach krzyże, na leśnych rozstajach, metalowe, drewniane, na kamiennych ławach. Dużo ich. Jeden postawiony dokładnie w roku mojego urodzenia z prośbą "Jezui zmiłuj se nad nami", 1950 rok. (...)"

Kiedyś, kręciliśmy film o Miłoszu i on stanął pod taką wielką, tysiącletnią sekwoją. Spojrzał na to drzewo, na nas i powiedział, że najtrudniej jest przemknąć się przez te dwa toporki, przez 77 lat. Bo potem to już się żyje i żyje... Tak samo jest z tym pierwszym tysiącem, bo potem to jest kolejny tysiąc i jeszcze jeden...

MJK: Przypomniałeś mi właśnie o innym zdarzeniu... Pod drzewem oliwnym na Krecie, Miłosz pisze w wieku 80 lat taki wiersz „Uczciwe opisanie samego siebie nad szklanką whisky na lotnisku, dajmy na to w Minneapolis”.

Moje uszy coraz mniej słyszą z rozmów, moje oczy słabną, ale dalej są nienasycone.

Widzę ich nogi w minispódniczkach, spodniach albo w powiewnych tkaninach,

Każdą podglądam osobno, ich tyłki i uda, zamyślony, kołysany marzeniami porno.

Stary lubieżny dziadu, pora tobie do grobu, nie na gry i zabawy młodości.

Nieprawda, robię to tylko, co zawsze robiłem, układając sceny tej ziemi z rozkazu erotycznej wyobraźni.

Nie pożądam tych właśnie stworzeń, pożądam wszystkiego, a one są jak znak ekstatycznego obcowania.

Nie moja wina, że jesteśmy tak ulepieni, w połowie z bezinteresownej kontemplacji, I w połowie z apetytu.

Jeżeli po śmierci dostanę się do Nieba, musi tam być jak tutaj, tyle że pozbędę się tępych zmysłów i ociążałych kości.

Zmieniony w samo patrzeć, będę dalej pochłaniał proporcje ludzkiego ciała, kolor irysów, paryską ulicę w czerwcu o świcie, całą niepojętą, niepojętą mnogość widzialnych rzeczy.

MJK: Więc tak się sam pytam, skąd w nim ta potężna siła? Grecy – Platon, Sokrates – zawsze mówili o Erosie. Ten Eros dziś został przesunięty do sfery, którą określa się mianem wulgarności. A Eros to wszechpotężna siła, której przeciwstawić się mogły tylko siły śmierci. Tanatos. Może właśnie w więzi z Erosem jesteśmy w stanie odkryć tajemnice wielkości sił, które kształtują nasze życie. To bardzo optymistyczna wizja. Nasze życie kryje w sobie potężne zasoby siły.

Jl: Pięknie powiedziałeś. Ale sztuką, którą Miłosz posiadał była ta umiejętność i łatwość odnajdywania w sobie, w tak zaawansowanym wieku – siły chłopca, którym ciągle był. Kiedyś przyszedł do mojego domu i zobaczył, że mój syn bawi się łukiem. Miłosz wziął ten łuk i przez pół dnia strzelał z okna do celów w ogrodzie. Znow był jedenaastoletnim chłopcem. I napisał taki cudowny wiersz „Do leszczyzny”:

Nie poznajesz mnie, ale to ja, ten sam,
Który wycinał na łuki twoje brunatne pręty,
Takie proste i śmigte w biegnięciu do słońca.
Rozrostaś się, ogromny twój cień, hodujesz pędy nowe.
Szkoda, że tamtym chłopcem już nie jestem.
Chyba kij sobie bym wyciął, bo widzisz, chodzę o lasce.

Kochałem twoją korę, brązową z białym nalotem,
Koloru najzupełniej leszczynowego.
Radują mnie te, co przetrwały, dęby i jesiony,
Ale ty ucieszyłaś mnie najbardziej,
Jak zawsze czarodziejska, z perłami twoich orzechów,
Z pokoleniami wiewiórek, które w tobie tańczyły.

Jest coś z heraklitejskiej zadumy, kiedy tutaj stoję,
Pamiętający siebie minionego
I życie, jakie było, a też jakie być mogło.
Nic nie trwa, ale trwa wszystko: ogromna stałość.
I próbuję w niej umieścić moje przeznaczenie,
Którego, tak naprawdę, przyjąć nie chciałem.
Byłem szczęśliwy z moim łukiem, skradając się brzegiem baśni.
Co stało się ze mną później, zasługuje na wzruszenie ramion
I jest tylko biografią, to znaczy zmyśleniem.

MJK: Jerzy, jak rozumiesz te ostatnie słowa: jest tylko biografią, to znaczy zmyśleniem.



Jerzy Ilg

Jl: Miłosz był bardzo skomplikowanym człowiekiem. Niektórzy mówili, że jest skryty, zamknięty. Na pewno nosił różne maski. A te maski skrywały świadomość różnych popełnionych win. Świadomość grzechów, których się dopuszczał. To była dramatyczna postać, ale o tym wszystkim nie trzeba było mówić publicznie. To wszystko było przykrywane różnymi kostiumami, maskami. On nie chciał objawiać całej prawdy o sobie. Bądź nie mógł. A mimo to jest w wielu wierszach niesłychanie szczery. Odsłania się bardzo, ale nigdy do końca. To jest zawsze rodzaj pewnej gry. Mówił o sobie, że cała prawda o sobie, wyznana, byłaby zbyt straszna. Że miał w życiu to szczęście - jak się mówi – głupiego Jasia. Albo - jak powiedział swojej biografce – napisz o mnie komedię, taką historię Forresta Gump'a, kogoś, kto podejmował decyzje niepojęte, kierując się impulsami, takimi odruchowymi, instynktownymi posunięciami, które się mogły skończyć strasznie i płać za to ogromną cenę, ale na koniec odniósł zwycięstwo. Ja może miałbym ochotę znow przeczytać fragment z siebie. Po śmierci Miłosza "Tygodnik Powszechny" prosił różnych jego przyjaciół, autorów, o krótkie teksty. I ja w jedną noc napisałem tekst, bardzo prosty, dość nietypowy w swojej składni i konstrukcji dla moich może zbyt barokowych zdań, porównań. I wydaje mi się, że w tej prostocie zdań udało mi się dotknąć jego tajemnicy.

Umarł Miłosz. Bezradność. Jak opisać coś tak ważnego. Osobę, życie i dzieło, które pozwalało ustalać miary i hierarchię. Przywracało ład i nadawało sens. Ustanawiało kryteria piękna i mądrości.

Rozmowy, długie, nocne rozmowy w Berkeley, w Krakowie, w Wilnie, poruszająco szczere, ale z zachowaniem męskiej powściągliwości i dystansu, zawsze poważne, unikające banału i powierzchowności. Bourbon, wódka, dużo wódki, kiedyś nawet nad Pacyfikiem, marihuana. Głód doświadczenia, chęć spróbowania wszystkiego, apetyt, zachłanność, żarłoczność, nieposkromiona ciekawość chłopca, penetrujący umysł mędrca, duch wlatujący wysoko i ciało łaknące zaspokojenia pokus, skosztowania zmysłowego piękna świata. Wadzenie się z Bogiem, bunt wobec niesprawiedliwości i okrucieństw historii i przyrody, stawianie odwiecznych pytań o przyczyny zła. I wyznania: Panie Boże, lubiłem dżem truskawkowy i ciemną słodycz kobiecego ciała. Sprzecznosci i ich przenikliwą świadomość...

Niewielkie, ale wyraźnie wyczuwalne echo komnaty Anny Jagiellonki wzmacniało tę jakże zróżnicowaną, semantyczną

aure promieniującą z każdego słowa, z związków słów, ciągów zdań i spajających je znaczeń.

Zasłuchałem się

Dlaczego Pacyfik...? To słowo – jakby jakiś klucz, zupełnie nieoczekiwanie przekreślił mechanizm zamka mojej pamięci. Więc niech i mnie wolno będzie wtrącić w ten zapis kawałek mojej prywaty...

Zobaczyłem nagle, nigdy dotychczas od tamtych lat nie wspomniane, toporne drzwi klubu „Starówka”. Początek lat 70. Było późno, ciemno. Włożyłem klucz i przekreśliłem dwa razy. Za plecami – ledwie oświetlone, nie to co dziś, miasto. Zapach piwnicznej stęchlizny, taniego wina i werniksu z nikotynowej smoły na wilgotnych ścianach marzył o stalaktytach, a sam ledwie drgał, niczym galareta martwej meduzy. Wtedy wszyscy palili papierosy. Dużo i bez przerwy, byle jakie, przede wszystkim – mocne. Zamknąłem drzwi i ruszyłem wąskimi, krętymi schodkami w dół. Na jednym stoliku dogasała świeczka, której płomyk w ostatnich konwulsjach, skrzeczając, niczym echo ognia św. Elmy wydał ostatnie tchnienie. Zapanowała ciemność. Nigdy później tak ciemnego miejsca nie spotkałem.

Stoję na przedostatnim stopniu krętych, wąskich schodków i... znów widzę to mrowie ludzi. Nasi wykładowcy, koledzy jeszcze ze szkół średnich. Mnóstwo nieznanym. Przyszli na premierowy spektakl teatru studenckiego. Na głośne, bardziej skandujące niż interpretowane czytanie wierszy. Te w gruncie rzeczy były publicystyką niżli pięknoślowiem. Bo to był czas buntu. U jednych trwał rok, pięć, sześć lat, a innych nie opuścił nigdy.

Buntu wobec siebie, nieporadności i nieumiejętności uczynienia świata takim...

I - w tej uwolnionej wyobraźni - usłyszałem tekst z tej studenckiej sceny, wypowiedziany pół wieku temu – tekst, **jakim chciałby widzieć go poeta!**

- **Poeta...?** – zachnął się drugi aktor. – To idiota!

I wtedy trzeci wszedł na scenę. Wzroku nie podnosił, do siebie mówił?

- Poeci! A do roboty byśta się wzięni. Ręką zgrabią od zimna pizze tak, jak my tą samą ręką o drugiej, trzeciej nad ranem ziemię zmrożoną grabimy. I wiesz, że jeśli nie obsypiesz zagonów, wszystko do rana zmarźnie. A wiersza do garnka babie nie włożysz. Poeci, cholery wy jedne... Żebyście tak jeść nie musieli, to pizze, ile tam chcecie.

Uświadomiłem sobie, słuchając tych opowieści o Miłoszu, że poeta chyba wiedział, iż jedynym elementem życia do niego nie pasującym jest on... sam?



To wspomnienie czasu studenckiej fascynacji poezją i ponowne jej odczytywanie, tej samej strofy, u schyłku życia... Metaficzna kłamra? Jeden, a jakbym dwóch w sobie widział. A w gruncie rzeczy - milion. Wiersz stary, odczytywany codziennie jest zawsze wierszem nowym. Wcześniej nie do końca znanym. Nazajutrz, za banał wobec nowych doświadczeń będzie uważany.

Czy siła i niezniszczalność poezji w tym właśnie się objawia, że te same strofy, rodzą w nas codziennie nas nowych?

Banalne... I na odkrycie tej największej tajemnicy świata musiałem czekać tyle lat? Nikt inny wcześniej tego nie mógł wymyślić?

Nobel? Mogę wziąć, bardziej z grzeczności niż potrzeby. Co prawda stawka z kilowatogodzinę w tym roku jednak wzrosła zauważalnie, ale ja już tak wcześniej się budzę, że mogę czytać przy szaryźnie brzasku.

Brzask i...

Pacyfik.

Siedzieliśmy na plaży. Chyba w Santa Monica? Na podłodze, drewnianej, takiej jak prowizoryczne moło, leżało mnóstwo łupinek po ziemnych orzeszkach. Niezapomniane wrażenie. szelestu, I jeszcze raz, ale chyba wolniej...

Z boku, chyba spod podłogi, odezwał się saksofon. Ani on morzu, ani morze jemu nie przeszkadzało.

Zaciągnąłem się dymem z papierosa. Jak nigdy wcześniej - długo i głęboko. Aby dorównać fali, saksofonowi i mojemu duchowi, który wreszcie poczuł, że... jest u siebie.

Pierwszy raz, tak materialnie poczułem, że chyba mam... duszę.

Cała trójka: ocean, on – duch i saksofon, nie zważając na resztę świata, opowiadali sobie jakąś historię. Wierszem, prozą, muzyką, westchnieniem? Jeszcze nie wiem.

Jeszcze nie wiem...

Kim Pan jest?

Zapytam raz jeszcze... Kto dyktuje Panu tematy spotkań? Kto doskonalą perfekcjonizm ich prowadzenia? Bo choćby niekiedy przecinek, zasłuchawszy się w treści spotkania, stanął w kierunku normalnie dla siebie odwrotnym, nie miało by to znaczenia dla rzazów, jakie Pański Solon Poezji pozostawia w świadomości jego uczestników. To takie godzinne pranie naszej... duchowej konstytucji. Nas. Całych, eterycznych i materialnych, z których to pierwiastków rodzi się w nas poezja.

P.S. czy, kiedykolwiek wcześniej odbywały się w tym mieście spotkania o podobnej niezbędności?

Gośćmi Michała Józefa Kaweckiego było od tamtej pory wielu ważnych ludzi. Omawianych spraw w ich gatunkowej wyporności (by choćby słowem tylko musnąć nadmorskości nam niegdyś przypisywanej) – jest ponad intelektualną i emocjonalną miarę.

Srednia wieku uczestników spotkań jest taka jak kolor włosów większości z nich. Pomyślałem, chyba podczas kolejnego spotkania, że to dobra publiczność. Jak wojownicy terakotowej armii. Pozostają w wiecznej gotowości. Byleby tylko udało się komuś odnaleźć ten tajemniczy kod, pobudzający ich, nas do życia aktywnego...

Siła tkwi w dzieciństwie...

Ale – co to jest – dzieciństwo? Czy to samo, co dziecięctwo? To drugie, nie powinno być pierwsze? Albo – zawsze każde?

Według psychologii bałeyowskiej, dla dziecięctwa przedszkolnego charakterystyczne jest (...) właściwe temu wiekowi nierozgraniczanie świata rzeczywistości od świata fantazji. Ten dar jest na czas określony tylko nam dany? Kiedy, dlaczego i przez kogo jest nam odbierany?

Nie ma na tę zbrodni odpowiedniego paragrafu?

Ja chcę, ja żądam, ja potrzebuję i muszę, ja teraz dopiero wiem, że...

O, kartka się skończyła... A tak dużo miałem jeszcze do...

Ten materiał znalazłem w zasobach rękopiśmiennych Książnicy Pomorskiej. Wspomnienia spisane po latach, w wielu fragmentach wyraźnie wyczuwa się, kim był adresat tych zapisków. Lecz najważniejsze jest świadectwo – opis wydarzeń, których uczestnikami byli pierwsi mieszkańcy miasta – repatrianci, byli więźniowie obozów i obozów, zdemobilizowani żołnierze, przybysze z różnych zakątków kraju, przesiedleńcy, a także szabrownicy, chuligani i awanturnicy. Materiał ten został nagrodzony w 1979 roku w konkursie „Dzieje szczecińskich rodzin”. Na publikację w Przeglądzie Zachodniopomorskim czekał do 1993 roku.

Ku przypomnieniu: w grudniu 1945 roku inż. Jerzy Kędzierzki został powołany na stanowisko **dyrektora technicznego Szczecińskiej Dyrekcji Odbudowy** w latach 1946-1949.

Warszawiak, z liczącym się dorobkiem zawodowym, człowiek rodzinnie związany ze stolicą, bez wahania podjął się tego zadania, wbrew – jako opisuje – trudnym do wyobrażenia przeciwnościom polityki, historii, ludzkiej zawiści i zdradzie, szykanom, a nawet bezpośredniemu zagrożeniu życia jego i jego najbliższych.

Uwalniał nasze miasto spod ciężaru gruzów. Uruchamiał instytucje i fabryki. Współorganizował życie miasta.

Dziki Zachód



80 lat polskiego Szczecina

Część druga.

Zdjęcia: Narodowe Archiwum Cyfrowe

Szczecin pozbawiony był obiektów kulturalnych.

1946. Jedyne kino na 120 miejsc przy Al. Wojska Polskiego czy dwie maleńkie prywatne kawiarenki to prymityw nie dający zadowolenia. W porozumieniu z zarządem kin rozpocząłem projekt adaptacji wypalonego budynku sportowego na nowe kino o sali mieszczącej około 1.000 miejsc. Nadano mu nazwę "Colosseum", a po jego uruchomieniu wyświetlono znany bajkowy film o przygodach barona Munchausena. Następnym osiągnięciem, było przypadkowe odkrycie zespołu kortów tenisowych przy Al. Wojska Polskiego, porośniętych dwumetrowymi brzoźkami. Grono aktywistów zawiązało klub tenisowy z ambitnymi zamiarami doprowadzenia ich do stanu używalności. Pierwszym przewodniczącym klubu wybrano mnie. Wkrótce pracą społeczną, członków klubu wyremontowano trzy korty, niewielkie trybuny przy jednym z nich i domek klubowy. Urządzenia te oddano do użytku młodzieży, a dla seniorów udostępniono domek klubowy na gry w brydża. W miarę powodzenia urosły też nowe zamierzenia: zorganizowanie w Szczecinie pierwszych po wojnie rozgrywek tenisowych ogólnopolskich, w których uczestniczyła mistrzyni świata J. Jędrzejowska w gronie innych sportowców, a barw Szczecina bronił, znany obecnie sprawozdawca sportowy Bohdan Tomaszewski. Rozgrywki te odbyły się jesienią 1946 r.

Wyższe uczelnie

Wkrótce rozeszła się wiadomość o utworzeniu przez Niemców Politechniki Szczecińskiej z tymczasową siedzibą w pogranicznym mieście nad Odrą, jakby dla podkreślenia, że Szczecin jest tylko

tymczasowo oddany pod administrację polską. Aby przeciwstawić się tym bałamutnym manewrom rzuciłem w gronie aktywistów myśl, by utworzyć komitet dla powołania w Szczecinie polskiej politechniki. Inicjatywa została gorąco przyjęta i do komitetu weszli m.in. szef Oddziału delegatury rządu d/s Wybrzeża kpt. żegluga wielkiej Bartoszyński, jego z-ca Makowiecki, dyr. centrali węglowej Wolski, dyr. Regionalnej dyr. Planowania Przestrzennego Malesa, grono inżynierów, a mnie jako inicjatora wybrano na kierownika.

Owoce starań komitetu było odnalezienie zespołu zabudowań po byłej niemieckiej wyższej szkole technicznej przy Al. Piastów. W budynku tym znaleźliśmy sporo przyborów kreślarskich, modeli konstrukcji, maszyn elektrycznych. Wszystko to znajdowało się w dosłownie oplakany stanie, gdyż w wyniku działań wojennych z dachu zdmuchnięta była dachówka, z byłych okien wybite szyby, a na posadzkach stały kałuże wody deszczowej.

Mimo iż w budżecie Szcz.Dyr. Odbud. nie miałem na remont tego gmachu ani złotówki, lecz licząc na poparcie i dofinansowanie przez min. Kwiatkowskiego - delegata rządu d/s Wybrzeża, zleciłem wykonanie dokumentacji technicznej, ogłosiłem przetarg i zleciłem remonty, aby powstrzymać postęp zniszczeń. Po dwóch tygodniach, gdy min. Kwiatkowski przybył do Szczecina, gdy po dokonaniu inspekcji robót przez delegaturę finansowanych, zawiozłem na obiekt, którego remont już był w toku, a przewidziany na politechnikę, gdy mu powiedziałem o zakusach niemieckich, to nie tylko użyczył kredytu na sfinansowanie remontu, ale wyróżnił mnie specjalną nagrodą finansową za inicjatywę, za wyprzedzającą myśl o potrzebie takiej uczelni w Szczecinie. Również ze względów politycznych jak i gospodarczych. Nagrodę tę przeznaczyłem na fundusz odbudowy stolicy.

Kiedy budynek ten został ukończony, a do Szczecina przybyła p. poseł wiceminister Oświaty Krasowska, kiedy ją zawieźliśmy by pokazać nasze osiągnięcie, sądziliśmy, że projekt nasz uzyska aprobatę władz. Tymczasem p.minister oblała nas zimną wodą w postaci rzeczowego wyciszenia przeszkód; wysokie straty w gronie naukowców spowodowane zbrodniczą akcją hitlerowców, a mimo to otwarcie szeregu wyższych uczelni w Katowicach, Łodzi, Częstochowie, Krakowie, sprawia iż nie ma widoków na obsadzenie jeszcze jednej uczelni wyższej w Szczecinie. Ponadto wyraziła wątpliwość, czy w gronie przybyłej do Szczecina ludności polskiej tak jeszcze nielicznej, znajdzie się odpowiednia ilość kandydatów na studia. Te argumenty były przekonujące, lecz nie na tyle, aby wyrzec się naszych zamiarów. Podzielił rolę między członków komitetu organizacyjnego; ja udałem się do Warszawy i Gdańska, by w gronie profesorów tamtejszych uczelni werbować ochotników do prowadzenia wykładów w Szczecinie, gwarantując im dla zachęty bezpłatne kwatery z rannymi i wieczornymi posiłkami u członków komitetu organizacyjnego; reszta kolegów zajęła się zbieraniem listy miejscowych inżynierów gotowych bądź prowadzić wykłady lub pomagać w charakterze asystentów, a także dla zbierania kandydatów na studia. W wyniku tych starań uzyskaliśmy listę profesorów zamiejscowych i miejscowych kandydatów, a także około pięciuset kandydatów na studia, zrzeszonych już w koła studentów politechniki. Kiedy ponownie min. Krasowska odwiedziła Szczecin, gdy przedstawiłmy te nasze osiągnięcia, skapitulowała i obiecała poprzeć nasz wniosek. Aby komitetowi nadać więcej powagi dokooptowaliśmy na przewodniczącego komitetu przewodniczącego Woj. Rady Narodowej Ob. Patka, a dla uroczystego powitania pani minister zwerbaliśmy liczne grono kandydatów na studia, z kwiatami. W kilka tygodni później zapadła decyzja rządu o powołaniu w Szczecinie na razie Wyższej Szkoły Inżynierskiej, po kilku latach przekształconej na Politechnikę.

Święto Morza

W dążeniu do podejmowania nowych osiągnięć dla utrwalania wiary w definitywne przejście przez Polskę Szczecin zapadła decyzja, by w 46 r. Święto Morza odbyło się w Szczecinie. Aby nadać tej uroczystości bogatszą oprawę postanowiono zaprosić teatr Galla z Jeleniej Góry.

Dopiero, gdy uzyskano potwierdzenie przybycia zespołu teatralnego spostrzeżono, że nie ma lokalu, w którym teatr mógłby wystąpić.

Znając mnie z dotychczasowych energicznie dokonywanych osiągnięć, wojewoda Borkowicz zwrócił się do mnie, abym w czasie

niemal jedyne go tygodnia wynalazł i adoptował budynek nadający się w tym celu, obiecując przydzielić mi odpowiednio dużą brygadę z najlepszego tutejszego przedsiębiorstwa Społ. Przeds. Bud. Dzięki dobremu już rozpoznaniu miasta wybrałem b. dom matki i dziecka hitlerowskiego przy ul. Swarżycza, położony w parkowej dzielnicy, posiadający obfite pomieszczenia wymagające jednak poważnych wyburzeń i adaptacji. Nie było już czasu na opracowanie projektu, a tylko na wydawanie ustnych wskazówek bądź rysowania detali na podłogach.

Zdolny i operatywny kierownik tej brygady inż. Pałys przy pomocy oficera saperów prowadził wyburzenia sposobem minerskim tak precyzyjnie, że nie wyleciała żadna szyba. Materiał minerski zdobywano z rozbijanych min poniemieckich znajdujących jeszcze w terenie. Podziwiałem też talent wynajdywania niezbędnego wyposażenia wewnątrz, wieszaków do szatni, utensylii sanitarnych itp. Dla połączenia dwóch salek i by stworzyć widowiskę, wykuć otwór na scenę, odpowiednio ukształtować poziomy podłóg, zainstalować kilkaset foteli, rozebrać strop nad sceną dla wykonania sznurowni, dla wykończenia szeregu pomieszczeń operacyjnych jak kieszeń na dekorację do zmian, pomieszczeń na wykonywanie dekoracji, malarni, na toalety, pomieszczeń rekreacyjnych, zmiany oświetlenia itp. – wszystko to w czasie tak rekordowym, co w normalnych warunkach wymagałoby kilku lat pracy, to było niezwykłym nawet na owe czasy wyczynem. Znalazły się nawet lustra, dywany, reflektory, a nawet wszystkie wnętrza pomalowano i dla aktorów przygotowano garderoby. Całość, zasłużyła na dumną nazwę „Teatru Polskiego”. Zapomniano jedynie wmurować tablicę, kto projektował i kto był wykonawcą adaptacji. Teatr w niezmienionej formie służył przez 30 lat społeczeństwu Szczecina, wzbogacając jego życie kulturalne.

Dopiero w 1977 r. teatr został zmodernizowany, udoskonalony i wzbogacony w nowoczesne urządzenia akustyczne i elektroniczne. Wkrótce po zakończeniu uroczystości Święta Morza do Szczecina przybył na stałe ewakuowany ze Lwowa teatr muzyczny pod dykcją Czosnowskiego, dając szereg ambitnych przedstawień.

13 Muz

Mimo to życie intelektualne społeczeństwa nadal było ubogie i ograniczało się do przypadkowych spotkań w dwu małych prywatnych cukierenkach. Aby je wzbogacić i powiązać we wspólne ognisko przedstawicieli sfer intelektualnych, grono aktywistów uzupełnione architektem Jerzym Świdlińskim wystarało się o przydział parterowego lokalu w centrum, przy Al. Wojska Polskiego oraz dokonanie

adaptacji na "Klub 13 Muz" skupiający aktorów, dziennikarzy, literatów, architektów i plastyków. Tu w wygodnie urządzonej salkach, wyposażonych we własny barek, zbierali się członkowie dla przeprowadzania dyskusji, omawiania aktualnych wydarzeń, wysłuchania utworów, prelekcji, a także spotkań towarzyskich. Lokal ten zyskał popularność i stworzył jakby rodzinę, kuźnię życia intelektualnego miasta. W tym czasie grono literatów powiększyło się o dwu wybitnych nowych członków: Andrzejewskiego i Gałczyńskiego powitał ich gorąco i uczynnie pomagając im w uzyskaniu willi w osiedlu Głębokie, blisko ładnego jeziora o tej nazwie.

Niestety podobni ptakom przelotnym odlecieli, gdyż klimat tutejszy im nie odpowiadał.

Wiadukt

W tym czasie zaczął się intensywny napływ nowych osadników zagęszczając dzielnicę śródmiejską, w której dało się zauważyć duży postęp w postaci porządkowania jezdni, chodników, komunikacji tramwajowej, oświetlenia ulic funkcjonowania wodociągów i sieci gazowej pod energicznym zarządem ówczesnego prezydenta miasta Zaremby. Aby rozładować przedłużenie należało wykorzystać niemal puste najmłodsze osiedle Pogodno, dotychczas słabo skomunikowane wskutek zerwania wiaduktu trzyprzęsłowego na ul. Mickiewicza przez wycofujących się hitlerowców. Wiaduktem tym przebiegała uprzednio linia tramwajowa obecnie przzerwana. Pod wiaduktem biegła linia kolejowa obsługująca lewobrzeżną część portu i zakłady przemysłowe.

W budżecie Szcz. Dyr. Odbud. była odpowiednia suma przewidziana na pokrycie kosztów demontażu zwałonych przęseł wiaduktu i na odbudowę nowej konstrukcji. W lecie został ogłoszony przetarg, w wyniku którego roboty powierzono najtańszej firmie prywatnej przy dużej rozpiętości oferowanych sum. Uzasadnione obiekcje co do właściwego wyboru oferenta przełamała decyzja naczelnego dyrektora SDO inż. Welczera wobec znacznie wyższej kwoty następnej oferty. Już po kilku tygodniach pracy okazało się, że przedsiębiorstwo to przeliczyło swoje moce przerobowe, a zwłaszcza zdolności posiadanego sprzętu. Sprężarka do pompowania opon samochodowych nie mogła uruchomić młotów pneumatycznych. Zaczęto więc kuć otwory w betonie ręcznie. Mimo dużego wysiłku fizycznego pracowników beton okazał się tak twardy, że otwory w nim kute dla założenia ładunków wybuchowych nie były cylindryczne, a lejowate o przekroju odwróconego stożka, wskutek tego cała siła wybuchu uciekała w powietrze nie czyniąc planowanego rozrywania



betonu. Nie pomagało przykrywanie ładunków bryłami kamieni. Co gorsze, to kamienie te siłą wybuchu odrzucała na kilkaset metrów niszcząc okoliczne dachy domów, a nazbyt duże dawki materiałów wybuchowych powodowały wypadanie szyb w okolicznych domach. W efekcie parotygodniowej pracy był nikły postęp prac, a przedsiębiorstwu groziło wyczerpanie posiadanego kapitału bez możliwości przedłożenia rachunku za część wykonanej roboty. W tej sytuacji zachodziła konieczność rozliczenia wkładu przedsiębiorstwa, rozwiązania z nim umowy i powierzenia robót innemu przedsiębiorstwu. Trwałoby to jednak zbyt długo, a sezon uciekał i w dodatku reszta oferentów, nauczona smutnym doświadczeniem kolegi, nie czuła się związana sumami przetargowymi, żądając znacznie wyższych cen i tak znacznie wyższych niż przewidziana kwota w budżecie SDO. W tej sytuacji zaproponowałem, aby roboty dalej kontynuować jednak pod nadzorem komisarycznym na koszt i ryzyko przedsiębiorstwa, a finansowane przez Szcz. Dyr. Odbud. Koncepcja ta przypadła do gustu, lecz konsultacje z inżynierami tej specjalności były chybione. Albo byli już osadzeni na odpowiedzialnych stanowiskach albo warunki były zbyt wygórowane. Tymczasem czas uciekał, zima nieuchronnie zbliżała się, co groziło koniecznością przesunięcia terminu odbudowy na rok następny, zamrożenie kredytu tegorocznego (przepadek, zwrot do skarbu państwa). W tej sytuacji jako oficer rezerwy saperów czułem się na siłach poprowadzić roboty demontażowe, więc zaproponowałem, by czasu nie tracić, że ja poprowadzę roboty w roli zarządcy przymusowego, a SDO będzie miało czas szukać nadal kierownika na odbudowę nowej konstrukcji. Dyrektor Welcher chętnie skorzystał z tej propozycji, zgadzając się nawet, by odciążyć mnie od części prac urzędowych.

Niezwłocznie po załatwieniu strony formalnej rozpocząłem starania o przydział sprzętarki na 6 węży do młotów pneumatycznych. Same młoty wraz z kompletem mesli uzyskałem ze Śląska. Po przyuczeniu robotników do pracy młotami i wyznaczeniu rozstawu otworów i głębokości, aby najskuteczniej wykorzystać siłę eksplozji, sposób zakładania ładunków, ich klinowania - już pierwsze ostrzały równocześnie 6 ładunków dały efekt znakomity. Rozmieszczane co 50 cm ładunki równocześnie odpalane, kruszyły beton błyskawicznie, a tylko drobne kawałki betonu pozostające głównie przy krzyżujących się konstrukcjach zbrojeń trzeba było ręcznie odbijać. Zarzuciłem skomplikowany system wyciągania gruzu na poziom ulicy i odwożenia go na odległość kilku kilometrów, odbierając go dołem i przy pomocy wąskotorowej kolejki wywrotkami odwozić do pobliskiego rowu przeciwczołowego, pozostałości umocnień obronnych poniemieckich. Była to wielka oszczędność kosztu i czasu pracy. Dzięki temu, już po upływie jednego miesiąca rozebraliśmy wszystkie trzy przęsła wiaduktu ani na chwilę nie przerywając kursowania pociągów pod wiaduktem, plac był oczyszczony, przygotowany do stawiania, żelastwo zbrojeniowe rozebrane i wyprostowane, przygotowane do wykorzystania ponownego.

W międzyczasie, w pobliżu wynalazłem duże przyzmy kruszywa przygotowane zapewne dla celów fortyfikacyjnych przez hitlerowców. Dzięki tym poczynaniom zaoszczędziłem poważną kwotę, którą trzeba by wydać na zakup tych materiałów. Dla utrzymania komunikacji z tą dzielnicą uprzednio była zbudowana kładka drewniana. Przechodnie często zatrzymywali się na niej, aby popatrzeć na prowadzone roboty, głośno wyrażali podziw nad tempem prac w porównaniu do poprzedniej nieudolnej grzebaniny. Tajemnicą tych przemian była zwiększona dbałość o warunki pracy i bytowe załogi. Oto w terenie udało się wynaleźć i sprowadzić porzuconą kuchnię wojskową. Wysłana ciężarówka na stare ziemie zakupiła produkty żywnościowe, aby móc gotować posilne zupy regeneracyjne. W okresie tym występowały trudności aprowizacyjne w Szczecinie. Wykonanie zadaszienia nad kuchnią i pomieszczeniem do spożywania tych zup było pozytywnie ocenioną inwestycją.

Dyplomacja sapera

Kiedy dzięki znajomości z dyrektorem oddziału Czerwonego Krzyża dowiedziałem się o nadejściu dużej ilości odzieży od Polonii kanadyjskiej, zaprosiłem dyrektora, aby zechciał zobaczyć naszą budowę. Uprzednio poleciłem robotnikom, aby ubrali się w stare łachy postrzępione przy pracy w płataninie prętów zbrojeniowych i rozkuwaniu betonów. Po przybyciu dyr. PCK i zademonstrowaniu

serii wybuchów z odpowiednio zabezpieczonego schronu, a gdy grad odłamków opadł, ujrzał robotników pracujących przy wyjmowaniu zbrojeń, wzruszył się tak, że polecił, bym przysłał ciężarówkę dla odebrania przydziału kompletu odzieży. Był to b. cenny dar stu kilkudziesięciu ubrań, butów swetrów i rękawic roboczych. Gdy odzież tę przywiozłem i poleciłem wybrać komisję dla rozdziału jej między robotników, to zapanowała szczera radość. W uznaniu moich starań mnie też przyznano sweter. Właśnie ta dbałość o pracowników owocowała znacznie lepszą wydajnością pracy.

Ta widoczna poprawa organizacji pracy i jej efekty wzbudziły uznanie i zaufanie do mnie dyr. Welczera. A że nadal nie można było znaleźć odpowiedniego kandydata na kierownika odbudowy wiaduktu, zaproponowano mnie kontynuację prac. Istotnie od rana do zmroku byłem na budowie, co również sprzyjało wydajności pracy. A że przed wojną prowadziłem własne przedsiębiorstwo inżynierino-budowlane, nie obce mi były konstrukcje żelbetowe. Zwłaszcza, że nadzór statyczny objął prof. Politechniki Warszawskiej inż. Poniż, który okresowo przyjeżdżał do Szczecina.

Zima...

Zbliżała się jesień, a wraz z nią zwiększone opady deszczu.

Aby uniknąć przerw szczególnie brygady zbrojarzy (najsłabszej) udało mi się odnaleźć w pobliżu nie użytkowaną wiatę na prowizoryczną stajnię. Nie wdając się w dochodzenie w czyjej gestii jest ta wiatka, zawarłem umowę z grupą mych cieśli, by za niewielką sumę ryczałtową dokonali rozbioru i przeniesienia oraz zmontowania wiaty nad placem zbrojarskim. Stało się to tak szybko, że nikt nawet nie zauważył ani nie protestował przeciw przestawieniu jej.

Czas naglił, bo liczna grupa cieśli szybko montowała szalunki pod konstrukcję wiaduktu i trzeba było przygotowywać zbrojenia. Dzięki temu zadaszaniu praca zbrojarzy nie ulegała kapryśnej pogodzie jesiennej. Z chwilą zakończenia szalunków i sprawdzenia ich przez inż. Poniż przystąpiliśmy do najtrudniejszej fazy montowania zbrojeń. Trzeba przyznać, iż była to najtrudniejsza czynność, gdyż była to skomplikowana sieć prętów stalowych o odpowiednich wygięciach i gęsto związanych strzemionami. Szczególnie starannie trzeba było wkładać zbrojenia podpór, aby strzemiona nie zsuwały się. Dla kontroli prawidłowego układu zbrojeń w szalunkach były wykonane kontrolne okienka. Okienka te odgrywały poważną rolę podczas wlewania betonu. Przy tak dużych rozmiarach konstrukcji szczególne znaczenie miała kontrola zwartości betonu, aby nie tworzyły się zawiesiny i dziury w betonie, aby też pod ciężarem betonu nie opadały strzemiona i pręty rozdzielcze. Również dbałość o wytrzymałość szalunków, aby były należycie usztywniane przez opasujące je ubezpieczenia.

Po sprawdzeniu z kolei zbrojeń przez prof. Poniż trzeba było poczynić niezbędne przygotowania do ciągłego betonowania na





3 zmiany. W tym celu należało przygotować oświetlenie placu budowy, pobudowanie pomostów dla rozwożenia betonu taczkami, zgromadzenia zapasów kruszywa o wymaganej granulacji, cementu i wody, a także podziału brygad betoniarских na poszczególne fazy betonowania. Na nieszczęście nadeszły wczesne opady śniegu, wymagające dodatkowych czynności topienia śniegu gorącą wodą. Dzięki tym poczynaniom, wczesną wiosną 1947 r. można było rozszalować konstrukcję, poddać ją próbnemu obciążeniu i przekazać Zarządowi Miasta dla wykonania kosmetyki wiaduktu. Ułożenia trakcji tramwajowej, poprowadzenia przewodów instalacyjnych ułożenie bruków, chodników, balustrad oraz latarni oświetleniowych.

Kiedy już te czynności zostały ukończone, balustrady pomalowane, można było dokonać uroczystego otwarcia wiaduktu i komunikacji tramwajowej w obecności władz wojewódzkich i miejskich oraz licznie zgromadzonych mieszkańców. Co ciekawsze, to to, że dzięki usprawnieniom i wprowadzonym oszczędnościom, wykorzystaniu materiałów rozbiórkowych i poniemieckich, zdołaliśmy zamknąć koszt budowy w granicach oferowanej na przetargu sumy, ratując od bankructwa przedsiębiorstwo budowlane.

Rekonesans lotniczy

W międzyczasie nadal podejmowałem nowe inicjatywy społecznej. Tak więc powstał oddział Stow. Architektów Polskich. Wprawdzie koledzy wybrali mnie na przewodniczącego, lecz na moją propozycję ze względów kurtuazyjnych na stanowisko to wybraliśmy jedną koleżankę pioniera, Helenę Kurcuszową. Ja zadowolilem się wiceprzewodniczącym.

W podobny sposób zorganizowaliśmy oddział NOT Nacz. Organ. Techn. Jako członek zarządu tej organizacji współpracowałem w organizacji pierwszego balu w salach Miejskiej Rady Narodowej.

Do ciekawszych wydarzeń w 1946 r. należy oryginalne powitanie zgotowane przybyłemu ministrowi Odbudowy prof. Kaczorowskiemu i jego wiceministrom Żakowskiemu, Petrusiewiczowi i dyrektorom departamentu. Właściwie do uświetnienia przyczynił się przypadek. Oto wkrótce po otrzymaniu zawiadomienia o dacie przyjazdu ministrów zgłosił się do mnie dyr. oddziału 101 z prośbą, o wypożyczenie mu na miesiąc ciężarówkę przystosowanej do przewozu pasażerów LOT'u z lotniska w Dąbiu do Śródmieścia, gdyż ich autobus został skierowany do generalnego remontu. Natychmiast wpadł mi pomysł do głowy, aby w zamian za ciężarówkę na miesiąc uzyskać wypożyczenie samolotu pasażerskiego na 20 minut, aby ekipie ministerialnej pokazać cały obszar miasta z jego

problemami i bolączkami. Właściwie nie mógłbym odmówić prośbie LOT'u, nawet gdyby mi odmówiono samolotu. Interes społeczny był ważniejszy. Dyrektor Oddz. LOT'u odniósł się przychylnie do mej propozycji. Jednak uzależnił to od zgody naczelnej dyrekcji. Obiecał, że zaraz porozumie się telefonicznie i powiadomi mnie. Nazajutrz rano powiadomił o uzyskanej zgodzie na wypożyczenie samolotu w dniu 5.VI.1946 r. (data przyjazdu ekipy ministerialnej). Kiedy więc w ustalonym terminie powitaliśmy gości i usadzili do zmobilizowanych kilku samochodów, zamiast do siedziby SDO powieźliśmy ich na lotnisko drogą pełną emocji przez chwiejący się most kolejowy (pro wizorkę wojenną). Skoro usadowiliśmy gości między naszych pracowników, aby objaśniać o znaczeniu poszczególnych obiektów i tras, samolot wzbił się w powietrze i zaczął krążyć nad miastem, a także mimo zakazu - nad portem, co dało pojęcie o dużych możliwościach portu i stoczni. Głównym problemem było pokazanie zagrożenia budowli od wpływów atmosferycznych, na które większość domów była narażona wskutek pospadania dachówek od działań wojennych.

Zamiast poddawać je całkowitemu remontowi należało tylko remontować dachy, bo drobne naprawy wewnątrz wykonywaliby sami lokatorzy. Natomiast domy pozbawione pokrycia dachów zaczynały tracić konstrukcję drewnianą dachową, wykradaną na opał, którego było brak, a stopniowo ginęły też powszechnie używane tam stropy drewniane. Po tym przelocie obejchaliśmy teren miasta samochodami, a następnie w SDO zostały wygłoszone odczyty informacyjne mój i dyr. Reg. Dyr. Planowania Przestrzennego kolegi Malesy, bogato ilustrowany mapami i wykresami.

Następnie zawieźliśmy gości do willi w Al. Wojska Polskiego, gdzie był przygotowany skromny obiad, aby obecność obcych gości nie przeszkadzała w prowadzeniu dyskusji. Następnie stateczkiem przejażdżka po porcie i do Świnoujścia, gdzie już czekały samochody, by zawieźć do Międzyzdrojów, gdzie ministerstwo posiadało dwa domy wczasowe. Po powrocie do Szczecina minister i obaj wiceministrowie zostali na noc w moim mieszkaniu zaś pozostali goście byli rozlokowani u kolegów.

Cały pobyt, łącznie ze zwiedzaniem i udzielonymi informacjami podobał się gościom, bo też żaden inny oddział ministerstwa w kraju nie miał tych możliwości i pomysłowości co my. Niestety dopiero po 2 latach otrzymaliśmy wydzielony kredyt na remonty samych dachów, co było nadto spóźnione, gdyż wiele domów w międzyczasie uległo zniszczeniu lub wymagało poważniejszych robót renowacyjnych.

Teatr

O aktywności szczecinian może świadczyć następujące wydarzenie: kiedy do Szczecina zjechał na gościnny występ zespół pani Cwiklińskiej, gdy po I akcie grono warszawiaków udało się za kulisy, by złożyć wyrazy wdzięczności za wspaniałą grę w "Skizie" dowiedzieli się, że przewidziany na następny dzień występ w pobliskim Stargardzie musi być odwołany z powodu uszkodzenia ciężarówki teatru. Już podczas drugiej przerwy mogliśmy pocieszyć sędziwą, a tak żywotną aktorkę, że otrzyma ciężarówkę od SPB (Społ. Przeds. Bud.) a ich wóz zostanie naprawiony i oddany do dalszych podróży w bazie Szcz. Dyr. Odbud.

Osadnicy

Jesienią 46 r. zgłosił się do mnie inwalida wojenny który w walce o wyzwolenie Warszawy jako d-ca baterii kierował ogniem, został ciężko ranny granatem wroga i utracił lewą rękę oraz prawą dłoń oprócz innych ran, inwalida ten opiekujący się dwoma innymi inwalidami, z których jeden był ślepcem, drugi bez nogi. Inwalidzi ci nie mogli nigdzie nabyć okiennych szyb. Mimo, że materiały te były reglamentowane i zastrzeżone dla robót prowadzonych na zlecenie SDO, bez wahania zezwoliłem na wydanie im szyb, ale także na koszt SDO zleciłem wykonanie oszklenia. (Ob. Kaszycki).

Mogłoby się wydawać niemożliwością pogodzenie mych służbowych obowiązków z tak aktywną działalnością społeczną. Ja jednak nie zwykłem liczyć godzin pracy, a po prostu rozpierała mnie ambicja twórcza, radowały osiągnięcia, zrozumienie, iż wszystkie te akcje przyczyniają się do cementowania osadników przybyłych tu z różnych stron świata i kraju, do zwalczania wrogiej propagandy. Aby jednak nie obciążać się nadmiernie, przyjąłem taktikę, by po zorganizowaniu i nadaniu rozpędu nowej inicjatywie usuwać się na mniej eksponowane stanowisko wprowadzając do kierownictwa kolegów z grona aktywistów.

Sprzyjającą atmosferę stwarzał życzliwy stosunek Delegata rządu d/s Wybrzeża, min. Kwiatkowskiego, który w sposób niezwykle umiejętny potrafił budzić entuzjazm do pracy, tak podczas wizytacji terenu, jak też na naradach roboczych poprzedzających poszczególne sezony prac. Jego głęboka wiedza i inteligencja pozwalające wygłaszać podsumowania osiągnięć i rozwijania zamierzeń odbudowy dużych portów jak też i małych, bez uciekania się do jakichkolwiek notatek, jego wyprzedzające oceny potrzeb całego wybrzeża wraz z zapleczem były imponujące.

W zakresie współdziałania w odbudowie Szczecina wypada podkreślić jego pomoc w sfinansowaniu remontu Politechniki, dużego gmachu muzeum, w którym znalazły pomieszczenia wystawa, a później nowy Teatr Współczesny, a zwłaszcza myśl i pomoc w wyremontowaniu sporej ilości mieszkań przeznaczonych dla pracowników portu i stoczni, które na razie jeszcze nie były przekazane Polsce przez zarząd wojskowy sowiecki.

Kiedy już pierwsza partia kilkudziesięciu mieszkań była wyremontowana, powstał problem, w czyje ręce przekazać je, aby pozostała rezerwa dla ułatwienia zagospodarowania portu i stoczni. Wówczas, poddałem propozycję, aby (wzorem Warsz. Spółdz. Mieszkaniowej) utworzyć w Szczecinie podobną spółdzielnię i jej przekazać pod zarząd te mieszkania.

Projekt ten zyskał aprobatę i jak to bywa z inicjatorami, na me barki spadł trud zorganizowania tej spółdzielni. Zostałem wysłany do Warszawy, aby zebrać niezbędne informacje i wzory z Warsz. Sp. Mieszkaniowej, a sekretarz woj. PPS po przedstawieniu naszej inicjatywy w gronie poselskim PPS, przy ich uznaniu znaczenia tej akcji, uzyskał dodatkowy kredyt 10 milionów zł., co pozwoliło na znaczne rozszerzenie akcji.

Mając dobre rozeznanie miasta wytypowałem dużą pulę mieszkań na Pogodnie wymagających niewielkiego nakładu na ich remonty, dzięki czemu pokaźnie wzrosła ilość mieszkań dla pracowników portu i stoczni.

Akcja ta w efekcie pomnożyła szeregi PPS i uznanie w społeczeństwie. Inicjatywa ta pobudziła również PPR do podjęcia podobnej akcji, lecz już w obszarze bardziej zdewastowanych dzielnic, co mimo dużych nakładów dało mniejsze efekty.



Rok 1946 zaznaczył się dużym napływem osadników z Polski centralnej, zza Buga i ze świata zachodniego, z terenu Niemiec, Francji, a także i z Ameryki Południowej.

Udostępnienie dojazdu do dzielnicy Pogodno ułatwiło osiedlenie fali osadników miejskich, a jednocześnie skomplikowało sytuację w terenie województwa mocno dotkniętego działaniami wojennymi, zacieklą obroną hitlerowców. Ówczesne województwo liczyło 23 powiaty aż po Słupsk włącznie, zarządzane ekscentrycznie ze Szczecina przez słabo obsadzoną administrację, a przy nikłym wyposażeniu w środki transportu kołowego. Szczególnie słabo zorganizowany był Woj. Wydz. Odbudowy, kierowany przez inż. Wyganowskiego, człowieka zastraszonego, pozbawionego inicjatywy i stosunków w Min. Odbudowy. Wyposażenie tego oddziału w porównaniu do Dyrekcji Odbudowy było rażąco nikłe. Tu zawiął brak orientacji w ministerstwie, skoro dla placówki pracującej wyłącznie na terenie jednego miasta dało 12 nowych ciężarówek i 2 niemieckie osobowe samochody, a dla tak wielkiego województwa i tylu miast i miasteczek zdobyło się na 4 ciężarówki niemieckie i to zaledwie 2 na chodzie oraz kilka gratów osobowych. Również poważne braki były w doborze personelu, szereg powiatów nie posiadało architektów. Nic dziwnego, że przy napływie tak licznej fali osadników powstał impas i trudne warunki bytu dla przybyłej ludności. Również porównanie budżetu SDO i WWO było rażące i nie współmierne do potrzeb. W dodatku kredyty uruchomione dopiero w połowie roku, gdy przelew ich na poszczególne powiaty trwał trzy i pół miesiąca, a powiaty nie mające żadnego rozeznania potrzeb nie wiedziały co z przyznanymi sumami i materiałami robić. Wyglądało na to, że sumy te ulegną tzw. zamrożeniu, tj. wrócą do skarbu państwa bez pożytku dla terenu. Toteż inercja Woj. Wydz. Odbud. była aż nadto widoczna i ograniczała się do rozwożenia drobnych ilości materiałów budowlanych do sołtysów bez kontroli sposobu ich rozdziału dla ludności.

Dziki Zachód...

Świadom tej sytuacji wojewoda Borkowicz, mimo iż od niedawna zmienił siedzibę z Koszalina na stolicę województwa, zaczął rozglądać się za nowym kierownikiem wydziału, zwłaszcza, że wroga propaganda korzystała przedstawiając ten stan jako dowód nieumiejętności zagospodarowania tych ziem i ich rzekomej zbędności. Istotnie, gdy nieco później dokonywałem inspekcji przygranicznych powiatów trzeba było obiektywnie przyznać, że na naszym brzegu Odry oprócz zaczajonych posterunków WOP nie było żadnych przejawów życia, podczas gdy na niemieckim brzegu osiedla były wyremontowane, oświetlone i zaludnione.

U nas pola były zarośnięte wysokimi chwastami, w których człowieka nie było widać. Widocznie moja działalność zwróciła uwagę wojewody, bo postanowił mnie skaptować. Trzeba przyznać, że uczynił to zręcznie, zapraszając na przejażdżkę po przygranicznych powiatach, pod pretekstem oględzin pomnika poległych żołnierzy polskich podczas forsowania Odry w Siekierkach. **Gdy po drodze mijaliśmy opustoszałe wioski, zrujnowane zagrody i gdzieśgdzie osiadłych rolników orzących prymitywną sochą, ciągnioną przez lichą krowinę wspólnie z członkami rodziny, aby posadzić trochę ziemniaków na przednówek, gdy zobaczyłem w jak nędznych warunkach wegetują w jednej izbie pozbawionej okien i drzwi, a osłoniętych jedynie zasłonami z worków, na słomie jako jedynym sprężem, cała 12 osobowa rodzina, wspólnie z cielątkiem i krowiną, bez ogrzewania, z kuchenką na dworze na trójnogu nad ogniskiem, bez zadaszenia, to żal było patrzeć na nędzę tych biedaków przybyłych zza Bugu.** Bez żadnej niby namowy czułem, iż stoję wobec konieczności przyjęcia z pomocą nie wojewodzie, a właśnie tym wybiezionym i pozbawionym opieki osadnikom.

Kiedy pod koniec tej pouczającej wycieczki padła propozycja przejęcia kierownictwa Woj. Wydz. Odbud. trafiła na dobrze przygotowany grunt. Zastrzegłem jedynie, by nastąpiło to za wiedzą i zgodą mego zwierzchnika dyr. Welczera oraz pod warunkiem doprowadzenia do końca odbudowy wiaduktu. Dyr. Welcher na wiadomość o propozycji zaczął mnie odwozić od tego zamiaru przedstawiając szereg powodów odstręczających jak to, że będzie to dobrowolną degradacją ze stanowiska dyrektorskiego na niższy stopień naczelnika, że w tych warunkach nie podołam uczynić coś pożytecznego i utracę dotychczasową renomę itd. Wojewodzie, gdy nas wezwał, wręcz oświadczył, że wolalby by mu uciąć prawą rękę niż zabrać mnie. W końcu przesądziła sprawę moja decyzja.

Od 1.XII.1946 r. zostałem naczelnikiem Woj. Wydz. Odbud. wraz z obowiązkiem dokończenia odbudowy wiaduktu na ul. Mickiewicza, co musiało absorbować znaczną część mego czasu do wiosny. Ambicją moją było przede wszystkim uratowanie kredytu 46 r. Zdając sobie sprawę, że nie ma żadnych widoków, by powiatowi architekci mogli w racjonalny sposób je zużytkować poleciłem, by niezwłocznie dokonali przelewu tych sum na rachunek Centrali Materiałów Budowlanych w Szczecinie, z dyrektorem której porozumiałem się, iż będzie to na rachunek zakupu drewna, które odbiorę w roku następnym. Prywatnie zostałem bowiem poinformowany o spodziewanej podwyżce ceny drewna od nowego roku o 100%. Nie mając czasu i możliwości technicznych przygotowania akcji odbudowy całego obszaru województwa, postanowiłem skoncentrować ją na 3 pogranicznych powiatach, najbardziej kłujących w oczy swym zaniedba-

niem. Następnie udać się do ministerstwa o wydatne zwiększenie taboru samochodowego, dostosowanie wysokości kredytów na rok 47 do granic faktycznych potrzeb i możliwości przerobowych. Zamierzając zasadniczo prowadzić akcję odbudowy sposobem gospodarczym własnymi ekipami, to jednak do pracy na trzech pogranicznych powiatach postanowiłem pozyskać już uformowane przedsiębiorstwa miejscowe i pozamiejscowe (warszawskie). Aby usprawnić operacje bankowe zaprosiłem do wojewody dyrektora banku. Przedstawiając mu dowody nader przewlekłego, bo trwającego 3 i 1/2 miesiąca trwania przelewów z banku do powiatów, nawet do mieszczącego o kilka ulic obok banku powiatu szczecińskiego, uzyskałem solenne przyrzeczenie, że operacje te skróci do 2 tygodni.

Kolejna wyprawa do Ministerstwa Odbudowy zaowocowała przyznaniem dla WWO z puli SDO 6 samochodów ciężarowych z prawem wspólnego korzystania z bazy i warsztatów naprawczych SDO. Nieuchronnie naraziłem się na rozdrażnienie dyr. Welczera, ale nie było innej rady, aby szybko naprawić błędy ministerstwa. Jednocześnie uzyskałem przyrzeczenie wydatnego powiększenia budżetu na 47 r. oraz wcześniejszego ich uruchomienia.

Dzięki dobrym stosunkom z kierownikami zainteresowanych odbudową woj. wydziałów Osiedleńczego i Rolnego jak też Reg. Dyr. Plan. Przestrzennego, ustaliliśmy sposób zorganizowania i wyposażenia ekip dla wytypowania w terenie niezbędnej ilości zagród dla zagospodarowania obszaru poszczególnych wsi, oznakowania ustalonymi wzorami zagród do remontu bądź do wyburzeń (dla odzysku materiałów), wreszcie sposobu zakwaterowania i wyżywienia ekip w bezludnym terenie. Poleciłem zakup kożuchów dla kierowców i członków ekip typujących, gdyż nadeszła sroga wyjątkowo zima i duże opady śniegu. Na odprawie starostów objaśniłem o planach i zadaniach przygotowań do akcji odbudowy, a także zobowiązałem starostów do zapewnienia pomocy w zakwaterowaniu i wyżywieniu pracujących w terenie ekip typujących. W owym czasie w terenie nie tylko nie było hoteli, ale także i sklepów spożywczych.

Jedna z koleżanek nie mogąc zdobyć noclegu udała się do kier. UB, aby zezwolił jej zanoć w areszcie.

Wytyczne ministerstwa ściśle ograniczały zakres remontu zagród do jednego pomieszczenia mieszkalnego z kuchnią i jednego pomieszczenia inwentarskiego, a sumę nakładu do 120 tys. zł. na rodzinę osadnika, i z uwagi na powtarzalność identycznych robót remontowych, a tylko różniące się ilości mogące występować, dla uproszczenia poleciłem przygotować ramowy kosztorys robót i na tej podstawie ogłosić przetarg w Szczecinie i Warszawie. W ten uproszczony sposób udało się wszystko przygotować tak, by od początku stycznia ruszyć odbudowę.

Koniec części drugiej



|| A dlaczego ja tę książkę opracowałem? Bo nikt inny na ten pomysł nie wpadł. - Piotr Semka

Historia z gruzów, w gruzy zamieniona



To zdjęcie, znalazłem na stronie JDC Archives.

Polish Jews who spent the war years in Asiatic Russia in the doorway of the train car that returned them to Poland. Poland, 1940s. Photograph: John Vachon.

W wolnym tłumaczeniu:

Polscy Żydzi, którzy spędzili lata wojny w azjatyckiej Rosji, w drzwiach wagonu pociągu, którym wrócili do Polski.

Podpis pod reprodukcją zdjęcia w książce pana Piotra Semki:

Polacy wracający z Syberii lub Kazachstanu jechali w bydlęcych wagonach często przez wiele tygodni, na ich twarzach widać trudy podróży i niepewność.

Oto porównanie: źródło i jego „twórcze” przetworzenie. Dlaczego Autor zrezygnował z oryginalnego opisu, w jakim celu, z jakim zamiarem, ot, tak, dla fantazji, żeby było inaczej? Polscy Żydzi versus Polacy... Niby nic. Drobiazg. Takich drobiazgów jest w tej książce więcej. Jedne śmieszą, inne irytują, a kolejne budzą zwykły sprzeciw. Dowodzą, że w tym dziele wszystko, tylko nie rzetelność przyświecała całej ekipie pracującej nad „najdalszą Polską”. W efekcie, oddalili tę szczecińską Polskę od prawdy bardziej niż można byłoby się tego spodziewać. W jakim celu?

Niech to pytanie posłuży za motto do poniższego tekstu.

Wydawnictwo Centrum Historii Zajezdnia z Wrocławia, wydało dwutomową pracę „Najdalsza Polska. Szczecin 1945-1950” pióra Piotra Semki. Nakład tego dwutomowego, w pewnym sensie albumu

fotograficznego, to 1000 egzemplarzy. Recenzentem książki jest prof. dr. hab. Grzegorz Strauchold, a konsultantami merytorycznymi byli dr Artur Kubaj i dr Tomasz Ślepowroński. Całość sfinansowano ze środków Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Autor zebrał udostępnione mu zdjęcia oraz dokumenty. Wykorzystał doniesienia ówczesnej prasy. Całość powiązał narracją publicystyczną. Nie stronił od własnych komentarzy proponując nam wagowo dzieło kilkukilogramowe. **Jak sam zaznacza – nie poddawał poszczególnych wątków wnikliwej analizie.** To zadanie dla zawodowych badaczy. Więc co było odpowiedzialnością Autora?

Przejrzałem wydawnictwo dość zachłannym okiem, licząc, że znajdę w nim cymelia, unikatowe materiały, odkrywcze tezy i rewolucyjne konstatacje. Pierwsze wrażenie? Utwór rzeczywiście jest równie „atrakcyjny” jak ser szwajcarski, pełen finezyjnych, merytorycznych dziur, a na przestrzeni może dziesięciu najbardziej interesujących mnie stron – przypomina gejzer pełen koszmarnych błędów, kiksów, pomyłek edytorskich. O niezręcznościach – nie wspominam. Czy te wszystkie niedoróbki lub oczywista nierzetelność redakcji książki, będąca „owocem” pracy wszystkich uczestników tego procesu – została zdominowana jakimś ideowym zafiksowaniem – nie wiem.

Przykład. Zdjęcie poniżej... *„Kapitan Maciejewicz (w centrum) wówczas dowódca statku Dar Pomorza, w czasie wizyty u japońskich franciszkanów. Po prawej siedzi św. Maksymilian Maria Kolbe”.* Ten, w 1935 roku był nikomu nieznanym zakonnikiem! W Nagasaki prowadził działalność misyjną. Kanonizowany w 1982 roku.



Piotr Semka to postać znana z bezkompromisowych, nacechowanych politycznie komentarzy, dla jednej strony debaty politycznej – wręcz trybun, dla drugiej – całkowicie nieakceptowany polemista, powiedział mi, że napisanie tej książki było w pewnym sensie zobowiązaniem wobec jego dziadka, który po wojnie został skierowany na Ziemie Odzyskane i swojemu wnukowi o tych okolicach opowiadał.

Drugim filarem wydawnictwa jest kolekcja zdjęć Janusza Ławrynowicza, wieloletniego członka redakcji Kuriera Szczecińskiego. Piotr Semka uzupełnił tę dokumentację swoją dwuletnią kwerendą, podróżami po kraju i świecie w poszukiwaniu zdjęć z pierwszych

lat... - jak mówi - Republiki Szczecińskiej. Od kwietnia 1945 roku po styczeń 1946 - status polityczny miasta był wolny od codziennego wpływu rządu lubelskiego oraz ideologii reprezentowanej przez PPR. Szczecin był miastem w odbudowie, skoncentrowanym na przywróceniu życia wśród ruin dywanowo bombardowanych dzielnic mieszkaniowych i zakładów pracy.

- Moją opowieść przerywam na roku 1950. Piotr Zaremba przestał być wtedy prezydentem miasta. Zakończył się pionierski okres rozwoju miasta – powiedział mi w rozmowie telefonicznej Piotr Semka.

Piotr Semka: Mój dziadek trafił z nakazem pracy do Państwowego Zarządu Majątków Poniemieckich. Szczecin był najbliższym i naturalnym centrum kulturalnym tamtego regionu. A mój dziadek często wyprawiał się do Szczecina. Tu kupował książki, bywał w teatrze, kinie. I kiedy się spotykaliśmy, zawsze mi o tym Szczecinie opowiadał. Moim pierwszym, mocnym spotkaniem ze Szczecinem była książka pana Ryszarda Liskowackiego, „Wodzu, wyspa jest twoja”. Nie wiem, czy pan ją czytał?

Marek Koszur: Kultowa pozycja dla nastolatków. Ucieczka z domu, wyspy, łódzie, szalasy, robinsonada, romantyzm naiwny.

PS: Szczecin jawił mi się wtedy jako kraina rozlewisk, bagnisk, tajemniczych miejsc, rzeczywiście pobudzających chłopcę wyobraźnię.

MK: Dla nas, miejscowych, tym archipelagiem Robinsonowym w charakterze były okolice Wolina i Kraina 44 wysp. Niezamieszkałych.

PS: Więc na takich sentymentalnych, naiwnych wyobrażeniach rosło moje zainteresowanie tym regionem. Tak zrodziła się wystawa na 75 lecie Szczecina. Muzeum Narodowe zaakceptowało mój pomysł ekspozycji plenerowej. Ustawiliśmy plansze, duże banery najpierw na Placu Wolności, potem przy Centrum Przełomy, wreszcie przy Wałach Chrobrego. Dwaście tablic, zredagowanych także przy współudziale Archiwum Państwowego. Na każdą tablicę miałem około stu zdjęć. A w zapasie kolejne. Uznałem, że ten materiał trzeba wydać w formie książkowej. Tym bardziej, że wiele pozycji o okresie odbudowy Szczecina nie miało ilustracji, a te dostępne, były nieustannie powielane. W opublikowanych wspomnieniach Piotra Zaremby jest niewiele zdjęć. **Ale nie udostępniono mi innych fotografii z kolekcji Piotra Zaremby. Podobnie było ze zbiorem wojewody Borkowicza.** Chodziłem od parafii do parafii, pytałem o kroniki, o dokumentację historyczną. Nie bez grzechu byli kolejni proboszczowie, którzy materiały poprzedników traktowali jako makulaturę. Niewiele znalazłem parafii, gdzie kontynuowano dzieło kronikarskie. Przeglądałem dostępną dokumentację poświęconą historii Żydów, byłem w muzeum Holokaustu, wynajdując wątki powojenne dotyczące szczecińskich Żydów. Bardzo duży zbiór dokumentów o Szczecinie znalazłem w Muzeum Bojowników Getta, które istnieje niedaleko Hajfy. Byłem w Jad Waszem. Pukałem też do muzeum w Greifswaldzie. Dużą pomoc uzyskałem ze strony Centrum Przełomy. Ale ta detektywistyczna praca kończyła się niekiedy odmową użyczenia pamiątek. Jedni uznawali, że interesujące mnie zdjęcia mają jednak charakter prywatny, inni zgłaszali obawy co do charakteru mojej publikacji. Nie rezygnowałem. Przeszukałem archiwum PAPu, Archiwum Akt Nowych, wertowałem zasoby bibliotek we Wrocławiu, w dziale dokumentów po Polskim Związku Zachodnim. Długa lista źródeł.

MK: Czy zamiarem pańskim było nadanie książce funkcji wzmacniającej naszą szczecińską tożsamość?

PS: To oceniać znawcy i czytelnicy. Ja stworzyłem pewną syntezę. Niestety, wyłapuję pomyłki i błędy, jakich nie udało mi się uniknąć. Może będzie okazja, by je skorygować w ewentualnym wznowieniu. Nie wypada tłumaczyć się pośpiechem, ale miał on wpływ na nieścisłości. W ostatniej niemal chwili polecałem do Kanady, do pana Piotra Borkowicza, syna ówczesnego wojewody z prośbą o udostępnienie zdjęć z albumów rodzinnych. **Zgody nie otrzymałem.**

MK: Skorygujmy więc najważniejsze nieścisłości.

PS: Nie wiem, jak mogłem przepuścić opis zdjęcia, które pokazuje wojskową paradę żołnierzy, niegdyś pod komendą generałów Stanisława Sosabowskiego i Stanisława Maczka. Żołnierze przypłynęli statkiem i 9 czerwca 1945 roku wzięli udział w przemarszu przez miasto. A przecież wydarzenie to miało miejsce 11 czerwca 1946 roku. Równie mocno wstydzić się opisu mapy z 1908 roku, wydanej przez Dziennik Bydgoski, którą opisałem, że pochodzi z roku 1905. A mapę reprodukuje dlatego, że Szczecin jest tam opisany jako historyczne ziemie polskie.

Błędy? Kilka? Powyższe miałyby być najważniejsze? Otwieram tom drugi, str. 250 „Wychowawca wilków morskich” Cytuję: Konstanty **Matyniewicz** -Maciejewicz (1890-1972) Nie mogłem wprost uwierzyć...

Autor, trzech konsultantów, redaktorzy... I taki błąd! Jak można było tak okaleczyć nazwisko najważniejszej postaci polskiego morza? „Kapitan kapitanów” nazywał się **Konstanty Matyjewicz-Maciejewicz**.

Był synem Ludwika Matyjewicza-Maciejewicza, herbu Brohwich II, co potwierdza dokument świadectwa szlacheckiego nr 1446 z 25 kwietnia 1898 r. Ten Polak, w stopniu pułkownika, zginął w wojnie 1905 roku.

Brat Konstantego - Bronisław Matyjewicz-Maciejewicz to pierwszy Polak, który zginął śmiercią lotnika, 1 maja 1911 roku. W tej samej katastrofie zginął brat Konstantego i Bronisława – Stanisław Matyjewicz-Maciejewicz.

Napisałem w książce poświęconej kapitanowi kapitanów:

Koła monotonnie uderzały o kolejowe podkłady. Konstanty poddawał się nastrojowi chwili. Tak jak niegdyś, chętnie czytał opowiadania Staniukowicza i odtwarzał gdzieś w wyobraźni kreślone słowem morskie krajobrazy, tak teraz oddawał się rozmyślaniami. Przypominał sobie spotkania z Bronisławem i Stanisławem. Tego pierwszego widział przy sztalugach, bo jego wielką pasją było malarstwo. Stanisława zaś – jak siedzi nad swoimi zbiorami entomologicznymi. Obu odwiedzał często w petersburskim mieszkaniu, zawsze, gdy otrzymywał przepustkę na sobotę i niedzielę. Ze Stanisławem widywali się także w korpusie.

Pięknie o braciach pisała Anna Matyjewicz-Maciejewicz. W czasie pierwszej wojny światowej była sanitariuszką na froncie. Podczas rewolucji październikowej kierowała szkołą polską w Kijowie. W 1929 roku aresztowana. Osadzona w obozie na Wyspie Popiej. Potem w Kandalakszy. W 1932 roku wróciła do Polski w ramach polsko-rosyjskiej wymiany więźniów. Została kustoszem w Muzeum Wołyńskim. Po wybuchu wojny osiadła w Mszanie Dolnej. Tam pracowała z ks. Teofilem Skalskim.

Niezwykła, także w kolejnych pokoleniach polska rodzina. Człon nazwiska „Matyjewicz” był obiektem drwin i szykan nowej władzy, która kapitanowi zarzucała szlacheckie pochodzenie.

Wszystko co dotyczy strony 250 wymaga usunięcia i napisania na nowo. Wszystko. Nawet taki drobiazg...

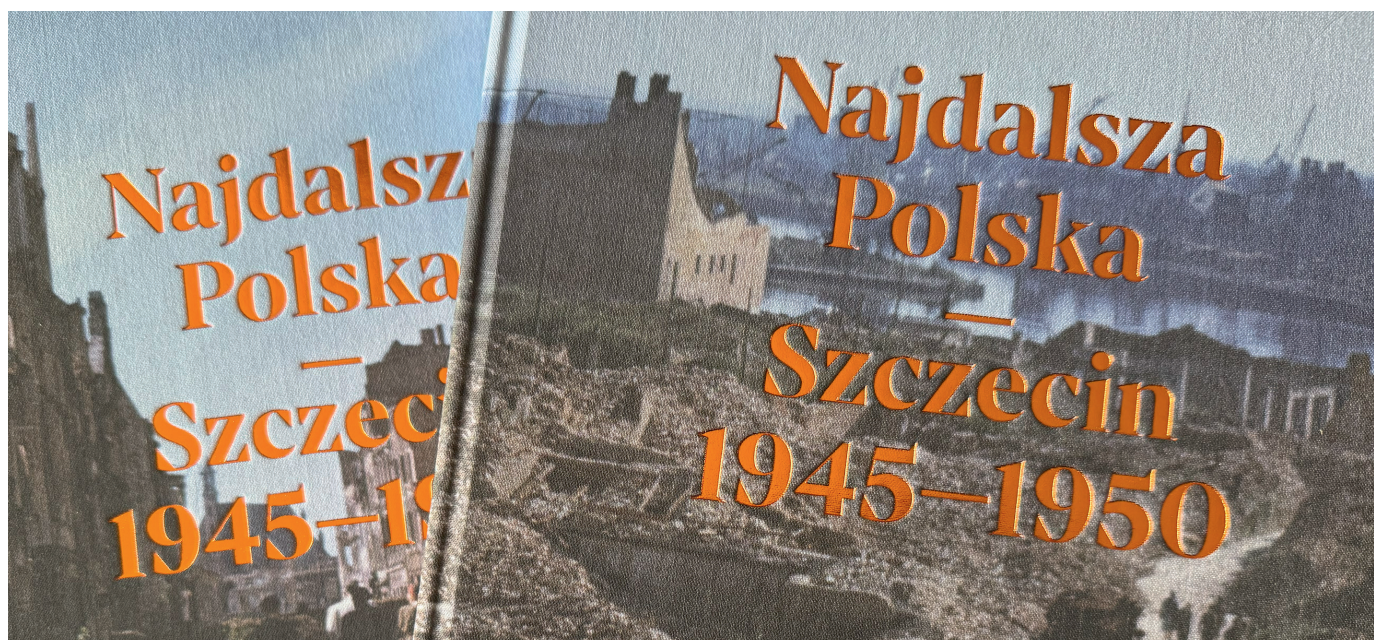
Opis zdjęcia z rejsu „Daru Pomorza” dookoła świata, dokładnie 100 lat temu: „Kapitan Maciejewicz, wówczas dowódca statku Dar Pomorza, w czasie wizyty u japońskich franciszkanów...” Kapitana żaglowca szkolnego tytułowano komendantem.

Str. 253 – „odważne” ale jakże morskie zdjęcie – marynarz całuje ukochaną na tle fregaty „Dar Pomorza”, która cumuje przy reprezentacyjnym nabrzeżu „Wileckiego”??? Jest/było takie w Szczecinie? Wiem, że mamy Nabrzeże Wieleckie.

Str. 256 – Tytuł: Huta „Stołczyn” u ujścia Odry do Bałtyku... Nie miejsce i okazja do kpin. Ale jak można było dopuścić do takiej bzdury? Nie sądzę, aby powyższa rewelacja była wynikiem niewłaściwego zrozumienia regulacji prawnych, które stanowią, że w Szczecinie granica między wodami śródlądowymi a morskimi wodami wewnętrznymi na rzece Odrze przebiega w rejonie Mostu Trasy Zamkowej. Odcinek rzeki na północ od tego mostu jest uznawany za morskie wody wewnętrzne.

Zgodnie z przepisami, morskimi wodami wewnętrznymi są między innymi:

„część Jeziora Nowowarpieńskiego i część Zalewu Szczecińskiego wraz ze Świną i Dziwną oraz Zalewem Kamieńskim, znajdująca się na wschód od granicy państwowej między Rzeczpospolitą Polską a Republiką Federalną Niemiec, oraz rzeka Odra pomiędzy Zalewem Szczecińskim a wodami portu Szczecin”



Ale morskie wody wewnętrzne to nie jest morze!

Str. 260 – "Stocznie szczecińskie – duma miasta".

Jedna strona w dwutomowej książce poświęcona Stoczni - dumie miasta i historii współczesnej.

Bo oto już na stronie 261 – widzimy zdjęcia pięknych szczecinianek. Pierwsza - pracownica zakładów konfekcyjnych, a druga – to pracownica zakładów czekolady i słodczy Odero.

Na kolejnej stronie – rzecz o morskim pociągu.

Bałagan, blagan, bałagan...

Strona 201 - fotografia trzech studentów na schodach Wałów Chrobrego. Siedzą tyłem do Wałów. Podpis; „..skicują detale architektoniczne szczecińskich Wałów Chrobrego. Najpopularniejszym motywem szkiców była rzeźba minotaura z Herkulesem, 1947”. Rzeźby nie wdać.

Sprawdzam: wikipedia. W Szczecinie znajduje się rzeźba przedstawiająca walkę Herkulesa z centaurem.

Centaur i minotaur to dwie zupełnie różne postacie z mitologii greckiej.

"Najdalsza Polska" - książka dla ludzi z wyobraźnią.

Albo wręcz odwrotnie.

Chciałoby się zawołać: czy leci z nami Autor?

Nie znajduję w sobie dość wiedzy i determinacji, by stąpać po tym „polu minowym” jakim jest książka „Najdalsza Polska”. Określenie to odnoszę do przerzuconych stron. Być może są to jedyne błędy, być może dopiero pierwsze dostrzeżenia.

Podkreślam – wrażenie ogólne, gdy przegląda się fotografie i reprodukcje dokumentów jest pozytywne. Nie ma chyba w zasobach szczecińskich pozycji bazującej na ikonografii tak obszernej, co nie znaczy – wyczerpującej lub reprezentatywnej.

Piotr Semka zatytułował swoją książkę „Najdalsza Polska”. Z powyższych błędów, już na tym etapie lektury, jest dla mnie jasne, że Ziemia Szczecińska jest dla Autora o wiele bardziej odległa niż sugerowałby to tytuł opracowania. Jaką opinię wydałby Dziadek pana Semki?

MK: Niektóre wątki traktuje pan wręcz naskórkowo. Np. postaci tak symboliczne jak pastor Dietrich Bonhoeffer, ksiądz Albert Willimsky czy trzeci ze stettinckich duchownych, ksiądz Carl Lampert – opatruje pan ledwie encyklopedyczną notką. Żałuję... A odnoszę wrażenie, że przywołał pan te postaci jako background moralnie bardzo ważny dla Stettina/Szczecina. To miasto było wtedy trzyjęzyczne (przede wszystkim niemiecko-polskie). Protestantkie, katolickie i prawosławne.

PS: Ale równie ogólnie odnosiłem się do wielu, wielu innych „bohate-

rów” tamtych czasów, szczecinian obu narodów, ważnych dla kształtowania początków polskiego już Szczecina. Aż prosiło się, aby głębiej, pełniej odnieść się do listy osób, które, ze względu na ich postawę patriotyczną, stracono w więzieniu przy ulicy Kaszubskiej. Tylko jak miałbym postąpić, skoro historycy ciągle zgłaszają tu zastrzeżenia. Nie ma pewności, kto został stracony i w której kaźni. Poza Kaszubską - miejscem zbrodni były jeszcze dwie siedziby służby UB – przy Małopolskiej i drugi urząd miejski – przy ulicy 3 Maja, gdzie teraz funkcjonuje Technikum Hotelarskie. Tak, wiele spraw o charakterze spornym co do ich jednoznacznej oceny historycznej – pominąłem lub ledwie dotknąłem. Na przykład rola Szczecina jako punktu przerzutowego kurierów polskiego podziemia niepodległościowego po drugiej wojnie światowej. Stawiam znaki zapytania. Liczę, że uda mi się sprowokować naukowców do głębszych badań. Kolejny temat – losy szczecińskiego PSLu Mikołajczyka. Temat praktycznie przez nikogo nie opracowany. W książce przywołuję dwie postaci, które dochowały wierności tej idei do końca. Myślę tu o Janie Cybińskim i jego prawej ręce - radykalnym działaczu Edwardzie Błaszczaku. Nie utrwalono pamięci o tych ludziach choćby poprzez nazwanie ulic ich imieniem w Szczecinie.

Ostatnie choćby lata pokazują, jak nietrwałymi nośnikami pamięci są nazwy ulic, skwerów czy parków. W miastach takich jak Szczecin czy Wrocław, które w jedną noc niemalże całkowicie wymieniły swoich mieszkańców – do dziś nie uporano się z dziedzictwem budowniczych tych miast i późniejszych ich użytkowników. Nazwy ulic zmieniano z powodów politycznych. Kolejny wiatr historii może zmieść te nowe tabliczki. Dawną logikę i konsekwencję w opisywaniu i charakteryzowaniu dzielnic zamieniono po 1945 roku na doraźność, przypadkowość i koniunkturalizm polityczny. W nazwach ulic sąsiadują ze sobą postaci, które nigdy by nie stanęły obok siebie, pojawiają się odwołania do wydarzeń historycznych czy faktów, które rodzą skrajne emocje.

Nie jesteśmy zdolni uszanować idei ojców założycieli. W racjonalnym ma się rozumieć – wymiarze. Trudno zachować nazwę ulicy śmiertelnego wroga ludzkości. Zbrodniarza. Ulice jego imienia przemianowano na emocjonalne określenia w rodzaju Aleja Wyzwolenia, Wolności, Niepodległości, Zwycięstwa, Triumfu. Po latach, po wielu latach nikt już nie będzie pamiętał, do której z glori te nazwy się odwołują.

MK: Polski Szczecin... Myśmy tu nie przyszli, myśmy tu wrócili, słowiańszczyzna, a w pewnym uniesieniu i zaślepieniu patriotycznym – nawet „piastowski” Szczecin. Tak, tylko cel polityczny potrafi zamienić „czarne na czarne”.

PS: Myśl o Szczecinie i Odrze jako punkcie i rzece granicznej ma

Do Polaków wracających z Niemiec Rodacy!

W imieniu wolnej Ojczyzny witamy Was w
ziemiach, które po kilkusetletniej nie-
napowrót do Polski. Pomoc
jące po Odrę i
z m



Collage zdjęć z książki „Najdalsza Polska”. Odezwa do Polaków wracających z obozów, oflagów i prac przymusowych w Niemczech, fotografia Niemców opuszczających Szczecin i wagon-mieszkanie Polaków, zdążających do wolnej Polski.

swoje tradycje sięgające wieku XIX. Za nieuczciwe uważam głosy, które mówią, że te kwestie są wynalazkiem dopiero epoki bierutowskiej czy gomulkowski. Odwołuję się do życiowej, przedwojennej pracy księdza Stanisława Kozierowskiego, który badał nazwy słowiańskie tych terenów. Bez jego studiów nie udało by się po wojnie tak szybko i sprawnie przeprowadzić zmiany nazw miejscowości na właśnie słowiańskie. Przypisać muszę, że wiele wątków doszukiwania się słowiańskiej przeszłości tych ziem jest naciąganych. Ale trzeba umiejętnie oddzielać źródła historyczne i archeologiczne od demagogii i ideologii. Wiele informacji dostarczyły mi m.in. cztery sesje organizowane przez Wydział Teologiczny USz oraz IPN. Albo wystawa przygotowana przez dra Tomasza Ślepówrońskiego na temat Szczecina w latach II wojny światowej czy wreszcie praca pani dr Małgorzaty Semczyszyn o młodzieżowych organizacjach konspiracyjnych po wojnie.

MK: Jednak dziś najwięcej emocji budzą szczecińscy bohaterowie lat pierwszych. Piotr Zaremba i...

PS: ...i Leonard Borkowicz. Oczywiście. Wiem, że obie postaci do dziś są pretekstem ostrych sporów politycznych.

MK: Książka pańska trafia w nasze ręce w momencie szczególnym. Kilka kilometrów od centrum miasta o umysły Niemców walczy skrajna partia AfD. Prorosyjska, przywołująca najbardziej nieprzyjemne nam wydarzenia z historii. Sam Szczecin jest tym miastem w Polsce, które najpóźniej uzyskało gwarancje i pewność swojej polskiej przynależności państwowej. Niepodpisanie traktatu pokojowego z Niemcami po II wojnie światowej wstrzymywało wiele działań na rzecz rozwoju tego ośrodka i regionu.

PS: Ja poświęciłem tym zagadnieniom cały rozdział. Przypominam, jak wiele samozaparcia trzeba było wykazać, aby wytrwać w decyzji, że tutaj będziemy budowali nowe życie. Ma pan rację, dopiero w 1970 roku, kiedy kanclerz Willi Brandt podpisał traktat uznający granice między naszymi państwami, nikt nie mógł mieć całkowitej pewności, że pozycja Szczecina jest niezachwiana. Tak dalece labilnej sytuacji nie miały Katowice, Gorzów czy Gdańsk. Ta linia Odry, której Polacy trzymali się tak kurczowo budziła wielkie emocje co do przyszłości Szczecina.

MK: Ale także Świnoujście czy Wolina...

PS: ...całej wyspy Uznam.

MK: Świnoujście od zawsze miało bodaj trzy ujęcia wody pitnej dla miasta, zlokalizowane po niemieckiej stronie granicy.

PS: Te argumenty miały wpływ na ostateczny przebieg linii granicznej.

MK: Nie jestem pewny. Przeprowadzenie linii na mapie czy w terenie to czynność techniczna. Ale jak powiedzieć ludziom tu urodzonym, wychowanym, wrośniętym w zawód, w swoje cmentarze, że mają się stąd wynieść. Ich, wielu z nich, nie interesowała żadna polityka czy względy narodowościowe. Oni upierali się przy jednym: my jesteśmy stąd. Od zawsze. Nie chcemy odchodzić. Nie zapominajmy też o tym, że osiemdziesiąt czy sto lat temu poczucie przynależności narodowej, świadomość państwowości były dalece słabsze niż dziś i dla wielu ludzi istotna była ich tożsamość regionalna. Rybacy zalewowi czy bałtyccy - dokąd mieliby pójść? Do jakichś Niemców? A skąd tu teraz jakaś Polska się pojawiła? My jesteśmy u siebie.

PS: Mówi pan o rybakach. A ja pokazuję ich także od innej jeszcze strony. Oni pełnili funkcje najlepszych przemytników kurierów polskiego państwa podziemnego. Na przykład Walter Kokorzyński, pseudonim „Walter”. Skazany na śmierć. Pytam: byli ci ludzie patriotami czy zwykłymi szmuglerami? Pamiętajmy, że ludzie wtedy doskonale rozumieli, że wszędzie tam, gdzie pojawia się polityka, tam grożą im najwyższe kary. Podaję również przykład szmuglerów pochodzenia żydowskiego. Jeden z nich został skazany na śmierć i wyrok wykonano. Ci ludzie mieli pełną świadomość ponoszonego ryzyka.

MK: Skoro o patriotyzmie i narodowościowych wątkach mówimy.... Badania wykazały, że Szczecin nie był miejscem zsyłki ludzi wysiedlanych ze Wschodu. To był jednak ten legendarny „dziki zachód”, strefa wielkiej, nowej szansy życiowej.

PS: Niemniej żywioł wileński jest tu wyraźnie dominujący. Obraz Matki Boskiej Ostrobramskiej cieszył się na tych terenach szczególną atencją. To była jedyna forma demonstracji pochodzenia nowych mieszkańców tych ziem. Podobnie racjonalnie trzeba spojrzeć na twierdzenie, że cały Wrocław to z kolei przeniesiony na tamte tereny Lwów i jego okolice. Ale proszę pozwolić, że zwrócę uwagę na inny jeszcze aspekt, na to poczucie wolnościowe, na ilość rewolt

antykomunistycznych, wzniecanych na tym terenie. To Szczecin zdecydowanie dominuje wśród innych miast odzyskanych. Nie może ze Szczecinem równać się ani Wrocław, ani Gdańsk, gdy mówimy o żywiole narodowościowym. A takie emocje i nastroje tkwią w ludziach o silnych korzeniach polskości. Pierwsza demonstracja antykomunistyczna to jesień 1946 roku, w czasie manifestacji „Trzymamy straż nad Odrą”. Następnie demonstracja z okazji 3 Maja. Dalej – 1951 rok – zamieszki uliczne związane z postrzeżeniem kobiety przez pijanego Rosjanina, który balował w lokalu przy ówczesnej Obrońców Stalingradu, dziś Stanisława Bałuki. 1956 rok – demonstracja w obronie Węgier, połączona z podpaleniem konsulatu sowieckiego. Grudzień 1970 roku to jest w gruncie rzeczy dopiero piąty zryw tutejszej świadomości politycznej. Na kolejną czekaliśmy do sierpnia 1980 roku.

MK: Pominął pan 1968 rok... Czy dobrze pamiętam? Festiwal poezji Gałczyńskiego, studenci przy Placu Żołnierza, w zwartym marszu...

PS: Oczywiście, demonstracja pod pomnikiem Mickiewicza z paleniem gazet. Wszystkie zrywy szczecińskie były inicjowane od dołu, jeśli tak można powiedzieć. Miały swój ludowy rodowód. Niestety, brakuje rzetelnych opracowań, analiz tamtych wydarzeń. Przekaz o wydarzeniach z kwietnia 1946 roku budowano ze wspomnień harcerzy, którzy tu zjechali. O roku 1951 dowiedzieliśmy się w gruncie rzeczy czegoś więcej dopiero w połowie lat 90. XX wieku. Marzec 68 nie ma swojej dokumentacji. Grudzień 1979 był na tyle spektakularny, że zachowało się wiele dokumentów. Ale z kolei brak śladów w literaturze...

MK: ...opublikowanej! To interesujący temat, ale chyba wart osobnego omówienia. Reakcja literatów na bieżące wydarzenia napotykała na cenzurę. Utwory pełne żarliwości, napisane tu i teraz, ale wydane po latach leżakowania na półce – nie wzbudziły już emocji.

Pamiętam wiele rozmów, szczególnie po grudniu 70 roku w redakcji radiowej przy Niedziałkowskiego... Staszek Wit Wiliński był ich inicjatorem. Pamięć o tamtych epizodach, może nie tych z okresu tuż powojennego jednak była obecna. Myślę, że właśnie rok 1970 i właśnie środowisko radiowe, red. Zbigniew Puchalski i jego rola jako społecznego mediatora, a radio jako źródło relacji, informacji - odegrało istotną rolę w ośmieleniu nie tylko twórców do przypominania faktów, ale publicznego, otwartego mówienia o tym, że dzieje się źle, że ludzie protestują. Nie zapomnę późniejszych wielogodzinnych rozmów z red. Zbigniewem Puchalskim na temat tej próby sił ze służbami. Najlepszą egzemplifikacją, poza praktykami jakie Naczelny wtedy wprowadził – nagrywania wszystkich rozmów z władzą – jest reportaż pokazujący jego samego podczas prowadzenia dialogu między stoczniovcami, a przerażoną służbą bezpieczeństwa i pogubionym całkowicie komitetem Wojewódzkim PZPR. Red. Puchalski komentował tamte wydarzenia w reportażu Agaty Rokickiej - "Szachista", Uważam, że red. Puchalski był wręcz reżyserem pokojowego, a nie siłowego i morderczego zakończenia wystąpień robotniczych w 1970 roku.

PS: Nie wspomnieliśmy o drobniejszych epizodach, choćby ze stycznia 1971. Ale podkreślę, że Stocznia i Szczecin określono wtedy „awangardą klasy robotniczej”. I znów – nie sposób wszystkie fakty i postaci ukazać w należytym im wymiarze, nawet w książce dwutomowej. Ja dopominam się o postać ojca Łukasza Czumy. Człowiek, który wykreował całą generację działaczy opozycyjnych, aktywnych w okresie 1976-1980. Solidarność szczecińska nie powstała na nagiej ziemi. Było tu silne środowisko KPN, Ruchu Młodej Polski, współpracownicy KOR, a więc działała tu pełnowymiarowa opozycja. Pomoc prawną niosły tym środowiskom postaci z okresu 1945-1948. Pan Roman Łyczewek jest tu doskonałym przykładem. No i kapłani – ksiądz Bronikowski, którego za odbudowę kościoła św. Stanisława Koski spotkały ostre represje. Przypominam także tych kapłanów, aktywnych w najwcześniejszym okresie, choćby ksiądz Florian Berlik i Kazimierz Świątliński. Ten drugi był kapłanem oddziałów generała Hallera, którzy zajmowali Pomorze, a on sam w 1920 roku uczestniczył w zaślubinach Polski z morzem. I tenże kapłan objął parafię w Szczecinie w czasach, gdy rządili tutaj niemieccy komuniści. Temu epizodowi poświęciłem osobny rozdział w książce.



Prezydent Piotr Zaremba

Aspekt morski... Jednak Stettin był bardzo ważnym miastem niemieckim ze względu na jego położenie geograficzne i bardzo rozwinięte wszystkie sfery gospodarki morskiej. Jedną z najciekawszych książek okresu dwudziestolecia międzywojennego jest „Rocznik statystyczny” z 1938 roku. Wracam do jego lektury od czasu, gdy niezwykłym zrzędzeniem losu stałem się posiadaczem egzemplarza tego wydawnictwa. Stettin był wtedy solą w oku Gdyni. Cała polityka morska związana z uzyskaniem przez Polskę dostępu do morza po pierwszej wojnie światowej mierzyła się nieustannie z dokonaniem i pozycją Stettina. Jednego atutu tego portu Gdynia nigdy nie mogła pokonać – położenia. Każdy statek, po wejściu na wody Bałtyku musiał z towarami płynąć do Gdyni nawet dwa dni dłużej, podczas gdy w Świnoujściu i Szczecinie rozładunek czy odlichtunek, a tym samym skrócenie drogi towarów do odbiorców w kraju było o te dwa dni przyspieszone.

PS: Oczywiście! Środowisko Gdyni protestowało! Po co nam Stettin, rozwijajmy Gdynię!

MK: Ale port i szlaki morskie po 1945 roku nie pracowały całą swoją mocą na rzecz miasta i ludzi. Ile lat port był ogrodzony i strzeżony przez żołnierzy radzieckich? Co się działo za tym płotem? Polska nie wykazywała - moim zdaniem - dostatecznej troski, ba – determinacji, by natychmiast i bezwarunkowo zagospodarować morską część miasta.

PS: Komuniści niemieccy, który sprawowali tu władzę po kapitulacji Niemiec wykorzystywali głosy z Gdyni i szukali wszelkich argumentów, którymi mogliby wpłynąć na radzieckich okupantów, by ci pozostawili Szczecin po stronie niemieckiej. To oczywiste, jasne i karygodne. Szczecin, począwszy od lat 80. XIX wieku był głównym portem eksportowym całego zaplecza gospodarczego wokół Berlina. Na terenie NRD nie było konkurencyjnego portu. Wismar koncentrował się na obsłudze jednostek rybackich. Rostock – zaledwie czwartą część mocy Szczecina sobą wtedy reprezentował.

MK: Mówi Pan - władzę - chyba administrację? Ale nawigacyjnie Rostock nigdy nie będzie w stanie mierzyć się ze Szczecinem.

PS: Oczywiście, awanportem Rostocku było Warnemünde. Tam mogły wpływać jednostki o mniejszej wyporności. Ale ważniejszy wydźwięk miał argument nakazujący pełną kontrolę nad portem w Szczecinie przez administrację niemiecką, która – podkreślam – dbała, aby tym szlakiem wywozić do Rosji poniemiecki tabor przemysłowy, ewakuować fabryki czy eksportować towary właśnie bezpośrednio do Rosji. Poza tym – argument niezwykle mocny – ludność Szczecina, ta niemiecka, to byli od lat wykształceni, wyuczeni i przygotowani ludzie do obsługi portu, stoczni, rybołówstwa. I tylko ci ludzie będą w stanie szybko i sprawnie odbudować morską tkankę miasta. Natknąłem się nawet na opinie brytyjskich specjalistów, którzy wzmacniali tę argumentację. Mówili wprost: Polacy nie są w stanie odbudować tak skomplikowanej infrastruktury morskiej jaką był Stettin. NRD bardzo przeżyło odebranie im Szczecina. Zabrali się za rozwój Rostocku. Ale nie przestawali w wysiłkach mówiąc: RFN ma Bremę i Hamburg, a dla NRD naturalnymi portami jest Rostock i Szczecin. Oddajcie nam Szczecin. Polacy mają przecież Gdańsk i Gdynię. Proszę przeczytać ten list władz niemieckich w sprawie Szczecina. Umieściłem go w książce. My, niemiecka administracja, będziemy bardzo dobrym zarządcą portu i spełnimy wszystkie oczekiwania rosyjskich władz okupacyjnych. Polacy mieli tylko jeden argument – stwierdzenie Stalina, że granica ma przebiegać na zachód od Szczecina. Na zachód.

MK: Stąd też wieloletni, do dziś pokutujący niedorozwój olbrzymiej części zachodniego Przedpomorza i części Brandenburgii. Ujście Odry i Szczecin to dla tych regionów były naturalne czynniki rozwoju gospodarczego.

PS: Ależ naturalnie. Nie zapominajmy, że źródłem tego stanu rzeczy był tak zwany Ostflucht – ucieczka ze Wschodu, a więc ruch emigracyjny w stronę Niemiec kontynentalnych. Berlin wysłał siłę roboczą obecnego Pomorza Zachodniego. A Prusy wschodnie dostarczały ręk do pracy w zagłębiu Ruhry. Proszę rzucić okiem na mapę, którą publikuję w książce, stworzoną w 1938 roku ukazującą sytuację populacji na terenach polskich i niemieckich. Niemcy ostrzegali, że ekspansja Polski bardzo się nasila i... grozi definitywnym przejęciem Szczecina! Obok tej mapki znajduje się materiał na temat zupełnie kuriozalnej akcji pruskiej propagandy, tworzącej mit wzorcowego Pomorzanina. W czasach nazistowskich ten mit doprowadzono do absurdu twierdząc, że Pomorzanie to są wzorcowi Germanie. Tej idei sprzyjał rozwój aglomeracji miejskich. Tam germanizacja postępowała o wiele szybciej niż na zapadłej wsi.

Utrata Szczecina przez rosyjską strefę okupacyjną miała katastrofalne skutki gospodarcze dla NRD. Pamiętajmy, że Stettin, poza portem i stocznia, był ważnym ośrodkiem przemysłowym. Mógł pracować na rzecz Rosji. Tu była fabryka samochodów. Tu w zakładach metalowych stosowano najnowsze technologie, budowano wielkie konstrukcje. A zaplecze militarne? Świnoujście, które w naturalny sposób było połączone gospodarczo ze Stettinem to przecież wielka baza Kriegsmarine. Utrata tego zaplecza musiała mocno zboleć. Poza tym – Stettin to był ośrodek naukowy, miał silną politechnikę. Dowodem niech będzie fakt, że do 1957 roku stosowano wiele ograniczeń dla wysoko kwalifikowanych specjalistów niemieckich, którzy chcieli wyjechać do Niemiec. Nie, oni musieli najpierw wychować swoich następców. Szacuje się, że społeczność fachowców niemieckich pracujących nad przywróceniem sprawności stoczni i portu to dziesięć tysięcy osób.

MK: Doprowadza pan swoją opowieść do roku 1950.

PS: Ale kończę na śmierci Stalina. Uznałem rok 1950 za ważną cezurę. Wtedy odchodzi ze stanowiska prezydent Piotr Zaremba. Stawiam też tezę, że między 30 kwietnia 1945 roku, kiedy na maszt na Wałach Chrobrego wciągnięto polską flagę i do końca stycznia 1946 roku możemy mówić o Rzeczypospolitej Szczecińskiej. To był fenomen organizacyjny. Niezależny w żadnym stopniu od komunistycznych wpływów. Dopiero w kwietniu 1946 roku, od dnia przyjazdu pierwszego sekretarza partii Wiktora Kłosiewicza sytuacja radykalnie się zmieniła. Okres pierwszych rządów Piotra Zaremby należy uznać za właśnie fenomen. Borkowicz zajmował się województwem,



a w mieście wszystko zależało od Zaremby. Borkowicz objął urząd w lutym 1946. Do tego czasu Szczecin pozostawał poza wpływami ekipy Bieruta.

Książka Piotra Semki zyskała pierwsze „recenzje” zanim się jeszcze ukazała. Powtórzę - Autor tak wyrazisty i rozpoznawalny, a tym samym przypisany do określonej strony polskiej polityki musi wzbudzać różne emocje. I – jak mi powiedział – niektóre zasoby i zbiory zdjęć były dla niego niedostępne. Jedni mówili, że właśnie jemu tych zdjęć nie udostępnią, inni, że materiał nie jest uporządkowany.

PS: Tak, w kilku miejscach ugoszczono mnie czarną polewką. Także w instytucjach takich jak Muzeum Narodowe w Szczecinie, dział poświęcony malarstwu¹. Żałuję, ale nie mogę wykluczyć, że ten czy ów mógł mieć podejrzenie, że wydawnictwo będzie zabarwione politycznie.

MK: Konsekwencje pańskiej wyrazistości politycznej...

PS: Prosiłem wojewodę Boguckiego o wsparcie inicjatywy. Nie otrzymałem żadnej pomocy. Brak zainteresowania potwierdził także prezydent miasta. Do marszałka się nie zwracałem. Nauki historyczne w środowisku szczecińskim podlegają silnej oligarchizacji. Są naukowcy, którzy mają jakby patent na rację. Uznają, że dzieje miasta są zarezerwowane wyłącznie dla ich badań. Kiedy zwracałem

się o pomoc, słyszałem: a dlaczego pan? A nie można było powołać szczecińskiego zespołu, który opracowałby ten temat?

Można było. Tylko dlaczego tego nie uczyniono? Osiemdziesiąt lat polskiego Szczecina to zbyt błądy powód?

Podsumowanie

Kieruję te słowa do wielkiej trójcy, która nawet, jeśli jeden drugiemu stanie na barkach, nie będzie dostrzeżona z perspektywy Historii.

Panowie – prezydencie, wojewodo, marszałku!

O osiemdziesiątej rocznicy polskiego Szczecina wszyscy ludzie na świecie wiedzą dokładnie od osiemdziesięciu lat. Tylko nie wy. Do końca lutego zbierano oferty i pytania – co, kto ze szczecińskich środowisk miałby do zaproponowania na rocznicowe *last minute*.

Oto moja korespondencja z rzecznikiem marszałka:

Czy jest ostatecznie zamknięty program obchodów 80 rocznicy polskiego Szczecina? Udział gości z Niemiec? Współpraca z Miastem?

Rzecznik marszałkowski: Plan obchodów 80. rocznicy zakończenia II wojny światowej nie został zamknięty.

O co ja pytam i na jakie pytanie otrzymuję odpowiedź?

Halo Mars! Halo Mars! Tu Ziemia! Ja pytam o początek polskiej powojennej historii Szczecina, a nie o paradę zwycięstwa na Placu Czerwonym z okazji zakończenia wojny.

Nie wiem, ile kosztowało nas wszystkich wydanie książki pana Piotra Semki. Brak w niej indeksu, bibliografii, wykazu źródeł co eliminuje ją – na szczęście – z rzędu prac naukowych. W rozmowie telefonicznej Autor wyjaśnił – nie było czasu na indeksy, groziło niedotrzymanie terminu realizacji zadania – koniec roku 2024. "Wisiąła nad nami groźba cofnięcia dotacji".

Kasa zwyciężyła!

Ale kosztami moralnymi tego wydawniczego ewenementu powinniście Trójco Szczecińska, zostać Panowie obarczeni. Wasza nieobecność tu i teraz, w mieście i regionie, całkowite oderwanie od banału codzienności jakim jest osiemdziesiąta rocznica miasta – owocuje plonem o wiele mówiącym (o was) tytule – Najdalsza Polska.

Ja – wysiadam.

Od: Daniel Źródlewski
Temat: ODP: Książka Piotra Semki
Data: 4 marca 2025 o 14:01:27 CET
Do: TVSiodemka <7@tvsiodemka.pl>

Szanowny Panie Marku,

współpraca MNS z Ośrodkiem Pamięć i Przyszłość z Wrocławia, wydawcą książki pana Piotra Semki, jak zawsze, była poprawna, bez żadnych problemów czy przeszkód. Współpracujemy ściśle od wielu lat, [m.in.](#) przy projektach Muzeum Narodowego w Szczecinie–Centrum Dialogu Przelomu. Materiały (fotografie czy reprodukcje wraz z odpowiednimi licencjami i uregulowaniami związanymi z prawami autorskimi), które były w posiadaniu Muzeum, zostały przekazane Wydawcy. Te, które nie miały podstaw prawnych, albo pochodziły ze zbiorów prywatnych (depozyty lub dary – brak zgody właścicieli na inną, niż wystawa, przestrzeń eksploatacji) z przyczyn obiektywnych nie mogły być udostępnione. Część obiektów, o które zwracał się Wydawca, nie były w kolekcji MNS, a w zbiorach innych instytucji, [m.in.](#) Archiwum Państwowego czy Książnicy Pomorskiej.

serdeczności
Daniel Źródlewski
rzecznik prasowy

Muzeum Narodowe w Szczecinie
70-561 Szczecin, ul. Staromłyńska 27



ROZDZIAŁ XXVII

Z cyklu: ...**piaszczenie życia**

Autor: Christian Agat

Tłum. z języka morskiego: Keram Ruszok

Od Autora

Najpierw wybierz jeden z sześciu wskazanych poniżej tytułów. Po przeczytaniu obu tekstów na następnej stronie – wróć tutaj, wybierz inny tytuł i znów przeczytaj całość. Zrób tak sześć razy. A potem zacznij przestawiać tytuły albo zacznij czytać najpierw Jego, a potem Jej myśli. Ot, taka gra w klasy...

Możesz też zacząć czytanie od Jego strachu... Albo od Jej niepewności.

Te zabiegi są absolutnie konieczne i niezbędne, jak sos ostrygowy do jagnięciny po duszańsku.

Sprawdź, jak żonglowanie dwoma słowami zmienia widzenie świata, ciebie i nas.

Zakłamana prawda

Skłamana prawda

Kłamliwa prawda

Prawda kłamstwa

Prawdziwe kłamstwa

Prawda w kłamstwie

Morski brzeg, z lewej strony dojrzała, poważna kobieta, z prawej dojrzały, poważny mężczyzna. Patrzą sobie w oczy, ale widzą swoje twarze sprzed 27 lat. Każde drugiemu chce coś powiedzieć, ale nie słyszą niewypowiedzianych słów. Wokół wiruje szum morza i gwar dzieci bawiących się na piasku. Siedzącym w leżakach ludziom wydaje się, że kogoś na brzegu widzą, ale nie potrafią ich dostrzec.



ONA

Ty? Naprawdę ty? A ja taka... I ta bluzeczka... Jestem zaskoczona Pana widokiem... to znaczy - twoim widokiem. Ty tutaj...? Mimo tylu lat ciągle nie mogę się oswoić, że któregoś dnia zażydałeś, bym ci mówiła po imieniu. No bo to niby jak, tak po prostu, mam do Pana mówić... ty? Nie... Twoje imię pali jak rozżarzone żelazo.

A, bo ty nie wiesz, że dla wszystkich, z którymi pracowałeś, byłeś bogiem. Ci nad tobą też mieli z tym problem. Wszyscy wiedzieliśmy, że bez ciebie niewiele znaczymy. A oni - nigdy nie kryli się z tym, że chcieliby cię zamordować skrycie, najlepiej podczas największych igrzysk, przy wiwatującym tłumie. Tchórze...

Więc kiedy przed chwilą zobaczyłam, jak idziesz brzegiem morza, z tym twoim nic niewidzącym wokół siebie wzrokiem, umarłam po raz drugi. Jak wtedy, w twoim mieszkaniu, w wannie... Woda była moją jedyną ochroną. No i klucz w zamku...

Tak naprawdę nigdy nie przestałam być roztrzęsiona, poszarpana i pokąsana. To tylko, zaraz... policzyć... to 27 lat... Dla mnie nawet nie chwila.

Nie, ty nie raniłeś. To byłoby trywialne, takie powieściowe. Ty wypalałeś dziury, dematerializowałeś mnie, wypełniając sobą wykrzyczane wyrwy. Zbiłam lustro, by nie musieć oglądać ciebie we mnie. Odciełam wszystkie miejsca, które dotknąłeś. Sam widzisz... Nie ma mnie.

Nie, nie cierpiałam. Ja nie znam innego stanu nad strach przed tobą. Ta twoja boskość do dziś wypełnia mnie bez reszty. Taką głupiotką, zero znaczącą. Im bardziej wsiąkałam w ciebie, a ty stawaleś się coraz bardziej nie do ogarnięcia. Z tą twoją siłą we mnie, nie czułam się lepsza czy mądrzejsza.

Tak. Bałam się ciebie.

Znikałam dla samej siebie, gdy wpadałeś w gniew, gdy gromiłeś, karcieś, pokazywałeś każdemu z nas, którymi zerami po przecinku jesteśmy. Ty wiedziałeś wszystko - my nic. A ja miałam współpracować z tobą bezpośrednio.

Bezpieczna czułam się wtedy, gdy po kolacji, kilku drinkach przychodziłeś do mojego pokoju. Tylko przy mnie zaczynałeś tajać.... Żartowałeś, rozpuszczałeś ten swój czarnoksięski pył świetlny. Mówiłeś coraz wolniej, ciszej, patrzyłeś na moje dłonie. A ja nie mogłam ich opanować. Jedna chowała się w drugą, a ta uciekała chcąc się tą pierwszą przed tobą osłonić.

Wymyślałam tysiąc odpowiedzi na wypadek, gdybyś zapytał mnie o te roztrzęsione dłonie. Zaczęłam je chować za plecami, ale wtedy wpa-

dałam w panikę, bo w ten sposób oddalałam się od ciebie. Więc drżałam i łowiłam wibracje twojej tolerancji dla mojej osoby.

Tak, wtedy byłam z kimś związana. Zapytałeś, czy to poważne? Co miałam odpowiedzieć? Zrobił wszystko, co mu powiem - kpiłam. Odniosłam wrażenie, że spodobała ci się ta odpowiedź. Taka trochę w twoim stylu. „Cicho, wiem, co jestem wart”.

Kiedy dziś zobaczyłam cię na brzegu, mimo iż szedłeś od strony zachodu słońca, a ono mnie oślepiało, kryjąc twą twarz w cieniu, znów poczułam te kamienie przewalające się w moim brzuchu. Miniesz mnie, pomyślałam, nie zauważysz i wszystko będzie jak zawsze. Kolejne 27 lat będę na ciebie czekała w przekonaniu, że jutro na pewno cię spotkam, albo że zadzwonisz. Przypominałeś mi o sobie co mniej więcej cztery lata, wiesz? Ale raz to ja wysłałam do ciebie taki pisk z przedmieść niebytu... Zarastałam dzikością. Po pierwszych dwóch latach ledwie można mnie było zza niej dostrzec, po trzech - jej korzenie wrosły we mnie, a gdy dzikość zaczynała przejmować kontrolę nade mną - wtedy ty dzwoniłeś... Skąd wiedziałeś, że umieram?

Stałam przed tobą naga, bez wstydu i poczucia wartości. Forma, czekająca na wypełnienie. Nie wysilałeś się jednak zbytnio.

Właściwie niczego mnie nie nauczyłeś. Ciągle nie umiem słuchać muzyki, nie rozumiem teatru, zamykam oczy na widok poezji. Z dwóch połówek jabłka mogę co najwyżej złożyć jedno całe, ale przekrojone na pół. Ty na dwóch połówkach budowałeś cały wszechświat, z którego niczym dojrzałe czereśnie, bez najmniejszego wysiłku zrywałeś moje uczucia, wrażenia, emocje, doznania i zachwyty. Ze smakiem wypluwałeś pestki. I znów wszystko kręciło się wokół ciebie.

Nie pamiętam, czy przed chwilą, tam na brzegu to ja odezwałam się pierwsza? Rozmawialiśmy? Pytałeś mnie o coś? Opowiadałeś, ucieszyłeś się? Nie. Nie pamiętam. Odezwalaliśmy się do siebie?

Jak to się stało, że siedzimy w tej kawiarence? Jej wnętrze jest jak wielki worek foliowy. Duszę się tutaj. Cały świat pozostał za zmatowionymi wielkimi płycinami okiennymi. Słońce majaczy, upojone ledwie rysującym się morzem... Zewsząd dobiega rozmazany gwar i krzyki dzieciarni.

Nigdy wcześniej nie byłeś tak boleśnie realny.

Kręci mi się w głowie. Tracę pewność, czy spotkałam ciebie - mojego i prawdziwego, a nie fatamorganę? Muszę nad sobą zapanować, bo wpadnę w panikę.

Ja przez 27 lat wymyślałam to nasze spotkanie. Przygotowałam każdy jego moment. Wiedziałam, to jasne, wiedziałam, że cię spotkam, że nastąpi to zapewne jutro, najdalej pojutrze, ale nie... dziś! Ta pewność jutra trzymała mnie przy życiu. Rozumiesz? Miałam spotkać cię jutro. Nie dziś! Kim więc jesteś? Odejdź, bo ja czekam tu... na ciebie...

Nie, to nic, to od tego słońca. Przepraszam, ale ono tak bardzo mi świeci w oczy.

Zadławiłam się. Tak, to od tej lodowatej wody. Nigdy takiej nie pijam. I od słów pustych, które mi podsuwasz, a ja głupia je chwytam.

Zawsze chwytalam.

Znów patrzysz na moje dłonie? Znów nie słyszę, co mówisz. Nic nie mówisz? Czuję się jak wiolonczelistka w orkiestrze, otoczona twoją symfonią, ale mnie samej nie jestem w stanie wyłowić z tej kakofonii emocji. Dlaczego ciągle patrzysz na moje dłonie...? Kiedyś były mocno zacisnięte wokół twojej szyi. Jak ja chciałam, byś wsunął mnie pod swoją skórę, wilgotną od whisky. Czuję jej smak bardziej niż gorycz twojej nieosiągalności.

Tak, wiem, masz wnuki, przysłałeś mi kiedyś zdjęcie. Zachowałam je. Hm... wiesz, że moglibyśmy mieć już własne?

Wtedy, u ciebie... To był ostatni raz. Tańczyliśmy, całowaliśmy się. Nie, nie pamiętałam, że to był dwudziesty siódmy koncert Mozarta. Nic nie pamiętam. Bo poza tobą na nic innego miejsca we mnie nie było.

Właśnie wtedy postanowiłam odejść. Bo już nic ze mnie nie zostało. Zamiast siebie - miałam ciebie całego. Coś we mnie pękło jak najczarniejsza gwiazda, której zniknięcie wszechświat odczuł wręcz radośnie, gdy rozpadła się na milion niezmiierzonych kosmosów. Powiedziałeś - ja, przeze mnie? A co ja mogę? Ja jestem ledwie cieniem... motyla!

Uciekłam. Zmieniłam pracę. Zbudowałam labirynt z nieudanych związków, a syna widuję tylko wtedy, gdy nie ma już pomysłu na wymówkę, że coś nie pozwala mu dziś do mnie wpaść.

Całe ostatnie życie zapakowałam do garażu koleżanki. Dziś wyrzucę kanapę, którą kocham, ale jest dla mnie za duża. Ciągle się mebluję, przestawiam, nic mi nie wychodzi. A okien w mieszkaniu nie mam. Właściwie tylko duże drzwi balkonowe. To mieszkanie jest jak gablotka. Dla... tekturowej farfury.

27 lat... Chciałabym zobaczyć ten twój wielki dom, ten sad i łąki. Morze zieleni. Morze powietrza. Jesteś tam zawieszony, gdzieś między ziemią, a niebem. Jak ptak. Ale... sęp też jest ptakiem...

O, świetne zdjęcie... A wiesz, że nie jesteś podobny do żadnego z twoich czworga dzieci? Uśmiechają się szczerze, bez troski. Musisz je bardzo kochać. A one? O, jak one są w ciebie wpatrzone... Spragnione twojej akceptacji...

Marzę o tym, by przyjechać do ciebie. Przywiozę whisky. Pójdę do twojego łóżka z tą odrobiną ciebie w moich dłoniach. I uduszę, zamknę cię, jak złego ducha w kapsule niepamięci. Wcisnę w nią całą moją miłość, posklejaną, przenicowaną.

Moje pięci zacinę na twojej szyi, niczym kołatki do mojego niepokoju. Nie umiałabym już chyba bez niego żyć. Tak jak nie chcę już dłużej żyć z twoim cieniem. Pomóż mi go zabić.

Chcę być wdową po cieniu...



ON

Ty? Tutaj?

Byłaś za daleko bym od razu rozpoznał twoją twarz, ale dość blisko, by dostrzec ten twój... płas, z przechyłem na lewą stronę. Ty nigdy nie chodziłaś prosto! Zawsze na frontalne zderzenie ze światem. Lewe ramię wysuwałaś do przodu, jakbyś chciała płynnie ominąć przeszkodę lub schować się za kimś, idącym tuż obok. Dlatego zazwyczaj patrzyłaś pod nogi. Nigdy w chmury. Ty w ogóle wiedziałaś o ich istnieniu?

Tak, ty nie obejmowałaś świata w całości. Zawsze taka cicha. Zwierzątko łaszące się wokół ręki swojego tresera.

To rzeczywiście już 27 lat?

Tak, pamiętam... Zatelefonowałaś. Jestem – usłyszałem w słuchawce. – Mam panu pomagać. Tak trochę być panem tutaj, w centrali. Co dziś mogę dla Pana zrobić...?

Wyobraziłem sobie ciebie jako australijskiego strusia pędziwiatra. Ręcza, żwawa, w niespiesznym nieladzie, stylizowanym na elegancję i wielkofirmowy sznyt. Wysoki sopran, długie frazy.

Tak, dziękuję, będę pamiętała... Zadzwonię, jeśli...

A ty w kółko, jak katarzynka, powtarzałaś, że chętnie pomożesz. Ręka, w łokciu nienaturalnie wygiętym chciała jak najszybciej odłożyć słuchawkę telefonu... Zadzwonię rano. Albo za godzinę, może będę mogła coś dla pana zrobić...? Byłaś okropna!

O! Widzisz? To była siódma fala. Każda siódma nie bije, jak się powszechnie o fali mówi, a uderza... Jej kropki poczułem nawet na twarzy. Jedną widzę... na twoim policzku. To nie jest woda?

Cóż za spotkanie!

Po tej pierwszej rozmowie inaczej sobie ciebie wyobrażałem. A może w ogóle się nad tym nie zastanawiałem? Nie pamiętam. Któregoś razu odniosłem wrażenie, że jesteś zaplątana w jakieś chaszcze ledwie pobudzonych emocji. Obrastałaś nimi. Ja w tym czasie parłem naprzód, odnotowując kolejne, pełne sukcesów... życiowe niepowodzenia. Kłapa za kłapą.

Pierwsza myśl, gdy cię tu rozpoznałem? Uciec. W tym zawsze byłem najlepszy. Druga - zatrzymać się, objąć, pocałować. Czyli – jak zwykle. Jak gdyby nigdy nic.

Doskonale pamiętam...

Stałem przed tobą na odległość wyciągniętej dłoni – zapytałem, czy mogę? Poczułem się jak pieczęć, która na idealnie białej stronie twojego życia, w samym jej środku odciska swój ślad. Nie do wymazania. Nawet skalpelem.

Stałaś naprzeciwko mnie, w świetle okna, za którym panował gwar, jezioro, dwie brykające kozy i kelner powtarzający w kółko *of course, mein Herr, of course...*

Nie pamiętam, czy mi pozwoliłaś, zabroniłaś, czy powiedziałaś cokolwiek?

Moja dłoń przeniosła bicie twojego serca. Omal nie rozsądziło moich skroni.

Nic więcej z tego wieczora nie pamiętam. Nic! Nie pamiętam!

Nie mogę uwierzyć... To... znowu my! Razem. Spójrz mi prosto w oczy. 27 lat?

To na pewno pomyłka. Sama widzisz, to nie mogę być ja! Taki przygarbiony, siwy. Zobacz, jakie mam żyły na dłoniach...

Ciągle wszystko widzisz tylko w barwach czarno-białych? Z tą samą obawą, podminowaną nieufnością? Z głową skręconą lekko w lewą stronę?



Tak jak wtedy, przed piątą rano, gdy spieszyłem się na pociąg. Krzyczałaś w poduszkę: kochaj mnie, proszę, kochaj mnie! Kochaj mnie, słyszałem przez stukot uderki i marzeń. Ale na rozkładzie jazdy naszego pociągu widziałem nazwę stacji końcowej – „pogorzelisko, po bezpłomienym pożarze”.

Uśmiechnij się wreszcie! Takie spotkanie! Popatrz, jak fale gubią się wokół naszych stóp.

To naprawdę ty...?

O, uśmiechasz się. Cudownie, jak zawsze głośno, przeciągle, tęskliwie i łkająco.

Każdy wiedział, że nie stać cię na poważne związki. Byłaś taka programowo czujna i drapieżna. Nie pozwoliłaś, aby ktoś mi wydłubał oko czy obciął rękę. Kiedy inni mi mówili – atakuj, ty zmieniałaś treść moich pism, łagodziłaś decyzje, wyokrąślałaś zdania.

Świetne, doskonałe, bardzo trafnie pan to ujął, ale z nimi trzeba postępować inaczej, ich metodami. Zrobmy tak... Moje rażące ogniem słowa okrywałaś azbestową, urzędniczą formułą, która jest najlepszym kastetem do wybijania zębów przeciwnikom. Nieustannie wtrącałaś to sformułowanie: mając na względzie najwyższe dobro spółki... Reszta pisma była mniej istotna.

Czy pytałaś mnie o moje życie prywatne? Kiedy poprosiłem o pomoc w zdobyciu biletów na koncert Alabela zapytałaś, czy przyjadą Państwo razem, kupi dwa bilety?

Tak, dwa, bardzo proszę. Pójdiesz ze mną... moja pani.

Wybiegłaś z pokoju.

Czekałem na ciebie w hotelu. Stukot twoich pantofelków słyszałem mimo grubej wykładziny na korytarzu. Poprawiłaś mi krawat, który założyłem pod niezapięty kołnierzyk. Próbowalaś tymi zawsze drżącymi palcami uchwycić guzik. Czulaś, widziałem to po twojej minie, że znów użyłem tych szkockich perfum. Objąłem cię lewą ręką, lekko uniosłem, a prawą sięgnąłem do kołnierzyka twojej koronkowej, obficie prześwitującej bluzki.

Nie pamiętam, czy koncert był udany, czy jechaliśmy taksówką, czy jedliśmy kolację? Pamiętam bluzkę... A ty na pewno zdjęłaś mi moje okulary, które dawały mi namiastkę prywatności...

Czy ty w ogóle się do mnie odezwałaś od chwili naszego na tym brzegu spotkania? Ja cały czas mówię, ty milczysz... No, spójrz na mnie, to przecież nie ja. Może jest pewne podobieństwo, ale całkowicie przypadkowe. A, to lekkie drzenie ust? Nie, tego nie mogłabyś nie zauważyć...

Zobacz, fala wymywająca piasek spod moich stóp sprawia, że z każdym jej liżnięciem nasze twarze przybliżają się do siebie. Poczułem, że

ujęłaś moje ramię, ale w jakże dziwny sposób. Jakbyś z niego ściągała, zdzierając skórę wysuszoną słońcem, niczym ta, jaką gubi każdy wąż. Co robisz? Twoja prawa dłoń ześlizguje się już z moich palców, lewa zrywa nowy płat skóry. Piąty, szósty, siódmy. Mam wrażenie, że chcesz mnie rozmazać, wetrzeć w ten widok morza? Dlaczego?

To był twój czy mój pomysł, abyśmy weszli do tej kawiarenki? Nie pamiętam, od czego zaczęliśmy tę naszą rozmowę. Proszę? Jeszcze nie przełamaliśmy milczenia, wywołanego zaskoczeniem z tego spotkania?

Drażni mnie każdy powiew wiatru, ta fala ciepła z promiennika i ten wzrok psa, leżącego u stóp staruszków siedzących przy sąsiednim stoliku.

Piliśmy już coś? Whisky? Nie, od dawna już nie piję. Rozmawialiśmy? Ale o czym, skoro niezakończonych tematów było więcej niż goryczy w morzu twojej nieufności do mnie? Ty pierwsza zamilkłaś, pamiętasz? A potem milczeliśmy oboje. A więc... 27 lat...

Powiedz, czy ktokolwiek w biurze wiedział o nas? A pierwszy raz kochaliśmy się jako pan i pani? Tak? Więc nikt nie wiedział... A my? Czy wiedzieliśmy, że się kochamy? Nigdy tego od ciebie nie usłyszałem. Rozumiem, to ja nie chciałem ci tego powiedzieć! A ty? No tak, ty nie musiałaś nic mówić, jasne...

Chcesz, abym się tłumaczył? Proszę, muszę, zaczekaj, to jest ważne, nie, nie możesz mi tego odmówić ani zabronić. Chcę jedynie wyjaśnić... Ale! Proszę, pozwól mi, pozwól...

Jestem od ciebie starszy o bez mała całą twoją młodość! Jak wyobrażałaś sobie nasze wspólne życie! Moje dzieci to jakby twoje odrobinę młodsze rodzeństwo.

Dzika, jakaś wściekła się wtedy zrobiłaś, jakby demon w ciebie wstąpił. Byłem przerażony!

I zachwycony.

Poszliśmy na lodowiec. Nagle się rozebrałaś. Wokół lód, wiatr, skrzypiący pod stopami śnieg... Krzyczałaś - nie patrz na mnie bo zajmę się ogniem! Nienawidziłem cię za tę... szczerość.

A teraz – siedzimy tutaj, rozmawiamy. Ale dlaczego nie słyszysz twoich słów? Śmiejemy się, wspominamy, ale nie wiem, co?

Siedzisz zwrócona twarzą w stronę zachodzącego słońca. Mój cień kładzie się na ciebie, jak wtedy, zawsze przy dźwiękach muzyki. Uciekłaś przed końcem adagia, uleciałaś na 27 lat?

Ta muzyka? To był koncert Mozarta.

Dwudziesty siódmy...



W takich pejzażach cierpliwie stroję swoją wrażliwość.
Jej dźwięki przebijają się w przebłyskach, czasem z zakamarków i szczelin -
migotliwe i autentyczne .

W takich pejzażach cierpliwie stroję swoją wrażliwość.
Jej dźwięki przebijają się w przebłyskach, czasem z zakamarków i szczelin -
migotliwe i autentyczne .



fot. Małgorzata Wrzosek

80 lat polskiego Szczecina

Konstanty Ildefons Gałczyński

Spotkanie w Szczecinie

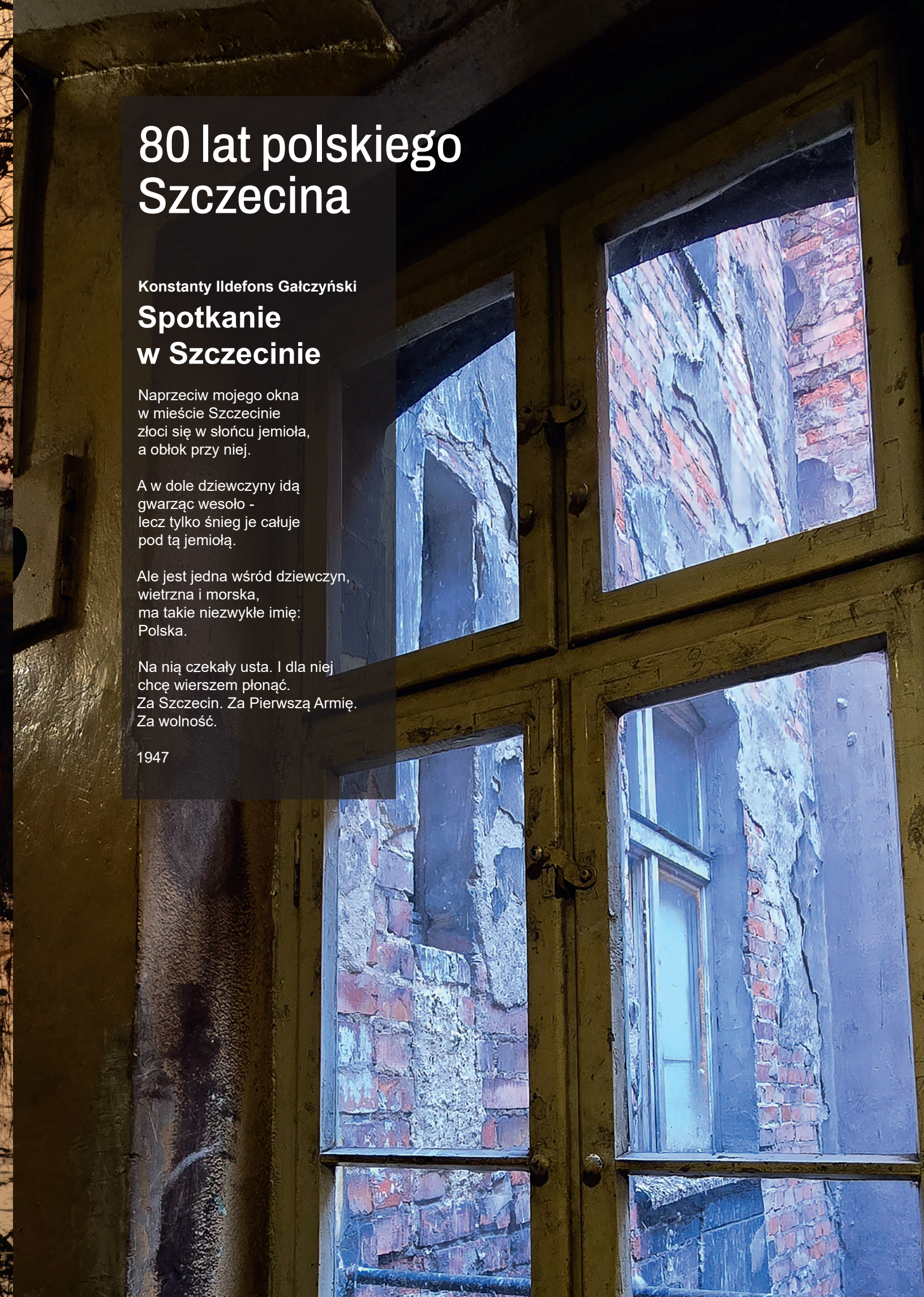
Naprzeciw mojego okna
w mieście Szczecinie
złoci się w słońcu jemiola,
a obłok przy niej.

A w dole dziewczyny idą
gwarząc wesoło -
lecz tylko śnieg je całuje
pod tą jemiolą.

Ale jest jedna wśród dziewczyn,
wietrzna i morska,
ma takie niezwykle imię:
Polska.

Na nią czekały usta. I dla niej
chcę wierszem płonąć.
Za Szczecin. Za Pierwszą Armię.
Za wolność.

1947



AIR MAIL

W pierwszych słowach naszego listu donosimy Wam, że jeszcze się czujemy, czego i Wam życzymy. Siemy pozdrowienia z Śródmieścia i Centrum miasta krokusów, podświe-
tanych blaszaków, pływających ogrodów i codziennego
bajeru reklamowego.

Z okazji 80 lat dorobku polskiego Szczecina ślemy Wam,
kurna, mocne a chwilami nawet szczere uściski! Nawet nie
wiecie, jak my się cieszymy, że Was wybraliśmy. Ojczul-
kowie, Dobrodzieje. Serce Wam oddamy, a na początek
— zapraszamy do nas! Czujcie się jak we własnym domu.
Niech żyje Szczecin, dumna Wenecja Północy, Paryż Sło-
wiańszczyzny, Wiedeń Bulwarów Nadodrzańskich i zakau-
kaskiej Secesji Kłatek Schodowych.
Dbamy o dziedzictwo i wierzymy, że te kłatki w niepogor-
szonym stanie przetrwają następne 80 lat!

Buziak!

Lokatorzy (adres utajniony ze względu na RODO)



POSTAGE
PAID

THIS SIDE OF CARD IS FOR ADDRESS

Wielce Szanowni Panowie
i Eminencje (wasze)

Prezydent Miasta
Wojewoda Zachodniopomorski
Marszałek Zachodniopomorski
W waszych apartamentach

Date:

Name:

80 lat polskiego Szczecina

TVSiódemka

Internetowy miesięcznik niesformatowany

Redakcja: Marek Koszur, Małgorzata Wrzosek

Skład i opracowanie graficzne: Małgorzata Wowczak

Wydawca: MK NET - TV Siódemka, Adres: Pochyła 13/5, 71-745 Szczecin, Tel. 785 00 2222, 7@tvsiodemka.pl